

- Samotny statek w zatoce portowej — str. 13
- Nocny terrorysta — str. 14
- Superagent Tambor — str. 10
- W jednej celi z mordercami — str. 7

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 52 (1604)

ROK XXXI

25 GRUDNIA 1988 ROKU

CENA 50 ZŁ

Błysnął jak meteor i zgasł.

Tajna misja majora Edmunda Galinata

CEZARY LEŻEŃSKI



Jeszcze 15 września 1939 r. kiedy Naczelne Dowództwo znalazło się w Kołomyi odbędzie Edward Rydz-Smigły spotkanie, które będzie później brzemienne w skutkach. W pomieszczeniach wygodnych, przestronnych. Było gdzie się rozłożyć z mapami, rozmieścić oficerów tak, by sobie nawzajem nie przeszkadzali. Trudności są z łącznością. Nie w pełni można ją nawiązać, rwie się. Są kłopoty techniczne. Wódz Naczelny nie może reagować na powstałe sytuacje na froncie w tym samym rozmiarze co dotąd. Nie jest pewne, czy „przedmieście rumuńskie” w rejonie Stryja i Dniestru zapelnili się wielkimi jednostkami wojska jak to jest projektowane.

W tej sytuacji praca dowództwa toczy się bardziej leniwie, mniej nerwowo. Jest więcej czasu jakby swobodniejszego. 16 września 1939 roku wieczorem w budynku szkoły w Kołomyi Stanisław Kopański oficer Oddziału III — operacyjnego jest przypadkowym świadkiem rozmowy marszałka z majorem dyplomowym Edmundem Galinatem, byłym szefem sektora młodzieżowego OZN, ongiś członkiem POW w Wilnie i Kownie, obecnie oficerem łącznikowym do specjalnych poruczeń Naczelnego Dowództwa.

Rydz Smigły potarł czoło jakby sobie coś przypomniał i odłożył pisemny meldunek na bok.

— Wracając do naszej rozmowy to chciałbym wysłać pana ewentualnie samolotem do części kraju już okupowanej przez Niemców.

— Panie marszałku, pozwól sobie zauważyć, że wszelkie nici wiążące mnie z terenem zbiegają się w Warszawie. I tam powinienem się udać.

Rydz nie okazał zniecierpliwienia, uczynił tylko przeczący ruch ręką.

— Warszawa jest obecnie, jak pan wie, szczególnie izolowana od reszty Polski. Stamtąd nie można sięgać akcją poza stolicę...

Marszałek skreślił wiecznym piórem jakąś uwagę na marginesie meldunku i oddał go Kopańskiemu. Oficer wyprężył się na baczność i wyszedł z pokoju. W drzwiach minął wchodzącego pułkownika Józefa Jaklicza. Dalszy ciąg rozmowy toczył się już w jego obecności. To czego mógł nie wiedzieć Stanisław Kopański, zapewne wiedział Jaklicz. Edmund Galinat jeszcze przed wojną kierował z ramienia Sztabu Głównego przygotowaniami dywersji i konspiracji na terenach, które miały czasowo znaleźć się pod okupacją nieprzyjaciela. Dlatego też rozmowa była bardziej otwarta, choć Jaklicz uważał ją za niezbyt jasną i zbyt ogólną.

Niezrozumiałe dla Kopańskiego słowa o „wszelkich niciach wiążących z terenem” były dla Galinata zrozumiałe. Dyskusja nie była długa, a w konkluzji Smigły powiedział do Galinata.

— Za kilka dni spłyną wojska na przedmieście. Wnętrze kraju opustoszeje wojennie. Wróć pan do tego wnętrza, przystąpi do organizowania POW w moim imieniu i stanie na jej czele. Organizację o-
prócz przede wszystkim na młodzieży. Zależnie od możliwości i sprzyjających okoliczności działać na tyłach niemieckich.

To już nie była rozmowa, lecz instrukcja ją kończąca. Jednakże Józef Jaklicz ją rozumie inaczej niż Edmund Galinat. Smigły jeszcze podkreśla słowo „wnętrze” tak jakby nie

obejmowało ono Warszawy ani żadnych kontaktów z mogącymi jeszcze istnieć ośrodkami oporu wojennego. A więc jest to misja utworzenia przyszłej organizacji podziemnej wtedy, gdy kraj zostanie całkowicie opanowany przez Niemców.

Zaraz potem Jaklicz rozmawia z generałem Tadeuszem Malinowskim o misji Galinata nie skrywając swego zdziwienia, że tak poważne zadanie powierza się wprawdzie zdolnemu i energicznemu oficerowi, lecz którego wiek i powaga nazwiska nie odpowiadają randze i doniosłości całego zamierzenia.

Następnego dnia, 17 września 1939 roku, o szóstej po południu Edmund Galinat został poproszony do Rydza na ostatnią rozmowę bez Jaklicza.

Tym razem nie było już mowy o POW, lecz o Organizacji Walki Zbrojnej o Niepodległość, co w skrócie OWZON mogło brzmieć miłe dla ucha majora przynosząc mu, choć odległe a jednak skojarzenie z OZN, w którym to przeżywał apogeum swej kariery. Zmieniła także Rydz swe stanowisko co do stolicy jako celu podróży. Akceptuje udanie się Galinata do Warszawy. Według relacji majora, marszałek wręcza mu także odręczny rozkaz dla gen. Juliusza Rómmla.

By nie było wątpliwości co do nominacji na kawałek jedwabiu Smigły własnoręcznie napisał:

„Posyłam mjr. Galinata do Warszawy w celu zorganizowania podziemnej organizacji pol-

skiej do walki z Niemcami. Obejmuje on dowództwo i kierownictwo. Naczelny Wódz, marszałek Rydz-Smigły”.

Druga taka sama nominacja na jedwabiu opiewa na Jana Konara. W przypadku gdyby miał używać pseudonimu.

— Do Warszawy wraz z panem — powiedział — udać się ma paru oficerów Oddziału II. Przygotowaniem zespołu zajmuje się major Charaszkiewicz.

Galinat odmeldował się przekonany, że za parę godzin znajdzie się w stolicy. Jednak nie było to tak proste jak sam rozkaz. Dopiero 20 września 1939 roku miał na stacji Sniatyn spotkać się z wyznaczoną grupą.

— Odlot jest przewidziany na 21 września — informuje go szef sztabu Dowódcy Lotnictwa. — Generał Ujejski otrzymał rozkaz wyznaczenia samolotów, załóg i ostony. Oficerem łącznikowym lotnictwa jest kapitan Bąk. Proszę się z nim kontaktować.

Cóż z tego, kiedy w oznaczonym terminie nikogo z oficerów „dwójki” nie ma na stacji Sniatyn-Załucze. Gorzej, że i w następnym dniu nie ma samolotów nadających się do odlotu i mogących lądować w Warszawie. Kapitan Bąk bezradnie rozkłada ręce.

— Nie nie poradzę panie majorze. Po prostu nie ma. Jest dyrektywa Naczelnego Wodza by przelatywać się na Węgry, Rumunię.

— Iż to polecenie samego marszałka.

— Oczywiście. Gdybym miał załogi i sprzęt to natychmiast...

Nie kończy. Obaj zdają sobie sprawę, że choć sztab i Naczelne Dowództwo przekroczyło graniczny Czeremosz, rozkaz do Warszawy trzeba zawieźć. A nawet tym bardziej istnieje taka konieczność.

Edmund Galinat wazy w sobie decyzję. Poleci jednak do Warszawy. Nie stąd, z ostatniego skrawka jeszcze wolnej Rzeczypospolitej, lecz z Rumunii. Tam wszak znalazły się polskie samoloty i lotnicy. O swym pomysle nie informuje kapitana. I tak nie jest on w stanie w niczym pomóc, niczego załatwić.

Edmund Galinat zrzuca mundur i przebiera się w cywilne ubranie.

Postanawia wykonać rozkaz i przedostać się do Warszawy samolotem polskim porwanym z terenu Rumunii. Z falą uchodźców cywilnych i wojskowych przekracza Czeremosz. On chy-



Rys. Józef Smigły-Główny

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70,
32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.
Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.
Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu
literackiego: Henryk
Pustkowski.
Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Andrzej Gebarowski,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jędrzejewska, Zofia
Kędziora, Marek Koprowski,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej
Makowiecki, Paweł
Tomaszewski, Marian
Zdrojewski.

Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Białecki,
Marek Brzeziński (Londyn),
Bohdan Gądomski,
Grzegorz Gazda, Andrzej
Karolczak, Witold
Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Wasyl
Kocznow (Iwanowo),
Włodzimierz Krzemiński,
Zenon J. Michalski,
Ryszard Nakonieczny,
Adam Ochocki, Jerzy
Panasek, Maciej
Świerkocki.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i O-
głoszeń Łódź ul. Sienkiewicza 3/5
tel. 36-50-11.

Organizacja reklam: Andrzej
Barteliszewski tel. 36-90-99.
Za treść ogłoszeń redakcja nie
odpowiada.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa-Książka-
Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerw-
nej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów. Za
treść ogłoszeń redakcja nie odpo-
wiada.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
Instytucji i zakładów pracy —
złokalizowane w miastach woje-
wódzkich i pozostałych miastach,
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa-Książka-
Ruch” zamawiają prenumeratę
w tych oddziałach — in-
stytucje i zakłady pracy zloka-
lizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli. 2. Dla
indywidualnych prenumerato-
rów — osoby fizyczne zamiesz-
kałe na wsi i w miejscowościach,
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli, osoby
fizyczne zamieszkałe w miastach
— siedzibach Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę wyłącznie w urzę-
dach pocztowych nadawczo-od-
dawczych właściwych dla miejsca
zamieszkania prenumeratora.
Wpłaty dokonuje się używając
blankietu „wpłaty” na rachunek
bankowy miejscowego Oddziału
RSW „Prasa-Książka-Ruch” 3.
Prenumerata ze zleceniem wy-
syłki za granicę przyjmuje
RSW „Prasa-Książka-Ruch”
Centrala Kół Portu Prasy i
Wydawnictw ul. Towarowa 23,
00-958 Warszawa konto PKO BP
KW 04141 w Warszawie nr
1658 201045 139 11. Prenumerata
ze zleceniem wysyłki za granicę
począ rzywką jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc.
dla zleceńców indywidual-
nych i o 100 proc. dla zlecają-
cych instytucji i zakładów pra-
cy. Terminy przyjmowania pre-
numeraty na kraj i za granicę —
od dnia 10 listopada na I
kwartał i półrocze roku następ-
nego oraz cały rok następnego —
do dnia 1 każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenume-
raty roku bieżącego.

Zam. 4036. S-10.

Z tej ziemi.

Jest kilka spraw do przedyskutowania

Mój znajomy powiada, że nie
lubi świątecznych spotkań, bo
przy stole najczęściej rozmawia
się o wielkim handlu Polaków,
a nie o sprawach ważnych. O-
powiada się, kto i gdzie ostat-
nio był, co przywiózł, gdzie
sprzedał i ile zarobił. Dla
niego jest to już nudne i on by
chciał porozmawiać zupełnie o
czymś innym. Postanowiłem
więc zaproponować Czytelnikom
tematy do dyskusji przy świą-
tecznym stole.

1.

Mieliśmy ostatnio sporo
różnych demonstracji ulicznych,
rzucano kamieniami, były pe-
tardy, gazy łzawiące i pałki w
użyciu. Nie wszędzie jednak
demonstrowano tak ostro, żeby
milicja musiała interweniować.
Na przykład w Łodzi na ulicy
Piotrkowskiej, w pobliżu ka-
wiarni „Hortexu”, gdzie mło-
dzie studencka zorganizowała
happening skierowany przeciw
milicji, którą rzekomo miano
tak bardzo kochać, to właśnie
oczekiwana milicja nie zjawiała
się i cała impreza nie wypali-
ła. Okazuje się, że czasami wy-
starczy nie zareagować i już
po wszystkim. Ale nie wszę-
dzie tak było.

13 grudnia 1988 roku na te-
lewizyjnym ekranie ukazywały
się migawki z różnych protes-
tacyjnych demonstracji. Pomy-
ślałem wtedy, że choć wpro-
wadzenie stanu wojennego by-
ła to konieczność dramatyczna
i bolesna, to przynosi ona dziś
korzyści. Wiele spraw do tej
pory wątpliwych stało się na-
głe oczywistymi, przestawiono
je z głowy na nogi. Powoli —
może ciągle zbyt powoli —
powstaje nowa polityczna rze-
czywistość, której integralną
częścią staje się opozycja. To,
co dziś wydaje się tak oczy-
wiste jeszcze nie tak dawno
było polityczną herezją.

Nikt z nas jeszcze nie wie,
co wyłoni się z tej nowej rze-
czywistości politycznej, która
będzie miała wpływ na rze-
czywistość społeczną i gospodar-
czą. Ale jedno jest wiadome, że
do wielu spraw można podejść
w sposób naturalny, wedle
zdrętego rozsądku i światła
nie wali. Sądzę, że tak trzeba
podejść do różnego rodzaju
demonstracji. Uznać je trzeba
za objaw chorej rzeczywisto-
ści, która rodzi takie zjawis-
ka, jak na przykład chore zę-
by rodzą przykry ból. Można
używać wtedy środków ból u-
śmierających, ale najlepiej usu-
nać przyczynę bólu. W Wiel-
kiej Brytanii na przykład nie
wszyscy kochają premier Mar-
garet Thatcher i swój brak
miłości potrafią publicznie oka-
zywać. Być może Margaret
Thatcher nie sypia z tego po-
wodu po nocach, co wcale nie
przeszkadza jej skutecznie rzą-
dzić Wielką Brytanią i cieszyć
się uznaniem u różnych zagra-
nicznych polityków, a także u
wielu Polaków. Również prezy-
denta w USA nie cieszą się
powszechną miłością i przed
Białym Domem krąży demon-
stracja, ale to nie przeszkadza
prezydentowi USA w rządzeniu
państwem i odgrywaniu czoło-
wej roli w światowej polityce.
Myślę, że warto byłoby sko-
rzystać z tych doświadczeń i
coraz częściej podchodzić do
różnych rodzimych manifestacji
bez niepotrzebnych emocji, na
zimno i spokojnie. Brak zain-
teresowania tymi demonstrac-
jami odbiera im znaczenia. I
o to by chodziło.

2.

Mineło 40 lat od zjednocze-
nia polskiego ruchu robotnicze-
go. W dążeniach i marzeniach
rewolucjonistów zjednoczenie
było jednym z ważnych celów.
Dokonało się 15 grudnia 1948
roku, ale dokonało się w bar-
dzo specyficznych warunkach,
dla polskiego ruchu robotnicze-
go nie sprzyjających. Dokonało
się bowiem w imię utrwalenia
w Polsce stalinizmu.

Działacze polskiego ruchu ro-
botniczego — w dużej części
przynajmniej — nie tak sobie
to zjednoczenie wyobrażali. Im
marzyło się, aby zjednoczony
polski ruch robotniczy był syn-
tezą „socjalistycznego demo-
kratyzmu i komunistycznego
rewolucjonizmu”. Ale tak się
nie stało, bo stać się nie mogło.
Byłoby to przeciwne istocie

stalinizmu. Trzeba więc było
najpierw odrzucić wszystko, co
mogłoby zahamować pochód
stalinizmu, aby dojść do mo-
mentu zjednoczenia w imię
stalinizmu. Odrzucono więc
ideę, poglądy i ludzi. Tych o-
statnich niekiedy fałszywie o-
skarżając i likwidując. Dopiero
dziś powstają warunki, aby po-
wrócić do syntezy „socjalisty-
cznego demokratyzmu i komu-
nistycznego rewolucjonizmu”.

Zamiast dyskusji o tym, czy
zjednoczenie było potrzebne,
proponuję rozważania nad tym,
co wydobyc z bogatej tradycji
ruchu robotniczego i wykorzy-
stać dla przyszłości Polski.

3.

Od spraw wielkich przejdźmy
do spraw mniejszych. 17 grud-
nia 1988 roku była „sobota
pracująca”, a więc wszystkie
instytucje powinny były pra-
cować, a już szczególnie te, które
w jakikolwiek sposób
świadczą ludziom różnorodne
usługi. Na przykład adminis-
tracja domów mieszkalnych.
Tak się złożyło, że tegoż dnia,
we wczesnych godzinach rano-
nych, pękła rura w jednym z
bloków osiedla „Czerwony Ry-
nek”. Ponieważ blok liczy już
przeszło 15 lat, co dla nowego
budownictwa jest wielkim
wielce podeszłym, rury pękają
w nim coraz częściej, zawory
są nieczyenne i skorodowane.
Wciąż więc gdzieś pęknie rura,
zaraz zamyka się wodę w ca-
łym bloku, bo w pionie trudno
tego dokonać z dwu powodów.
Pierwszy — to owe skorodo-
wane zawory, a drugi — to ge-
nialny pomysł projektantów lub
wykonawców, aby owe zawory
pomieszczać w piwnicach na-
leżących do różnych lokatorów.
Woda więc leci, nijk ją pow-
strzymać, jedyną radą — zam-
knąć wodę dla całego bloku.
Okolo 100 rodzin nie ma wtedy
wody. Ludzie biorą się do
sprzątania, ale co można zrobić
za sprzątanie bez wody.

Administracja osiedla „Czer-
wony Rynek” zrobiła sobie
wolną sobotę, w dyrekcji SM
„Czerwony Rynek” też nikogo
nie było. Trzeba było wzywać
pogotowie, aby można było wy-
łączyć jeden tylko pion. I tak
jest zawsze. W jednym z wie-
żowców, choć były dnie po-
wzednie, nie pomagały inter-
wencje, winda stała nieczynna.
Trzeba było znów wezwać po-
gotowie dźwigowe, aby w go-
dzinę naprawili. Administracja
próbując bowiem administrować
osiedlem nie ruszając się zza
biurek. A tak się niestety nie
da.

Nowe bloki sypia się już,
choć nie tak dawno postawio-
ne, stare domy sypia się, bo
nie ma pieniędzy na remonty,
albo nie ma materiałów, albo
nie ma ludzi chętnych do pra-
cy. Ale przede wszystkim nie
ma gospodarzy. Nie mam na
myśli dozorców zwanych dla
elegancji gospodarzami. Mam
na myśli prawdziwych gospo-
darzą, który utrzymywałby się
z tego, że administruje doma-
mi. Tylko, że on nie może się
zajmować wieloma blokami czy
domami. Sądzę, że taki gospo-
darz powinien zajmować się,
ale z całą troską i poświęce-
niem najwyżej trzema blokami.
Powinien zająć w każdy kąt,
dostarczać każdą dziurę, aby
mógł się szybko zalać, zatrosz-
czyć się o należyte konserwa-
cje instalacji wodociągowej,
kanalizacyjnej, gazowej, elek-
trycznej i innych urządzeń.
Trzeba przecież i antenami
zbiorczymi się zainteresować,
bo też rzadko konserwowane i
odbior telewizyjnych progra-
mów pogarsza się. On powin-
nień wezwać fachowców do na-
prawy, kiedy potrzeba, a nie
żeby lokatorzy robili to za
tych, których na wyrost i z u-
rzedu nazywa się administrator-
ami, a są tylko i wyłącznie
urzędnikami administracji.

Mogę podejrzewać, że te u-
rządy administracyjne dla o-
siedli powołano w ramach osz-
ędności etatów. Im więcej
bloków przypadnie jednej ad-
ministracji, tym taniej, bo
mniej etatów. Nikt jednak nie
liczy strat z braku gospodarza
wynikających. Zalane mieszka-
nia, skorodowana instalacja
wodociągowa, drzwi bez kła-
mek, brudne klatki schodowe,
poodpadane tynki. Proszę na
spacerze po śródmieściu pod-
nieść głowę i popatrzeć po do-

mach. Zobaczycie wtedy pou-
rywane balkony, ściany z lisa-
jami odpadającego tynku, nie-
szczęsne gzymsy i inne ozdoby.
Ludzie odpowiedzialni zapyta-
ni o powody tego szybko
wyjaśniają, że nie ma ludzi do
roboty, pieniędzy, papy i bla-
chy dla łatania dachów, że nie
ma żwiru, cementu, drewna,
żelaza, drutu, nie ma wielu in-
nych rzeczy. Jest natomiast
spokój sumienia.

Ogólna niemoc rozgrzesza
człowieka. To oczywiście roz-
grzeszenie pozorne. Jakby od-
suniecie odpowiedzialności i
zrzucenie jej na obiektywne
trudności, które wcale takie o-
biektywne nie są. Temu prze-
rzucaniu odpowiedzialności
sprzyjają wielkie struktury or-
ganizacyjne. Trzeba wreszcie
spójrzeć prawdzie w oczy i
stwierdzić, że te wielkie struk-
tury organizacyjne nie spraw-
dziły się i skompromitowały.
Trzeba je odrzucić. Raz i zde-
cydowanie. Trzeba w ich
miejscu powołać małe struktu-
ry, bardziej elastyczne, spraw-
niejsze, szybciej działające i
łatwiej poddające się kontroli.
W gospodarstwie domowym mogą
one być niebywale przydatne.

W spółdzielczości mieszka-
niowej są niby zarządy, komi-
sje, samorządy, ale są to w
znacznej części twory karlo-
wate, niesprawne, czasami
wręcz fikcyjne. Trudno mieć
pretensje do ludzi, którzy chcą
społecznie działać w samorzą-
dach mieszkalców czy zarzą-
dach spółdzielni, jeśli im ta
praca najlepiej się nie układa.
Im najciężej potrzeba do po-
mocy szerokiego zaintereso-
wania ze strony wszystkich
mieszkańców, potrzeba ich u-
działu, aby rzeczywiście byli
reprezentantami wszystkich.
Ale tak przecież nie jest. Lu-
dzie nie rozumieją, że ich za-
interesowanie sprawami bloku,
w którym żyją jest formą spo-
łecznej kontroli nad działalno-
ścią administracji. Brak takiego
zainteresowania tę kontrolę u-
niemożliwia bądź w najlep-
szym razie znacznie osłabia. A
gdyby udało się oddać domy
pod opiekę prawdziwych gospo-
darzy, to zainteresowanie
wszystkich ich codziennymi
działaniami byłoby niezbędne
również jako forma pomocy,
ale i kontroli.

4.

Niedawno „Dziennik Łódzki”
ogłosił, że słynna „Krysztalowa
Butelka” nadal czeka na tego,
kto wreszcie rozwiąże problem
skupu butelek. Odbija się na-
wet specjalna narada w UMŁ
pod przewodnictwem wicepre-
zydenta Lecha Krowlandy,
na której to naradzie wszyscy
doszli do wniosku, że rozwią-
zanie problemu skupu butelek
jest niemożliwe. Na przykład
spółdzielnie mieczarskie aż 30
procent używanych butelek ku-
pują w hutach szkła, bo to
się im lepiej opłaca.

Z całej duszy popierałem i
popieram akcję „Dziennika
Łódzkiego”, aby nagrodzić
„Krysztalową Butelkę” tego,
kto ten problem rozwiąże, ale
w powodzenie tego przedsię-
wzięcia nie wierzę. Są kraja
tym świecie, gdzie handel sta-
rązną daje wcale nieźle do-
chód, ale nam się to jakoś nie
opłaca. Sądzę, że powód tego
jest prosty. Otóż rzecz bowiem
stoi na głowie i trzeba posta-
wić ją na nogi. Punkty skupu
oczekują na klientów z bu-
telkami. W sklepie, który jest
też zobowiązany do skupu bu-
telek patrzy na takiego klien-
ta z butelkami — delikatnie
mówiąc — z niechęcią. Niesie
on z sobą nie tylko butelki, ale
i kłopot. A ludzie zajmujący
się handlem kłopotów nie lubi-
ą.

Wiem po sobie, że posiadam
mnóstwo różnych rzeczy, któ-
rych chętnie bym się pozbył,
gdyby ktoś zechciał wejść do
mnie na trzecie piętro, zapukać
do drzwi i wziąć to wszystko,
co mam do oddania. Dam mu
to nawet darmo, ale wdzien-
ny byłbym też na przykład za
papier toaletowy. Nosić to
wszystko do punktów skupu
nie opłaca się, gdyż to, co do-
stanę jest mniejsze od tego,
co mógłbym przez ten sam czas
zarobić. Po prostu szkoda me-
go czasu. I tak myślę wiele
ludzi. Trzeba zatem koniecz-
nie ruszyć z punktów skupu i po-
kraść po domach. Tylko, czy
to komuś jest potrzebne? Czy
nasza gospodarka, handel są
zainteresowane odzyskaniem
tego, co jest do odzyskania?
Obawiam się, że nikomu to nie
jest potrzebne i źle to świad-
czy o gospodarce.

Zycząc przyjemnych dyskusji!

LUCJUSZ
WŁODKOWSKI

W najbliższych i dalszych numerach „Odgłosów”

— W grudniu 1939 roku marszałek Edward Rydz-Sm-
gły przyjął Melchiora Wańkowicza. Pisarz był nieco za-
skoczony. Przed wojną znał Smigłego tylko przelotnie.
Marszałek powitał go z właściwym sobie ujmującym u-
śmiechem, trochę przysgaszonym. Mówił o tym, jak po
śmierci Józefa Piłsudskiego zastał stan mobilizacji gro-
zący katastrofą, oparty na fikcji 46 dywizji, kiedy 30 dy-
wizji było marzeniem nie do spełnienia. Nie było ani jed-
nego działka przeciwlotniczego, ani jednego pepanca z
wyjątkiem granatów z 1920 roku. Skromny plan dobro-
żenia puchł do trzech, czterech, wreszcie pięciu miliardów.
A finansisci orzekli, że nie wygrzebią więcej jak 180 mi-
lionów... — fragment książki CEZAREGO LEŻEŃSKIE-
GO pt. „Kwatera 139”.

— Z najnowszych badań wynika, że codziennie współ-
żyje seksualnie 11 proc. mężatek w wieku od 28 do 35
lat, 2—3 razy w tygodniu — 55 proc., raz w tygodniu
— 25 proc., rzadziej — 9 proc. Zaledwie 7 proc. pragnie
częściej odbywać stosunki niż ma to miejsce w ich życiu
małżeńskim. Niemala kobiet oddaje się tylko w całko-
witej ciemności, w jednej klasycznej pozycji, w tym sa-
mym własnym łóżku. Nie mają za grosz fantazji i od-
wagi. Przez to zniechęcają mężów do siebie i nieświa-
domie popychają w kierunku ciekawszych erotycznie są-
siadek, współpracownic, wesołych pańienek — artykuł
MIROSLAWY SARBINSKIEJ.

— Kropla alkoholu dodaje paniom uroku, ale w zamian
wyłuskuje z nich prawdziwą naturę. Cher w swojej kre-
acji do kolan jest poza konkurencją. Wrzosowa tunika
na klipsach przewiązana w pasie srebrnym kordem, w
uszach coś żródlanego, gołe, pływacki ramiona, których
Stan nie może się namasować, smukła całość osadzona
na argentyńsko strzelistych pantoflach. Gdy się ubierała,
stała przed lustrem w czarnym bikini, bez biustonosza,
przy swoich dużych piersiach ona nie nosi biustonosza!
— ledwie się pohamowałem, aby nie rzucić jej na łóżko.
Naprawdę piękna — najnowsza powieść LEONARDA
pt. „Facet”.

— Więźniowie uważali wszelkich artystów za zgniliznę
moralną. W swoim pierwszym Zakładzie Karnym Strze-
lce Opolskie wygrałem wstępną bitwę w mojej wielolef-
niej walce o godność. Za kratkami wręcz obowiązuje bru-
talność. W słowie i czynie. Każde zaszcute zwierzę war-
czy, stroszy sierść, pokazuje kły. A ja, rzucony na tzw.
oddział nierobów, wygolonych do gołej skóry złodziei,
bandytów i morderców, mimo nieludzkiego lęku, poczęłem
zachowywać się jak osoba z najlepszego towarzystwa —
druga część rozmowy z JERZYM TREBICKIM, autorem
popularnej książki „Zbrodnia i...”.

— Barbara nie traktowała tych spraw rutynowo. Nie
bawiła jej ordynarna miłość na tapczanie i zwierzęcy ryk,
jaki wydobywał się z płuc mężczyzny. W swoją pracę,
jeśli można to w ogóle nazwać pracą, wkładała całe serce
i duszę, całą bujną i nienasyconą kobiecość, która zawo-
dziła ją rzadko, zwykle zaś stanowiła źródło mocnych
i szalonych przeżyć. Akt miłosny był dla niej tym, co
klasycznie zbudowany utwór muzyczny. Początek był
walką dwóch nienawidzących się płci — pierwszy odcie-
nił sensacyjnej powieści ANDRZEJA MAKOWIECKIE-
GO pt. „Pięćdziesiąt melonów”.

— Marek Hlasko wspomina o antysemityzmie Polaków,
w ostrych słowach oskarża ówczesne społeczeństwo o nie-
chęć do osób pochodzenia żydowskiego. Jednocześnie ry-
suje sylwetki Różańskiego, Tykocińskiego, wspomina o
Wyszyńskim, Monacie, Świątło i Romkowski, krytykuje
Fejgina, a także jakiegoś Werfla. Wymienia wiele jeszcze
nazwisk, brzmiących z polską, nazwisk ludzi, którzy wó-
wczas rządili Polską i realizowali ideę komunizmu na
swoją gorliwy sposób, zasłaniając się wykreowanym w
w tym celu przez centralę Stalinem. Ani razu nie powie,
że ci właśnie, stalinowcy pochodzenia żydowskiego, powo-
dowali zrozumiałą niechęć do tej skądinąd szlachet-
nej i wysoce utalentowanej nacji — pisze ANDRZEJ
BRYCHT.

— Przebrzmiało echo rżenia koni i żydowskich nawały-
wań do strucli, znikły kosze wiklinowe, baranice, zapaski,
zwietrzały zapach okowity i sera. Nie ma Starego Rynku,
na którym od 1842 roku wyznaczano dla miasta coto-
godniowe targi. I choćby „Spolem” postawiła sto świa-
tecznie kolorowych straganów, nigdy już nie wróci tutaj
atmosfera jarmarcznego rejwachu, folkloru, naszych zwy-
czajów i obyczajów — początek reportażu RYSZARDA
BINKOWSKIEGO pt. „Powrót Legionisty”.

— Nasze mecenaszy: socjalistyczny i katolicki są prowa-
dzone z pełną niekompetencją na niekorzyść kultury pol-
skiej. Najbardziej kładzie nam literaturę polityka, a ra-
czej polityczka, różne burze w szklance wody. Jeśli ktoś
miał dobrą pozycję, zawsze był drukowany, choćby był
grafomanem — nieautoryzowany zapis wypowiedzi AR-
TURA SANDAUERA na spotkaniach w Łodzi.

— Ojciec co wieczór zostawiał mi określoną sumkę na
przejazd tramwajem. Z początku po kilkadziesiąt marek,
potem kilkadziesiąt tysięcy. Marka traciła na wartości
z godziny na godzinę. Mój stan posiadania zwiększał się
co tydzień o ponad dwa miliony — wspomina ADAM
OCHOCKI.

— Jak Rosjanie weszli, to łapali się głównie za to, co
było ostoją porządku polskiego. Wyszli z wszystkich
z dwórków. Zabrali też wyższych urzędników. Żydowskiej
inteligencji brali mniej. Postanowili na niej się oprzeć —
mówi RYSZARD KERNER, fizyk, profesor Uniwersytetu
Paryskiego.

— Już niebawem będziemy publikować drugą część
najnowszej książki ANDRZEJA BRYCHTA pt. „Ażyl po-
lityczny”.



„Posyłam was jak owce między wilki.. Bądźcie więc roztropni jak węże, a nieskazitelni jak gołębie. Miejcie się na baczności przed ludźmi” (Mt 10, 16—17).

Prawda w świecie namiętności

EDMUND LEWANDOWSKI

Nie wiemy, kiedy przyszedł na świat Jezus. Nie znamy dnia, miesiąca ani roku. Ale możemy przyjąć, że blisko dwa tysiące lat temu kobieta żydowska w Palestynie urodziła syna, który stworzył największą religię świata. Nominalnie jedna trzecia ludzkości należy dziś do kościołów chrześcijańskich. W tym 59 proc. stanowią katolicy, 30 proc. protestanci, 11 proc. prawosławni.

Chrześcijaństwo wierzy, że Jezus był synem Marii Dziewicy i Boga Jahwe, że stał się człowiekiem dla naszego zbawienia.

Po śmierci zmartwychwstał, wstąpił do nieba i jest współistotny Ojcu. Jego nauka ma charakter boski, jest prawdą objawioną, dlatego należy przestrzegać wszystkich norm ewangelicznych.

Podczas przesłuchania w pretorium Jezus powiedział, że po to się urodził i przyszedł na świat, aby „dać świadectwo prawdzie” (J 18, 37). Na to prokurator rzymski zapytał: „Cóż to jest prawda?” — ale nie zaczął na odpowiedź. Wy-szedł poinformować Żydów, że nie znalazł żadnej winy oskarżonego i może go zwolnić.

Poncjusz Piłat prawdopodobnie uznał, że przyprowadzono naiwnego pięknotucha. Był politykiem, wysokim urzędnikiem imperium, znał dobrze świat walki interesów. Nieraz musiał obserwować, jak mało znaczą prawdy i zasady moralne wobec potęgi namiętności. W realnym życiu nie wystarczy, aby ludzie uznali coś za słuszną. Trzeba jeszcze, żeby zgadzało się to z ich interesami lub przynajmniej nie było z nimi sprzeczne.

Żyjący w tamtych czasach słynny poeta rzymski Owidiusz napisał: „Widzę i pochwalam to, co lepsze, lecz wybieram

gorsze”. A szesnastowieczny filozof angielski Thomas Hobbes stwierdził, że ludzie podważiliby nawet aksjomaty geometryczne, gdyby tylko stały w niezgodzie z ich interesami.

Czytelnicy znający twórczość Henrika Ibsena pamiętają dramat doktora Stockmanna, który odkrył prawdę, że zakład uzdrowiskowy faktycznie truje kuracjuszy. Burmistrz i ludność miasteczka zbagatelizowali jednak sprawę, a doktora uznali za „wroga ludu”. Prawda nie potkała bowiem na interesy życiowe większości mieszkańców. Uzdrowisko stwarzało im podstawy utrzymania.

Wszystkie prawdy i zasady moralne zstępując z wyżyn abstrakcji nieuchronnie trafiają do krainy namiętności. Partynularne interesy i samolubne względy więcej znaczą niż wznieśione cele ogólne. Między światem powinności a rzeczywistością istnieje ogromna przepaść. A tymczasem Jezus Chrystus głosił:

„Nie stawiajcie oporu złemu. Lecz jeśli cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi. Temu, kto chce prawować się z tobą i wziąć twoją szatę, odstęp i płaszcz. Zmusza cię kto, żeby iść z nim tysiąc kroków, idź dwa tysiące. Daj temu, kto cię prosi, i nie odwracaj się od tego, kto chce pożyczyć od ciebie” (Mt 5, 39—42).

Jezus nakazywał absolutną, bezwarunkową miłość bliźniego. Wzywał do przebaczenia wszystkim winowajcom. To, co byśmy chcieli, żeby nam ludzie czynili, powinniśmy sami im czynić. Każdy nasz uczynek wobec innego człowieka jest zarazem uczynkiem wobec Boga.

Wyznawcy nauki Jezusa winni zrezygnować z dążenia do bogactwa, władzy i sławy. Jeśli nie wyrzekli się wszystkiego, co posiadają, nie są prawdziwymi chrześcijanami. Szczęście i wyzwolenie osiągną ludzie ubodzy, smutni, łagodni,

pragnący sprawiedliwości, miłosierni, czystego serca, wprowadzający pokój, prześladowani za sprawiedliwość.

W ten sposób postępowali jednak tylko nieliczni święci. Natomiast ogromna większość chrześcijan ignorowała i dalej ignoruje wskazania moralne ewangelii. Rzadko można spotkać autentyczną miłość bliźniego, a tym bardziej miłość nieprzyjaciół. W życiu codziennym bycie chrześcijaninem nie nie znaczy. Pięknie wyraził to w swoim wierszu Włodzimierz Słobodnik.

Chrystus mówi: „Kochaj!”
Nienawidzą.
Chrystus mówi: „Nie zabijaj!”
Zabijają.

Chrystus mówi: „Bądźcie miłymi ustami Świętego Pawła:
„Nie odróżniaj Żyda od Greczyna!”
Odróżniają.

Chrystus zmartwychwstał
lecz co dzień umiera
od tej nienawiści
od tego zabijania
od tego odróżniania.

W panoramie dziejów powszechnych społeczeństwa chrześcijańskie nie są lepsze od innych. Nawet historia Kościoła i papieństwa zbroczona jest krwią. W walce o bogactwa, władzę i sławę dostojnicy Kościoła posługiwali się tymi samymi metodami co świeccy. Ekspansja chrześcijaństwa dokonywała się za cenę cierpień milionów ludzi. W głosnej księżce antykomunistycznej pt. „Zniewolony umysł” Czesław Miłosz pisze:

„Cywilizacja, używająca przydomka chrześcijańskiej, zbudowana została na krwi niewinnych. Szlachetne oburzenie na tych, co dzisiaj próbują stworzyć inną cywilizację posługując się podobnymi środkami, nie jest pozbawione faryzeizmu”.

Pod znakiem krzyża siali śmierć i zniszczenie krzyżowcy, konkwistadorzy, inkwizytorzy, kolonizatorzy, agresorzy wojenni.

Zdobywcy Jerozolimy w 1099 roku wymordowali muzułmanów w meczecie Al-Aksa i spalili Żydów w głównej synagodze. Unurzani we krwi padli na twarz przed grobem Zbawiciela. Pół wieku później inni Krzyżowcy urządzili krwawą łajnię na Cyprze. Mordowali i gwałcili nie gorzej od Hunów i Mongołów. Ruch krucjatowy był przejawem wielkiego awanturnictwa i barbarzyństwa.

A co można powiedzieć o pochodzie chrześcijaństwa w Ameryce? W części południowej i środkowej, gdzie obecnie mieszka prawie połowa wszystkich katolików, konkwesta odbywała się tak brutalnie, że liczba ludności spadła z 60 mln na początku XVI wieku do 19 mln w końcu XVIII stulecia. Przed podbojem hiszpańskim Meksyk liczył 25 mln mieszkańców, a już w latach siedemdziesiątych XVI w. pozostało zaledwie 4,5 mln.

Śmierć narodów chrześcijańskich obciąża też kolonializm i handel niewolnikami. Od połowy XV wieku do 1880 roku pojmano i wywieziono z Afryki około 20 mln Murzynów. Z tego najwyżej 30 proc. przeżyło i dotarło do miejsca przeznaczenia. W zachodniej części kontynentu niektóre tereny zostały całkowicie wyniszczone. Biskup południowoafrykański, laureat Nagrody Nobla, Des-

ch chwalców nie mogą w naszych czasach budzić niczego prócz obrzydzenia”.

Chrześcijaństwo tak samo jak niechrześcijaństwo we wszystkich epokach z konsekwencją i upodobaniem zabijało się nawzajem. Pewien uczony obliczył, że w ciągu 5500 lat doszło do 14513 wojen, w których poległo aż 3,5 mld osób. Według innych ustaleń, tylko po II wojnie światowej było ponad 150 wojen, które przyniosły śmierć 25 mln ludzi.

Okresy pokoju w dziejach świata są żenująco krótkie. Z powodu nieustannych konfliktów zbrojnych w XI wieku ustanowiono Różnię Bożą (Treuga Dei). Pod groźbą klątwy kościelnej zakazano walczyć najpierw w niedzielę, a potem także w inne dni świąteczne oraz od środy wiozorem do poniedziałku rano. Nie przeszkodziło to jednak krzyżowcom uderzyć na Konstantynopol w Wielkim Tygodniu. Wśród napastników roilo się od uzbrojonych osób duchownych.

Niektórzy sądzą, że więcej ładu i szczęścia znali pogańscy Grecy i Rzymianie.

Nie tylko Adolf Hitler dostrzegał w chrześcijaństwie źródło zła. Ale prawda jest inna. Świat starożytny nie był sielankowy. W latach wojny peloponeskiej (431—404 p.n.e.) kulturalni Grecy postępowali w sposób barbarzyński. Ateńczycy puczali Melickich, że sprawiedliwość w stosunkach międzyludzkich może istnieć, gdy

tego, w jaki się żyć powinno, że kto, chcąc czynić tak, jak się czynić powinno, nie czyni tak, jak inni ludzie czynią, ten gotuje raczej swój upadek niż przetrwanie; bowiem człowiek, który pragnie zawsze i wszędzie wytrwać w dobre, paść konieczne musi między tylu ludzi, którzy nie są dobrzy”.

Nasuwa się teraz pytanie: co myślał o człowieku Jezus? Był realistą czy idealistą? Otóż znamienne jest, że ostrzegał apostołów, aby mieli się na baczności, bo wyruszają w świat jak owce między wilki. W sensie filozoficznym Jezus był nieskalanym pięknotuchem, uciekającym od życia i zmierzającym jakby na przekór przeznaczeniu. Pięknotuch nie chce żyć w upadłym świecie, jest niecierpliwy pragnie tu i teraz Królestwa Bożego. Pięknotuch jest człowiekiem nie z tego świata. Nie uwzględnił fakty, że postęp spełnia się w historycznym rozwoju.

Jezus nie był chyba zdecydowany, w jaki sposób zmienić świat człowieka. Błogosławił wprawdzie czyniących pokój, zabraniał stawiać opór złemu, nie pozwalał używać miecza, ale powołując apostołów wypowiedział zupełnie inne zdanie. Mówił jak rewolucjonista.

„Nie sądźcie, że przyszedłem przynieść pokój na ziemię. Nie przyszedłem przynieść pokoju, ale miecz. Bo przyszedłem poróżnić syna z ojcem, córkę z matką, synową z teściową, i będą nieprzyjaciółmi człowieka jego domownicy. Kto miłuje ojca lub matkę bardziej niż mnie, nie jest mnie godzien. I kto miłuje syna lub córkę bardziej niż mnie, nie jest mnie godzien” (Mt 10, 34—37).



mond Tutu wskazał na znamienne paradoksy.

„Kiedy misjonarze przybyli po raz pierwszy do Afryki mieli Biblię, a myślny mieli ziemię. Powiedzieli: módlmy się, a myślny zamknęli oczy. Kiedy otworzyliśmy oczy, myślny mieli Biblię, a oni ziemię”.

Pobożni chrześcijanie wyrzadzili również niemale zła w Europie. Na pewno w dobrej wierze, pod hasłem miłosierdzia i sprawiedliwości, działał brat Tomasz de Torquemada. Za jego czasów spalono żywcem 16220 osób, uwięziono 100 tysięcy podejrzanym o herezję, ograbiono i wypędzono z Hiszpanii blisko milion Żydów.

Świątobliwi mężowie posłali na stopy setki tysięcy (może nawet kilka milionów) „czarownic”. Trudno dziś sobie wyobrazić cierpienia tylu niewinnych kobiet: fizyczne i psychiczne. W naszym kraju od XVI do XVIII wieku straciło życie około 20—40 tysięcy niewiast. Ostatni stos płonął w 1775 roku.

W chrześcijańskiej od wieków Europie wybuchły dwie straszliwe wojny światowe. W pierwszej zginęło 10 mln ludzi, a 20 mln odniosło rany; w drugiej poległo co najmniej 45 mln (w tym 25 mln żołnierzy i oficerów), a 35 mln zostało rannych.

Przez wiele stuleci biskupi chrześcijańscy namaszczali i błogosławili książąt, królów, cesarzy, lecz ci nie zachowywali się lepiej od ich pogańskich odpowiedników. Pod koniec grudnia 1907 roku Lew Tołstoj pisał do Henryka Sienkiewicza:

„W świecie pogańskim mógł być cnotliwy władca — Marek Aureliusz, ale w naszym chrześcijańskim świecie nawet władcy mintonych wieków — wszystkie francuskie Ludwiki i Napoleony, wszystkie nasze Katarzyny Drugie i Mikołaje I, wszystkie Fryderyki, Henryki i Elżbiety, niemieckie i angielskie — mimo wszelkich starań

po obu stronach równe siły ją zabezpieczają. W innej sytuacji wygrywają silni, a ustępują słabsi. Następnie mądrzy Ateńczycy wymordowali wszystkich schwytych mężczyzn, a dzieci i kobiety z Melos sprzedali w niewolę.

Historykowi trudno zgodzić się z tezą Maksyma Gorkiego, że człowiek to brzmie dumnie. Aforyzm ten nie pasuje do żadnej epoki historycznej. Gorki nie napisałby go zresztą, gdyby znał prawdziwe oblicze stalinizmu. Józef Stalin — wychowanek prawosławnego seminarium duchownego — uważał, że człowiek to kilka pudów mięsa. I w myśl tego przekonania podejmował decyzje, które spowodowały śmierć milionów ludzi.

Takiego okrucieństwa jak w świecie ludzkim nie ma nigdzie w przyrodzie. Jesteśmy najokrutniejszym gatunkiem. Tylko ludzie stosują wyrafinowane tortury i masowo zabijają osobników własnego gatunku. Niccolò Machiavelli doszedł do wniosku, że człowiek z natury jest zły i spontanicznie dąży ku złemu. Jest nienasycony w pragnieniach, wiecznie niezadowolony, niewdzięczny, kłamliwy, zawistny. Dlatego prawodawcy państw winni z góry zakładać, że: „wszyscy ludzie są źli i niechybnie takimi się okażą, ilekroć będą mieli po temu sposobność”. Tylko konieczność może zmusić ludzi, żeby byli dobrzy.

W koncepcji Machiavellego uderza brutalny realizm. Autor wydaje nam się człowiekiem cynicznym i okrutnym. Radzi władcom, żeby mieli się na baczności przed ludźmi i byli gotowi stosować bezwzględne środki. Jego zdaniem, ucziwi w zasadzie nie mają szans.

„Wielu wyobrażało sobie republiki i księstwa, jakich w rzeczywistości ani nie widzieli, ani nie znali; wszak sposób, w jaki się żyje, jest tak różny od

Na tych słowach opierała się koncepcja Kościoła: wojującego, która stanowiła ideologiczną podstawę działania krzyżowców, konkwistadorów, inkwizytorów, kolonizatorów, agresorów wojennych. Hasła „Bóg tak chce” i „Bóg z nami” usprawiedliwiała największe bestialstwa, ale były wypaczeniem pacyfistycznej nauki Jezusa. Istotą etyki Chrystusowej jest przecież zasada niesprzeciwiania się złu. Miłować trzeba również nieprzyjaciół.

Z lektury ewangelii wynika, że Jezus był idealistą. Wierzył, że droga do Królestwa Bożego prowadzi poprzez moralną odnowę ludzi. Ale nie mniejszym idealistą był materialista Karol Marks, który sądził, że przebudowa struktur społecznych automatycznie przemieni człowieka w anioła. Na pytanie, dlaczego nie może się to udać, Konrad Lorentz, laureat Nagrody Nobla odpowiedział: „Bo ludzie to dranie. Człowiek nie jest dobry. Człowiek nie jest zły. W sam raz nadaje się do gromadnych polowań, w których sprawdzał się tysiące lat, od wczesnej epoki kamiennej. Im większa stawała się ta gromada, tym bardziej zawodziła ludzka przyzwyczajenie”.

Nie można jednak nigdy opuścić rąk. Nie wolno tracić nadziei, bo znajomość teraźniejszości i przeszłości nie pozwala odgadnąć przyszłości. Na szczęście historia jest nieprzewidywalna. A zdarzały się w niej przecież dość często rzeczy paradoksalne.



Kiedy dobiega już końca rok jubileuszowy, który poświęciliśmy przypomnieniu i ocenie najważniejszych faktów związanych z odzyskaniem w 1918 r. niepodległości, mogła by okazać się pożyteczna konfrontacja naszego obecnego stanu wiedzy o tamtych wydarzeniach z ówczesnym ich odbiorem przez polskie społeczeństwo. Czy to samo wydawało mu się ważne, co my obecnie uważamy za decydujące o sprawie niepodległości...

1.

Oczywiście, jak dzisiaj, tak i wtedy rozróżnił opinię był bardzo znaczny, prześledźmy więc, co pisał najbardziej chyba reprezentatywny dla środowiska miejskiej inteligencji, wydawany w Warszawie „Tygodnik Ilustrowany”, wchodzący w 59 rok swego istnienia. Co prawda, pismo to przestało już być wyrazicielem nowatorskiej, światłej myśli społeczno-politycznej, jak w czasach swej pozytywistycznej świetności, kiedy to publikował na jego łamach m.in. Bolesław Prus, nadal jednak było ono wysoko notowane w biurach, kantorach i salonach.

Jak więc odbijała się na łamach tygodnika sprawa polska? Przypomnijmy jednak najpierw polityczne tło, na jakim „Tygodnikowi Ilustrowanemu” dane było działać.

Ziemie byłego zaboru rosyjskiego, objęte zasięgiem „Tygodnika” znalazły się w trakcie wojny pod okupacją wojskową Niemiec i Austrii, które ustanowiły na tych terenach dwa gubernatorstwa: niemieckie w Warszawie pod władzą gen. Hansa Hartwiga von Beselera i austriackie w Lublinie — pod zwierzchnictwem gen. Kukla. W listopadzie 1918 r. ogłosili oni w imieniu cesarzy manifest o utworzeniu Królestwa Polskiego — monarchii dziedzicznej o ustroju konstytucyjnym, obejmującej tylko ziemie byłego zaboru rosyjskiego. Manifest miał na celu jak najliczniejszy werbunek do Polnisches Wehrmacht. Państwa centralne powołały też najpierw Radę Stanu o charakterze głównie opiniodawczym, a w roku następnym trzysobową Radę Regencyjną, jako władzę najwyższą Królestwa, która powołała rząd z premierem Janem Kucharszewskim.

Od schyłku roku 1917 ustąpiła działalność wojenna na froncie niemiecko-rosyjskim i rozpoczęły rokowania pokojowe z bolszewicką już Rosją. Pokój zawarty 9 lutego 1918 r. między państwami centralnymi a Centralną Radą Ukraińską pozostawił za granicznym kordonem m.in. Ziemię Chełmską. Ufam, że historycy darują mi tak uproszczony szkic sytuacji.

2.

Przechodząc do analizy „Tygodnika Ilustrowanego” w zamiarze raczej globalnej charakterystyki niż omawiania poszczególnych numerów nie sposób byłoby pominąć numer 1, bo chociaż o sprawie niepodległości nie ma w nim ani słowa, poświęca się jednak pod kątem spraw polskich uwagę wydarzeniom zachodzącym w rewolucyjnej Rosji, która zaledwie dwa miesiące wcześniej zaczęła ustanawiać nowy, nieznanym przedtem porządek społeczno-polityczny. Tezy zawarte w artykule wstępnym J.alego, komentatora Władysława Jabłonowskiego są zaskakująco różne od ukształtowanych później antykomunistycznych poglądów, które w jakiejś postaci dotrwały tu i ówdzie do dziś. Otóż Jabłonowski uważa, iż to, co się dzieje w rewolucyjnej Rosji nie oznacza bynajmniej zwycięstwa niepiśmiennego proletariatu nad warstwami oświeconymi, lecz że bolszewizm jest tworem „inteligentno-rewolucyjnym” i że wszystko tam dzieje się „podług wiary i woli inteligencji rosyjskiej, a Leninowie czy Troccy są tylko jej ogniwem rozwojowym”.

I jeszcze nieraz na łamach „Tygodnika Ilustrowanego” powtórzy się myśl, że rewolucja rosyjska jest ponurym dziedzictwem nihilistycznej inteligencji rosyjskiej, głoszącej destrukcję, od dekabrystów po Lwa Tolstoja. A ze sprawą polską mają te tezy tyle wspólnego, że o wym w wschodnim miazmatom przypisuje się tu zgubny wpływ na niektóre środowiska inteligencji polskiej.

Rozważania o rewolucji i — ujmowanej tradycyjnie — „prawdziwej moralności” stanowią jakby ideową podbudowę do na półoficjalnych zbrojnych działań polskich oddziałów na wschodnich obszarach dawnej Rzeczypospolitej, m.in. korpusu gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego, który po rewolucji wymógł swoje służby Rosji i dobił się o samodzielną działalność po stronie Niemców. Opisuje się np. brawurową eskapadę oddziału polskich ułanów, który odbył zbrojny rajd o charakterze ekspedycji karnej z Odessy do Bobrujska, a więc na obszarach „wydanych na kup chłopskim bandom” — ukraińskim i białoruskim — opętanych przez „petersburski bolszewizm”. Jak czytamy dalej: „zdziwione chłopstwo wyżywszy się strachu przed jakąkolwiek odpowiedzialnością, wystąpiło przeciwko dworom (oczywiście niemal wyłącznie polskim — przyp. J.K.). Toteż niemal w każdej wsi musieliśmy nasi utani „rozprawiać się batem albo i kulą karabinową”.

3.

Od czasu do czasu pojawiają się w „Tygodniku Ilustrowanym” informacje o zmianach w składzie rządu Królestwa Polskiego. Donosi się też bez bliższych szczegółów, o kolportowaniu w Warszawie natrójczych wierszy czy o modłach za wolność, zanoszonych w świątyniach. Między wierszami wyczuwa się coraz wyraźniej, że społeczeństwo zaabsorbowane jest zbliżającą się niepodległością. Jest to zresztą wizja Polski Jasiellońskiej, stąd tyle uwagi na łamach pisma dla organizowania się czy kultywowania życia polskiego na kresach, jak np. obszernie sformułowania z działalności Rady Ziemi Mińskiej w której m.in. przeważali ziemianie, arystokracja i księża. Redakcja omawiając problem zachowania polskości przez mieszkańców Białorusi, kwestionuje dane spisu ludności wykazujące na Białorusi 5 proc. Polaków, gdy tymczasem należałoby wg. redakcji uznać za Polaków wszystkich białoruskich katolików, stanowiących ok. 12 proc. ludności.

4.

Dotkliwym ciosem dla aspiracji niepodległościowych, ogarniających też wschodnie polacie

dawnej Rzeczypospolitej, było zawarcie traktatu brzeskiego. Dowiadujemy się, iż nazajutrz po oficjalnym komunikacie, tj. 15 lutego 1918 r. rektorzy Uniwersytetu Warszawskiego i Politechniki na znak żałoby zawiesili wykłady na trzy dni, przestali się także odbywać lekcje w szkołach średnich, ustał handel, a wreszcie ustąpił gabinet rady ministrów. W związku z traktatem Rada Regencyjna wydała odezwę do społeczeństwa polskiego, której treści „Tygodnik Ilustrowany” jednak nie podaje.

Pojawiające się w tej sprawie często słowo „protest” należy rozumieć jako manifestację znacznej części społeczeństwa polskiego wobec faktycznego desinteressementu rządu niemieckiego w stosunku do ziem wschodnich, które przypadły republiki ukraińskiej i białoruskiej. Korzystniejsze dla ich zjednoczenia wydawało się zapewne pozostawienie tych ziem do czasu pod wojskowym zwierzchnictwem Niemiec.

„Oblicze Warszawy” — pisał cytowany w Tygodniku „Kurier Warszawski” — było wczoraj nacechowane stygmatem głębokiego bólu. Automatycznie, bez wysiłków agitacyjnych, organizm milionowego miasta zastąpił w bezwładzie, który ogarnął jego funkcje codzienne. Nie kursowały tramwaje i dorożki, wieczorem nie zapalono latarni ulicznych”.

Ciekawe, iż w argumentacji przedstawicieli polskiego życia politycznego, którzy zabierali głos w sprawie traktatu, jak np. w proteście galicyjskim na ręce cesarza Karola powoływano się na „pogwałcenie prawa międzynarodowego”, a w szczególności na Kongres Wiedeński z 1815 r. „uroczyście poręczający jedność i niepodległość Królestwa Polskiego”.

Wielu polskich działaczy rzekło się swoich godności i odmówić nadanych przez rządy zaborcze.

Warto może zwrócić uwagę na odmienność obecnego i ówczesnego spojrzenia na rolę traktatu brzeskiego. Dla nas dziś ma on znaczenie w aspekcie konfliktu niemiecko-rosyjskiego lub też jako wewnętrzny polityczny konflikt Włodzimierza Lenina z przeciwnikami zawarcia traktatu i chyba nikomu z nas nie przychodził na myśl rozpatrywanie tego faktu jako czynni-

ka wywierającego istotny wpływ na sprawę niepodległości Polski.

Perspektywy i przecucia zbliżającej się niepodległości musiały kierować uwagę społeczeństwa ku zagadnieniom ustrojowym, toteż z pewnością na czasie była książka działacza PPS i późniejszego przywódcy tej partii, Mieczysława Niedziałkowskiego pt. „Izby wyższe w parlamentach współczesnych”. Z wyrażną dezaprobatą „Tygodnika Ilustrowanego” spotkała się myśl Mieczysława Niedziałkowskiego, iż „władza prawodawcza państwa polskiego utworzona być winna w myśl systemu jednoizbowego”, albowiem „potrzebuje Polska parlamentu energicznego, sprężystego i stanowczego, który potrafiłby dźwignąć w tempie szybkim i jednolitym gmach prawodawstwa”.

5.

W publikacjach roku jubileuszowego snuliśmy rozważania o doniosłych i przełomowych wydarzeniach 1918 roku, nie zaprzatając sobie uwagi ówczesnym dniem powszechnym Polaka w byłym zaborze rosyjskim. A tymczasem nie były to sprawy bez znaczenia. „Jedną z najważniejszych była i długo będzie aprowizacja miast wielkich” — pisało w numerze z 16 marca. Dowiadujemy się, że „począwszy od 1915 r. staraniem społecznego komitetu obywatelskiego, bez żadnego wsparcia ze strony administracji, zaczęto zagospodarowywać nieużytki wokół Warszawy”, hodując głównie ziemniaki, kapustę, brukiew i fasolę dla potrzeby organizowanych tanich kuchni, które tysiące ludzi uratowały od głodu. „Trzeba wyruszyć za miasto, aby poznać co się tam robi na przedmowi życia, które po wojnie musi zgoła odmiennymi od dotychczasowych popłynąć torami” — kończy swoje uwagi autor artykułu „Na przedmowi”. W ogóle sprawy gospodarcze najbliższej przyszłości omawiane są stosunkowo często, np. sprawy szkolnictwa zawodowego.

W jednym z artykułów o rosyjskiej rewolucji, z cyklu pt. „Ex oriente lux”, pisanych jak zawsze w aspekcie spraw polskiej, Antoni Lange snuje niezmiernie ciekawe i kontrowersyjne rozważania, „Socializm nie jest bynaj-

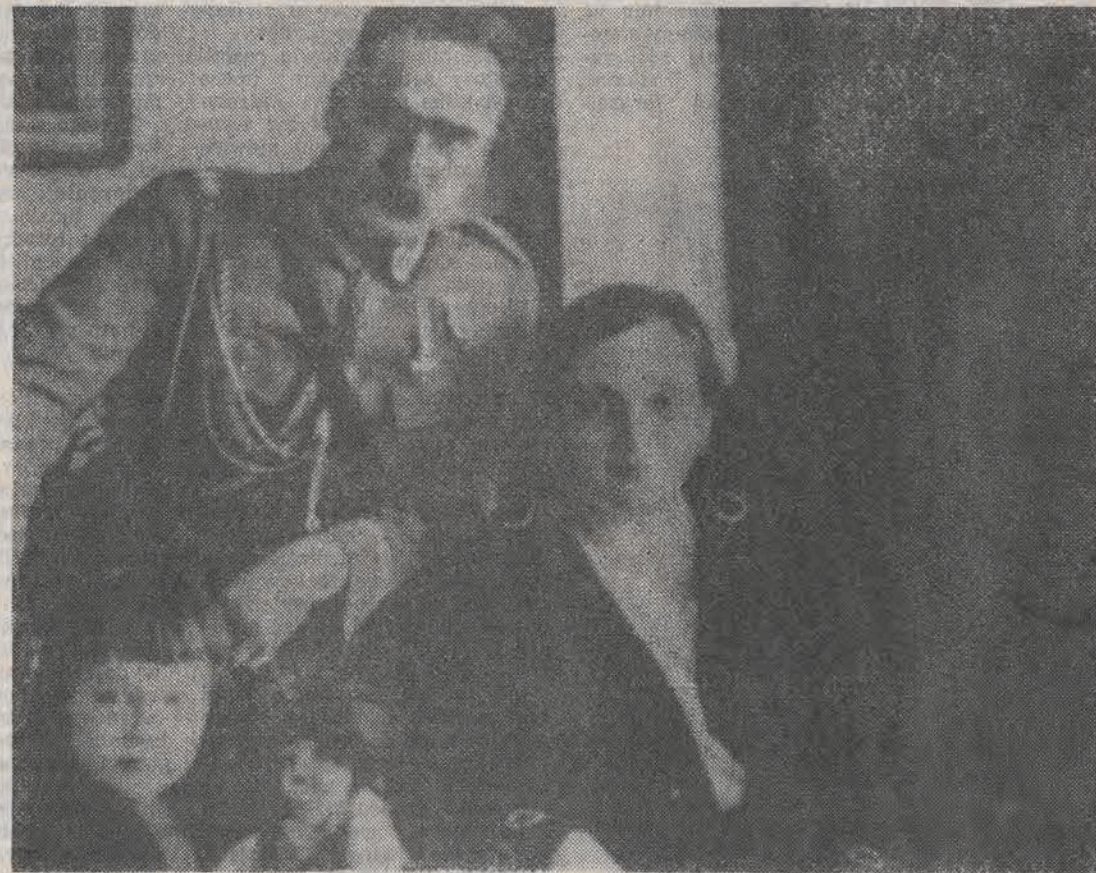
Co w listopadzie 1918 roku pisał „Tygodnik Ilustrowany”?

Zupełnie inny punkt widzenia

JERZY KWIECIŃSKI



Tymczasowe Prezydium Rady Stanu. W pierwszym szeregu od lewej strony stoją: Stefan Bądziński, Franciszek Pułaski, Józef Mikulowski-Pomorski. W drugim szeregu: H. Wykrzykowski, A. Popławski, J. Skotnicki.



Józef Piłsudski z rodziną

mniej walką całej burżuazji z całym proletariatem i vice-versa, jest to wyłącznie światopogląd robotników fabrycznych w stosunku do fabrykantów. (...) Zredukowany do tego czym jest i być powinien, socjalizm jest to zagadnienie, które da się umiejscowić pomiędzy klasą robotników a fabrykantów”. Za niepomysłną dla szans rewolucji rosyjskiej uważa autor okoliczność, że „na 180 milionów mieszkańców Rosji jest robotników mniej niż trzy miliony”.

6.

Z początkiem października 1918 jak można wnosić z lektury „Tygodnika Ilustrowanego” wybiły się na czoło zainteresowania opinii publicznej, dwa wydarzenia, którym my dzisiaj nie przypisujemy większego znaczenia. Oto kanclerz Rzeszy niemieckiej wystąpił wobec koalicji sprzymierzonych z propozycją pokojową, co dało asumpt Adamowi Grzymałce-Siedleckiemu do sformułowania poglądu (z datą artykułu 6 października), że można przewidzieć w dalszym rozwoju wypadków przynajmniej dwa pewniki. „Nie sposób jeszcze odgadnąć, czy koalicja przyjmie propozycję rozmów. Termin ostatecznego dnia wojny jest bliski. Ewentualna odmowa koalicji nie przewlecze wojny na dłuższe miesiące. Mimo trwania fizycznego wojny, final jej moralny już nastąpił”.

Tak też oceniła sytuację Rada Regencyjna, składająca się z arcybiskupa Aleksandra Kakowskiego, hrabiego Józefa Ostrowskiego i księcia Zdzisława Lubomirskiego. W „Odezwie do Narodu Polskiego” — z 7 października 1918 r. napisano:

„Wielka godzina, na którą cały naród polski czekał z upragnieniem, już wybiła. Zbliża się pokój, a wraz z nim ziszczenie nigdy nie przedawnionych dążeń narodu polskiego do zupełnej niepodległości”.

Jeśli dodać, że na stronie tytułowej numeru widnieje orzeł polski, a pod nim parodystyczny tekst zaczynający się od słów: „Pełta zerwana!” — musimy skonstatować, iż ta euforia niepodległościowa była nieco przedwczesna i też nie ta data przeszła do historii.

Dodajmy, iż Rada Regencyjna postanowiła powołać rząd, „złożony z przedstawicieli najszerszych warstw narodu i kierunków politycznych”, a w kolejnym numerze uderza w oczy wielką czcionką informacja pt. „Rząd państwa polskiego”. W tekście czytamy, co następuje: „Stanął pierwszy rząd zjednoczonej niepodległej Polski. Dzień 22 października będzie datą historyczną (...) weszliśmy w rzeczywistość państwową”.

I dalej: „Na czele rządu stanął człowiek, który od wielu lat jednoczył koło siebie szacunek powszechny całego kraju”.

Ow opatrnościowy mąż nazywał się Józef Świeżyński a jego nazwisko zapewne mało kto dziś zna, oprócz historyków.

W tym samym numerze z 26 października 1918 r. podaje się sylwetki wybitnych działaczy niepodległościowych z Galicji, m.in. Wincentego Witosa, Ignacego Daszyńskiego i Włodzimierza Tetmajera, znanego malarza i Gospodarza z „Wesela”, o którym pisze się, iż był w austriackim parlamencie autorem „formuły zjednoczenia”, zawierającej ważny passus o dostępie Polski do morza.

Godzi się też odnotować odbiegający stylizację od artykułów publicystycznych cykl artykułów Kornela Makuszyńskiego, który bez wstępu na temat (bo nawet nistąc o wulkach o Lwów) posługuje się konwencją sarkastycznie żartobliwą, i to z powodzeniem.

7.

Pod koniec 1918 r. coraz częściej na łamach „Tygodnika Ilustrowanego” pojawiają się nazwiska dowódców wojskowych, oprócz gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego, również Józefa Piłsudskiego, wreszcie Józefa Hallera. Ale formowanie się polskiej władzy cywilnej nie schodzi z pola uwagi. Okazuje się zresztą, iż świeżo upieczony premier Józef Świeżyński, który wypowiedział się za koniecznością jak najdalej idącej demokratyzacji stosunków w wolnej Polsce, doczekał się na łamach „Tygodnika Ilustrowanego” zawołanej przegany. „Nie szukać dla siebie wzorów u obcych, lecz w zgodzie z duchem narodu budować przyszłość! Bo naród nie lud, bo Polak, a nie chłop czy robotnik tworzą historię Polski”.

Pierwszym wydarzeniem bojowym, jakie na łamach pisma znalazło mocniejsze odbicie był artykuł o bitwie pod Kanowem, stoczonej przez II Brygadę Legionów, dowodzoną przez gen. Józefa Hallera. Znamienne, że od bitwy upłynęło pół roku, ale może trzeba było czekać aż zelże lub przestanie funkcjonować niemiecka cenzura.

Oczywiście numer z 16 listopada 1918 r. zawiera relację o wydarzeniach z poprzedzających dni. Pisze się o rozbrajaniu Niemców w dniu 9 listopada, dając kilka ciekawych zdjęć, odnotowuje się datę 11 listopada jako dnia zakończenia wojny datę sie całostroniową fotografię Józefa Piłsudskiego, informując o powierzeniu mu funkcji naczelnego wodza zamieszcza się okolicznościowe wiersze, ale fakt odzyskania niepodległości jako taki nie jest w piśmie wyodrębniony. Zresztą po przewrocie małym użmo oficjalnie 11 listopada jako święto niepodległości.

Ciekawe, że do świadomości redaktorów „Tygodnika Ilustrowanego” nie dotarł w ogóle fakt utworzenia 6 listopada Tymczasowego Rządu Polskiego Ignacego Daszyńskiego w Lublinie, albo też uznano go za niemaczący szczegół. Pozytywe ideowe pisma krystalizowały się coraz wyraźniej w narodowy kierunek: „Demokratyzm ludu polskiego jest z bieli i amarantu” — przestrzegano inaczej mścących czy może uspokajano się wewnętrznie. Zastrzeżala się polityczna polaryzacja społeczeństwa.

8.

A poza wszystkim lektura „Tygodnika Ilustrowanego” z pamiętnego roku 1918 skłaniać może przynajmniej do dwóch wniosków. Ze — po pierwsze — nie tylko na ocenę faktów, ale nawet na sam ich wybór wywierają wpływ polityczne sympatie i — po drugie — że dla uporządkowania obrazu rzeczywistości politycznej potrzebny jest czasowy dystans.

ba jeden z niewielu nie jest zalamany. Przyświeca mu jakiś bardzo konkretny cel, a bliskość jego realizacji przydaje energii.

21 września 1939 r. przepytując żołnierzy w stalowych mundurach przedostaje się do Czeremnowa. Tu znajduje się tymczasowe lotnisko samolotów internowanych razem z lotnikami. W równym szeregu stoją nowoczesne bombowce „Łoś”, duma polskich konstruktorów, przedmiot uznania prawie całej Europy. Warte przy nich trzymają rumuńscy żołnierze.

Galinat kręci się po płycie lotniska, usiłując przekupić Rumunów, przepytuje Polaków. Tu niewiele można zdziałać. Gospodarze dobrze pilnują sprzętu. Trudno dostać się do maszyn, a nim zdąży wystartować niechybnie będą straceni. Jedyną pocieszającą wiadomością jest fakt, że samoloty zadeklarowane jako własność Państwowych Zakładów Lotniczych nie podlegają internowaniu.

— Ale gdzie one są?

Po długich korowodach i przepytaniach zdobywa potrzebne informacje.

— Na lotnisku bukareszteńskim Beneasa jest „Sum”.

— Jaki „Sum”?

— Prototyp lekkiego bombowca PZL „Sum” trzymiesięjcowy dolnopłat konstrukcji metalowych przeznaczony na wyposażenie liniowych eskadr bombowych i rozpoznawczych.

To majorowi jeszcze niewiele mówi.

— A zasięg, szybkość lotu — bada ostrożnie.

Odpowiedź jest precyzyjna i wystarczająca, by wzbudzić zainteresowanie Galinata.

— Maksymalna prędkość 470 kilometrów na godzinę. Pułap 8600 metrów, a zasięg 1100 kilometrów.

A więc prędko do Bukaresztu. Po wielu próbach i staraniach odnajduje samolot, który dzięki międzynarodowemu dokumentowi nie został internowany. 22 września wjeżdża do stolicy Rumunii. Polski attaché wojskowy, Dowództwo Lotnictwa i placówka „Lot”, kiedy wysłuchają im swe zadanie, gotowi są udzielić wszelkiej pomocy w skompletowaniu załogi oraz zaopatrzeniu w paliwo i amunicję.

Wprawdzie samolot jest lekko uszkodzony, pilnowany dniem i nocą, ale formalnie nie podlega internowaniu. Rumuni kokietują pilota-oblatywca, a zarazem konstruktora podporucznika rezerwy inż. Stanisława Riessa. Liczą, że pozyskają go do współpracy przy uruchomieniu produkcji samolotów wzorowanych na „Sumie”. To ułatwia sprawę. Pilot ma swobodny dostęp do samolotów. Pod nosem strażników tankuje paliwo i amunicję.

Rano 26 września wszystko jest gotowe. Galinat ze wszystkimi pod podszewką dokumentami, w mundurze wojskowym przedostaje się na lotnisko. Porucznik Marek Rusiecki wspomaga całą operację jako dobrze znający język rumuński zaprasza strażników do restauracji dworca lotniczego. W tym czasie Galinat z pilotem Rieblem przedostają się do samolotu. Wraz z nimi ładują się do kabiny kapral Władysław Urbanowicz oraz starszy strzelec z cenzusem Władysław Hackiewicz, w rzeczywistości pracownik wywiadu.

O godzinie 14.30 samolot kołuje na pas i startuje ku bezsilnej wściekłości Rumunów. Wszystkie miejsca w kabine zajęte są przez obsługę, dlatego majorowi przypadło w udziale niewygodne pomieszczenie w luku bombowym. Lot ponad chmurami przy ciągłym zmienianiu się pogody trwa pięć godzin. Nieludzką trzaskę i rzuca, co szczególnie odczuwa Galinat nieprzywykły do podróży i to w tak niewygodnej pozycji.

Wreszcie dostrzegają strzelające wysoko słupy dymu i płomienie. To Warszawa.

Stanisław Riess próbuje podchodzić do lądowania na Okęcie. Zna dobrze lotnisko i jego warunki. Ale nic z tego. Zostają ostrzelani przez Niemców. Przypomina sobie o skrawku Pola Mokotowskiego, ongiś terenie wyścigów konnych. Przyjemnie się parokrotnie, wreszcie maszyna podskakując na nierównościach i grudach toczy się po ziemi.

Jeszcze w powietrzu zostają ostrzelani przez Niemców. Teraz kołują ku stanowiskom polskich. Biegają w ich stronę żołnierze w rogatywkach i hełmach. Wymachują rękoma. Dawno nie widzieli tu samolotu z biało-czerwoną.

Tymczasem w Warszawie sytuacja z godziny na godzinę pogarszała się. Wielkie bombardowanie i ostrzał artylerii niemieckiej 25 i 26 września przeprowadzono na osobisty rozkaz Adolfa Hitlera, który zjawił się w Grodzisku Mazowieckim i obserwował bój. Powstało dziesiątki pożarów. Wielkie zwaliny murów zatrasowały ulice. Sporzadzony następnego dnia bilans wykazuje, że ponad 60 tysięcy rannych leży w najbardziej przytłoczonych warunkach w salach klinowych, kawiarniach, a nawet w piwnicach. Brak prądu uniemożliwia chirurgom prace. Na skwerach i placach leżą setki, tysiące trupów ledwie przysypanych ziemią, szkielety konskie odarte z części mięsa nadającego się do jedzenia poczynają gnć rozsiewając obrzydliwy fetor. Żywność się kończy. Wody nie ma od trzech dni. Wielu mieszkańców głoduje. Żołnierze jeszcze otrzymują skąpe posiłki, ale w skrzynkach i jaszczach z amunicją do dział przeciwlotniczych i artylerii ciężkiej prześwieca dno. Warszawa jest u kresu swych sił materialnych i moralnych.

U generała Juliusza Rómmla zjawia się generał Walerian Czuma wraz z pułkownikiem Tadeuszem Tomaszewskim, stawiając przed dowódcą armii „Warszawa” dwa pytania.

— Czy jest jeszcze jakiś sens walki z ponad milionem bezbronnymi ludźmi we wnętrzu oblężonego miasta. Czy przeciąganie walki może przynieść jeszcze jakąś korzyść moralną, polityczną czy wojskową?

Kiedy przedstawia sprawę, za oknem rwa się pociśki i słychać silniki samolotów i eksplozje bomb padających na mosty, dworce, linie obronne i kamienie. Przygotowanie ognio-wo wywołane rozkazem Hitlera trwa nadal. Rómmel słucha uważnie. Z ostatniego meldunku wie, że amunicji z bieżącej walki na odparcie jednego szturm niemieckiego. W artylerii ciężkiej ilość pocisków waha się od dwóch

do piętnastu na jedno działo. Sprawa jest jasna, szkoda każdej chwili, każdej nowej kropli krwi przelanej. Dalsza obrona stolicy nie ma szans powodzenia.

Generał Juliusz Rómmel już się nie waha. Poleca generałowi Michałowi Tokarzewskiemu i pułkownikowi Tadeuszowi Tomaszewskiemu wysłuchać opinii Komitetu Społecznego. Jego członkowie mają odpowiedzieć „tak” lub „nie” na pytanie — czy Warszawa może się jeszcze bronić czy też nie?

Zebrał się w podziemiach gmachu PKO na rogu ulicy Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej. Przewodniczył generał Michał Tokarzewski, protokolował podpułkownik Lipiński. Członkowie Komitetu w większości byli przygnębieni, zdezerwowani, rozstrzęsieni. Jedynie Stefan Starzyński i Mieczysław Niedziałkowski zachowywali wyniosły spokój i opanowanie. Nie byli to tylko pozory. To samo można było odczytać z ich wystąpienia.

Niedziałkowski spokojnie i logicznie dokonał oceny rozpaczy sytuacji ludności cywilnej.

— Skoro poza Warszawą nie ma już żadnych wojsk i skoro nie można się spodziewać żadnej pomocy, to należy kończyć natychmiast. Ludność spełniła swój obowiązek. To samo, a nawet więcej można powiedzieć o żołnierzach. Wojsku należy się hold i wielkie uznanie, ale nie można zapominać, że mimo oficjalnej kapitulacji stolicy wojna będzie trwała dalej.

Innego zdania był Stefan Starzyński. Równie

Następny po nim, pułkownik Marian Porwit, ku zdumieniu wszystkich, odparł równie stanowczo.

— Tak!

Wszyscy kolejno wraz z generałami potwierdzali zdanie wyrażone przez Tadeusza Tomaszewskiego krótkim „nie”. Jedynie Tadeusz Kutrzeba zabierający głos jako ostatni uznał za słuszne danie szerszej odpowiedzi.

— Warszawa nakazane nam zadanie całkowicie wypełniła. Zadanie to było inne, gdy armie generała Bortnowskiego i moja walczyły na przedpolu, a inne, gdy teraz jesteśmy wszyscy razem, tu, wewnątrz. W tej sytuacji, w jakiej znaleźliśmy się, nie może być fałszywego wstydu, a dalszy opór byłby nieuczciwym samobójstwem — niepotrzebnym morderstwem ludności i niszczeniem miasta. W tym stanie rzeczy ja również mówię: nie!

Ledwie przebrzmiały słowa prawie zgodnej decyzji co do kapitulacji, generał Juliusz Rómmel wysłał parlamentarzystę kapitana dyplomowanego Wojciechowskiego. W oczekiwaniu na jego powrót generał wyznacza delegację do pertraktacji — generał Kutrzeba i pułkownik Tomaszewski. Jednakże ten ostatni prosi o zwolnienie. Nie czuje się na siłach.

— Wobec tego Lipiński — proponuje Rómmel.

Tej kandydaturze sprzeciwia się koleś Kutrzeba.

— Lipiński jest pochodzenia żydowskiego. Nie należy drażnić Niemców.

Tajna misja majora Edmunda Galinata



rzeczowo i z opanowaniem wyliczył dokładnie, czym dysponuje, jak będzie karmił ludność, jak zaopatrywał w wodę czerpaną beczkowozami z Wisły, gdzie rozmieścić rannych...

— Tak, ale pożary niszczą najpiękniejsze gmachy, Warszawa przestaje istnieć.

Starzyński pochylił się nicyzm tur szykujący się do ataku na przeciwnika i natychmiast odparował.

— Trzy razy tak piękną odbudujemy.

Po nim zabierał głos inni członkowie Komitetu. Prawie nikt nie poparł prezydenta Warszawy. Rozumieli — stolica jest śmiertelnie ranna. A poza tym nie ma wśród obecnych zwolenników zbiorowego samobójstwa.

Jako ostatni zabiera głos poseł Zygmunt Zaremba, wybitny i znany działacz Polskiej Partii Socjalistycznej. Podniósł za stołem swą zwalającą postać, wsparł się rękoma o blat. Ten zwykle opanowany, zrównoważony mężczyzna teraz popatrzył po obecnych, poczerwieniał na twarzy, chrząknął głośno jakby miał zakaszkęć i miał rozpocząć przemówienie skurczył się w sobie, poszarzał na twarzy i wybuchnął spazmatycznym płaczem kryjąc oblicze w dłoniach.

Decyzja zapadła bez głosowania. Należy Niemcom zaproponować zawieszenie broni i rozpocząć rokowania o honorową kapitulację.

Po wysłuchaniu tej opinii w tymże samym gmachu PKO w schronie dowództwa generał Juliusz Rómmel zwołuje radę wojenną. Do małego, ciemnego pomieszczenia, oświetlonego blaskiem świec schodzą generałowie: Tadeusz Kutrzeba, Walerian Czuma, Edmund Knoll-Kownacki, Franciszek Alter, Juliusz Zulauf i pułkownicy: Marian Porwit, Aleksander Pragłowski, Wilhelm Lawicz i Tadeusz Tomaszewski. Juliusz Rómmel przedstawił opinię Komitetu Społecznego, swoją ocenę sytuacji oraz postawił pytanie:

— Czy w tych warunkach można dalej prowadzić obronę?

W schronie zapadło grobowe milczenie. Rómmel, jakby dla efektu czy też dania czasu do namysłu odczekał jeszcze chwilę i zgodnie z utartym w wojsku obyczajem zwrócił się najpierw do najmłodszego rangą w tym gronie pułkownika Tomaszewskiego.

Ten podniósł głowę zwieszoną na piersi. — Nie — odpowiedział dobitnie wkładając w to słowo ciele swe przekonanie i poczucie odpowiedzialności.

Ostatecznie stało na tym, że do Niemców udadzą się generał Tadeusz Kutrzeba i pułkownik dyplomowany Aleksander Pragłowski.

— Ja nie pojedę — stwierdza Rómmel — nie czuję się na tyle dobrze. Resztą nie wdaję tak biegle niemieckim jak Kutrzeba i Pragłowski, którzy ongiś służyli jako oficerowie zawodowi w armii austriackiej.

Pod wieczór 26 września, kiedy delegacja wróciła i należało omówić szereg spraw związanych z formalną stroną kapitulacji, do schronu dociera meldunek przekazany przez szefa sztabu obrony Warszawy pułkownika Tomaszewskiego.

— Na starym wyścigowym Polu Mokotowskim o zmierzchu wylądował samolot z rozkazem Naczelnego Wodza. Na tym kierunku odnotowano próbę natarcia niemieckiego. Dowódca batalionu z ulicy Rakowieckiej kapitan Piestrzycki wysłał oddział żołnierzy dla ostony samolotu i oficera wiozącego rozkazy od marszałka.

Była to dla Rómmla bardzo ważna wiadomość. Nareszcie po tylu dniach będzie miał wiadomość z wolnego świata. Osobiście spodziewał się nawet jakichś rewelacyjnych nowin. Zadawał sobie pytanie — może stał się jakiś cud? Może za wcześniej rozpoczął rozmowy w sprawie kapitulacji? Zaraz się uspokoił — dobrze się stało, że jeszcze nie ratyfikował ani rozejmu, ani warunków umowy kapitulacyjnej z Niemcami.

Czas płynął, lecz ku zaskoczeniu i zdziwieniu generała nikt się nie zjawiał w sztabie. Zaczynał się już niepokój podejrzewając jakąś mistyfikację, tylko nie mógł pojąć przez kogo zaaranżowaną i po co. Po pewnym czasie wysłał nawet do sztabu kilku oficerów. Na próżno. Wysłannik marszałka przepadł jak kamień w wodę. Dopiero po jakichś trzech godzinach zjawił się w schronie budynek PKO. Ku zaskoczeniu obecnych był zupełnie pijany, chwiał się na nogach. Posadzone go na krześle. Rómmel wyprosił z pokoju oficerów. Pozostali tylko generałowie: Kutrzeba, Czuma, Tokarzewski i pułkownik Pragłowski.

— Z czym pan przyjechał i co za rozkaz pan przywiózł — generał z trudem hamował wściekłość.

Edmund Galinat ruchem ręki wskazał, że pod podszewką munduru ma zaszyty rozkaz. Czuma z Pragłowskim odpruli materiał i wyciągnęli zwitek jedwabiu podpisany przez Rydza. Generał wziął do ręki i przeczytał uważnie. Spodziewał się zupełnie czego innego. Milcząc wpatrywał się w skrawek materiału.

Myslał: Wysłał się człowieka z zadaniem objęcia kierownictwa organizacji walki podziemnej z Niemcami, w której bez wątpienia

weźmie udział cały naród polski, w każdym razie jego najlepszy element i wyznacza się na to stanowisko jakiegoś „bubka”, którego nikt nie zna, nawet sam Smigły. Cóż to za przywódca konspiracji, który rozpoczyna swe pierwsze kroki od tego, że upija się prawie do nieprzytomności! Ma polecenie lecieć do oblężonej Warszawy, która przeszła tyle prób, tyle nieszczęść, w której zginęło kilkadziesiąt tysięcy ludzi. I w tak tragicznej chwili przedstawiciel Naczelnego Dowództwa upija się, że trzeba go wieść do sztabu jak jaką wazkę. Powinien go oddać pod sąd wojenny. Lecz iluż to ludzi trzeba by ukarać, aby sprawiedliwości stało się zadość.

Wziął do ręki skrawek jedwabiu i zwracając się do wszystkich obecnych powiedział:

— Jest to rozkaz marszałka do mnie. Jestem na miejscu, w Warszawie, lepiej orientuję się w sytuacji, lepiej znam ludzi. Dla dobra sprawy, jako najstarszy obecnie dowódca, nie uznaję nominacji majora Galinata i wyznaczam obecnego tu generała brygady Michała Tokarzewskiego na dowódcę Polskiej Organizacji Podziemnej.

Pochylił się nad stołem i przybliżył zwitek materiału ku płonącej świecy. Jedwab zaskwierczał, zajął się jasno parząc generała w rękę. Strzępnął popiół na ziemię i rozłaził nogą.

Galinat milczał. Wyższy stopień, do tego dowódca armii decydował. Cóż więc mógł powiedzieć? Jedyne złożyć meldunek, że samolot którym przyleciał jest do dyspozycji Rómmla, aby ten mógł opuścić Warszawę i przekazać informacje, że rząd i Naczelnny Wódz są internowani w Rumunię.

Na zarzut pijanstwa powinien odpowiedzieć zgodnie z prawdą, że po paru godzinach spędzonych w luku bombowym, wymiotował, ledwie trzymał się na nogach. Dla kurażu oficerialnie przyjmujący go na Polu Mokotowskim poczęstowali wódką. To wszystko. Na próbę wyjaśnienia Rómmel sucho ucinął.

— Proszę odejść. O tym, kto polecą, zadecyduję dziś w nocy.

A więc kapitulacja stała się faktem. Rozkazy marszałka w niczym nie zmieniały położenia stolicy. Mimo natłoku obowiązków szefa sztabu obrony Warszawy pułkownik Tadeusz Tomaszewski sprawdza okoliczności skandalicznego zachowania się Galinata. Samolot leciał w kłępską pogodę. W „Sumie” rzucał i major dostał morskiej choroby. Po wylądowaniu na Polu Mokotowskim dowódca jednej z kompanii widząc zły stan przybyłego kuriera poczęstował go wódką jako lekarstwem. Alkohol na pusty żołądek spowodował, że Galinat doznał zamroczenia i przez jakiś czas był prawie nieprzytomny. Dopiero po trzech godzinach doprowadzono go do jakiegoś takiego stanu. I stąd stan nieźleżności.

W związku z tym Edmund Galinat nie stanął przed sądem, nie został ukarany. Wręcz przeciwnie. Gen. Michał Karaszewicz-Tokarzewski przyjmuje go w skład organizacji. W dniu 12 października major bierze udział w kolejnej, szóstej z rzędu odprawie wraz z pułkownikiem Stefanem Roweckim, wojewodą wołyńskim Henrykiem Józefem oraz innymi, którzy z generałem Karaszewiczem tworzą załazek Komendy Głównej Służby Zwycięstwa Polski.

W wyniku narady Galinat jako najbardziej odpowiednia osoba zostaje wysłany do Rumunii. Ma tam podjąć zdeponowane przez Rydza-Smigłego większe sumy pieniędzy przeznaczone na pracę konspiracyjną w kraju. Mimo polecenia Tokarzewskiego Galinat nie potrafił odtworzyć zmontowanej przed wojną siatki dywersyjnej. Wyprawa do Rumunii była więc jedyne sensowną misją.

Z tym zadaniem samowolnie z pułkownikiem Stanisławem Sosabowskim dotarł do Paryża miast Rumunii. Nie wraca stamtąd do kraju, ale też nie zostaje wykorzystany na emigracji. Przeważa tu względ na zmianę rozkazu, ale też na powiązania ze Smigłym, Tokarzewskim i ekipą legionową.

Na tym ostatecznie zakończyła się kariera majora Edmunda Galinata.

Błysnął jak meteor i zgasł. Chyba okoliczności sprzyjały się przeciw niemu.

Według opinii przełożonych i kolegów był on oficerem ideowym, zdolnym i energicznym. Reprezentował typ człowieka o silnie rozwiniętym poczuciu odpowiedzialności i uczciwości. Przez cały czas starał się kształcić, podnosić swe kwalifikacje i wiedzę. Ukończył Wyższą Szkołę Wojenną i studia prawnicze na Uniwersytecie Wileńskim. Był harcerzem, choć jednocześnie nie miał w sobie serdeczności i otwartości skautowskiej, co nie zjednywało mu zbyt wielu sympatii wśród kolegów i znajomych. A mimo to jego zalety charakteru i osobowości były takie, iż powierzano mu zwykle szczególnie trudne i odpowiedzialne zadania. Dlatego też wybór jego osoby, nie tylko z uwagi na przedwojenne prace związane z tak zwaną „dywersją pozarfrontową”, jako wysłannika dla tworzenia organizacji podziemnej nie był przypadkiem czy zbiegiem okoliczności. Słuszne też było rozumowanie, że na czele tajnej armii nie powinien stać zbyt znany i popularny oficer czy generał. To ułatwiałoby dekonspirację.

Major Edmund Galinat w swej drodze do walczącej Warszawy, a później w przebiegu do Francji wykazał wiele hartu ducha, niepospolitej odwagi i przedsiębiorczości. Na niektórych negatywnych ocenach jego osoby zaważyły jednak przypadki i zbiegi okoliczności, a najpoważniejszym z nich był rozkaz Rydza-Smigłego mianujący go dowódcą organizacji podziemnej. Rozkaz doreczony z opóźnieniem paru dni, kiedy marszałek faktycznie, choć jeszcze nieformalnie, przestał być Naczelnym Wodzem. Gdyby Rómmel otrzymał ten zwitek jedwabiu 17 lub 18 września zapewne właśnie Galinat a nie Tokarzewski byłby twórcą pierwszych załazków Armii Krajowej.

CEZARY LEŻEŃSKI

Prezentowany tekst jest fragmentem książki pt. „Kwatera 139”, która ukaże się nakładem Wydawnictwa Lubelskiego.

N

a czwartym piętrze tego starego gmachu jest taki uroczy zakątek, zwany jaskółką, gdzie od lat nie może trafić żaden prezydent. Goszczący w Urzędzie Miasta Łodzi profesorowie oglądają z podziwem lokum nr 445, kiwają głowami i stwierdzają w zdumieniu, że skoro nie wszyscy muszą się znać na geologii i konserwacji przyrody, więc fanatyków należy izolować. Bo geolog i konserwator przyrody są to mizantropi walczący z wiatrakami, toteż najlepiej czują się w parze, niby papużki w klatce. Darwiniści przebakują o małpach w klatce, ale trudno, w każdym urzędzie znajduje się darwinista.

W gruncie rzeczy nie jest aż tak źle, bo na przykład siedmioletnia córka konserwatora była tym lokum wprost zachwycona.

— Tatusiu — mówi — to wy pracujecie w takiej miłej łazience? Przystroję wam ściany i będzie jeszcze weselej, zobaczysz!

I dziecko zawiesiło w wolnych miejscach swoje kolorowe rysunki. Niewiele, bo pokój jest takich rozmiarów, że dwie ściany zakrywają niemal w całości dwie mapy, trzecią wypełnia okienko, a czwartą zajmują drzwi. Wykresy i mapy pomocnicze rozkłada się na podłodze. Biurko jest wspólne, a na biurku wspólny telefon wewnętrzny, aby szef mógł sprawdzić, czy pracownicy grzeją stołki. Telefon zewnętrzny też jest jeden, ale za to potrójny, gdyż za ścianą czuwa jeszcze ochroniarz przyrody. I kiedy pewnego razu aparat zagrzmiał niby dzwon na trwogę, po słuchawkę sięgnęły trzy dlonie, co zresztą zdarza się codziennie, tylko że wtedy akurat alarmowano głównego geologa.

— Ropa pod Łodzi! — donosił podekscytowany głos, pełen triumfu i niedowierzania zarazem.

— Gdzie?

— Blisko twojej chaty!

— A konkretnie?

— Wielkopolska 53...

— Ropa?

— Jak Boga kocham! Pięć metrów słupa ropy w otworze!

Zanim główny geolog dotarł na miejsce, gdzie robiono odwierty sondazowe pod przyszłe metro, gazetowi i telewizyjni rzucili się na to jak szakale i ogłosili sejkę naftową w Łodzi. Wprawdzie zobaczyli potem na wiertni smukłą blondynkę, która próbowała gasić ten gejzer euforii, ale co baba ma do gadania, nie?

Województwo małe, a kryje w ziemi i węgiel, i gorące mineralne wody.

Baba na wiertni

RYSZARD BINKOWSKI

Głównym geologiem w najmniejszym województwie świata jest pani magister Janina Świerzyńska. Inteligentny gliniarz wynotowałby z jej dowodu osobistego następujące dane: wzrost wysoki, znaków szczególnych brak, oczy zielone, stan wolny. Tak, tak, pani geolog jest do wzięcia, ale trzeba się przemyśleć z ostrożnością, w białych rękawiczkach, bo geolog wszystko odkryje. Dokonawszy życiowego odwiertu w pokładach duszy mężczyzny, zrezygnowała w kandydata na wieki wieków amen.

Odkryła także, skąd się wzięła ropa na Wielkopolskiej.

— Sama się dziwiłam, że ludzie nie zauważyli tak ogromnego wycieku. Wie pan, chodziło o pobliską piekarnię, w której wypiekano chleb spalając... mazut. Popekali przewody i zbiorniki. Płaski tak przeleciał mazut, że w odwiertcie stała piękna, czysta ropa. Nic, tylko tankować diesle i jechać. Ale wprost trzeba było założyć sondy, okonturować plamę ropy i sporządzić ekspertyzę, jak ją wy pompować, żeby uniknąć skażenia wód.

Tak więc Łódź nie będzie Kuwejtem, i dzięki Bogu. Ciekawostką jest natomiast fakt, że w mieście włókniarek znalazła się geolog w spódnicę, i to ze słacheckiego rodu. Bo pani Janina, z domu Gronostajska, urodziła się w Gronostajach, które zostały przy Polsce, dzisiaj woj. łódzkiego. Z tym, że po wyzwoleniu cała rodzina wyjechała do Lidzbarka Warmińskiego, ponieważ w Gronostajach zrobiło się jakieś niezdrowe powietrze. Dzisiaj mogłoby sporo o tym powiedzieć zmarły ojciec pani Janiny, żołnierz Armii Krajowej, na przykład o pacyfikacji akowskich wsi, już po przepędzeniu Niemców.

Maturę zdała w Olsztynie, gdzie nauczycielka przyrody, Lidia Wilmowska, rozbudziła w dziewczęcej głowie marzenia o geologii i wędrówkach po świecie. Najpierw wybrała się do Wrocławia na wycieczkę, a potem na studia, aby wyspecjalizować się w hydrogeologii. Dobrze trafiła, gdyż pracowało tam grono wybitnych profesorów z Łwowa, ludzi o głębokiej wiedzy i wysokiej etyce, jak chociażby Henryk Tessyre, u którego była młodszym asystentem, czy też prof. Świerzyński, który faktycznie jeździł cały świat, odkrywając m.in. złoża naftowe na Jawie.

Młodzieńcze sny o potęgę rozwijały się niby dym z papierosa. Trzeba było ciężko pracować w kraju, gdyż wyjazdy w świat zarezerwowano jedynie dla wybrańców.

— Dopiero u lepszych czasach zlatam kawalek Europy, dojeżdżam na północ, zaliczam Bajkał, Uchodźłam za odmieńca, który zamiast pohandlować i przywleć złoto i ciuchy, zaspokaja swoje snobistyczne ambicje. Matka załamywała ręce i skarżyła się sąsiadom, że córka zwozi do domu same kamienie.

Janina Świerzyńska pamięta, że gdy w 1962 r. znalazła się w Łodzi, nie widziała już żadnej czystej rzeczki. No, może z wyjątkiem fragmentu górnego Neru. Później Wydział Ochrony Środowiska wielokrotnie zwracał uwagę na straszliwe zanieczyszczenie, jakie czynią w przyrodzie zakłady „Boruta”, ale w Komitecie zawsze odpowiadano, że „Boruta” nie należy się cześcić. Chciano także uszczęśliwić Łódź wodą z Belchatowa, która mogła ulec zasoleniu lub zanieczyszczeniu, toteż pani geolog ofertę te odrzuciła. I szlag ją trafił, gdy przedstawiciel Ministerstwa Ochrony Środowiska zachwalał w telewizji pomysły, żeby te dziury w Belchatowie zasypać śmieciami z RFN, których nie chcą nawet w Afryce, gdyż bywały radioaktywne.

Pracowała w grupie wiertniczej w Srebrnej, w Przedsiębiorstwie Hydro-Geologicznym zajmującym się ujęciami wód podziemnych. potem w Urzędzie Wojewódzkim jako inspektor, wreszcie jako główny geolog koordynujący działalność w zakresie prac hydrogeologicznych. Za swój osobisty sukces uważa wymuszenie na ministrze ochrony środowiska decyzji, że jeśli lustro wody obniży się do rzędnej plus 100 m nad poziom morza, ujęcie należy wyłączyć z eksploatacji, bo to jest dopuszczalny poziom depresji w rejonie Łodzi. Zresztą, nie ma nawet pomp do ciągnięcia wody z takich głębokości. A sytuacja jest taka, że już dziś należałoby zamknąć ujęcie wód podziemnych dla wielu zakładów pracy i dać im wodę z Pilicy. Sek w tym, że nie ma sieci rozdzielczej na wodę pitną i przemysłową. Przemysł korzysta z dobrej jakości wód podziemnych, szczególnie wód jurajskich, I i II klasy, ze szkodą dla ludności.

Dlaczego główny geolog zajmuje się głównie wodą?

Ano dlatego, że nie mamy rzeki i podstawowym zasobem są dla Łodzi eksploatowane od ponad stu lat wody podziemne. Podobnie jak pod Belchatowem, wokół Łodzi wytworzył się lej depresyjny i obniżył się poziom wód dolno- i górnoekwadowych, które trzeba chronić, tworzyć sieć obserwacyjną, wierceć tzw. piezometry i czuwać, aby nie doszło do katastrofy.

— Będąc w Finlandii widziałam przy każdym gospodarstwie małą oczyszczalnię ścieków. Ten kraj jest tak święty i czysty jak spod żelazka. A u nas szwarc, mydło i powidło i bywa

tak, że trzeba zamykać wiejskie wodociągi. I te zamierające laski w aureoli nielegalnych wysypisk śmieci...

— Ciasno. Z uruchomieniem wysypiska w Pałczewie też są kłopoty.

— Wie pan, gdyby rozszerzono granice, ja nie miałabym tam czego szukać, bo złoża już odkryto. A jak chodzi o Pałczew, to są dwie szkoły. Albo uszczelnia się dno wysypiska, albo wypie się odpady bezpośrednio i wtedy piasek spełnia rolę filtra, a po czasie następuje samoczynne uszczelnianie. Chłopi walczą o swoje, bo za takie miłe towarzystwo coś im się należy. Nie ma zagrożenia ekologicznego, zresztą opinię w tej sprawie wyda Instytut Geologiczny w Warszawie...

Podczas odwiertów robionych w rejonie gminy Zgierz znaleziono złoża węgla brunatnego, a przy okazji natrafiono na bogate zasoby wód mineralizowanych i otwór zamknięto. Miałoby tam uzdrowisko, miała być wytwórnia wód mineralnych, ale nic nie drgnęło, bo trzeba czekać, cholera, na decyzję o uruchomieniu kopalni. Takie to małe województwo bogate, ma węgiel brunatny i wody mineralne, ale z nich nie korzysta. No, ale w końcu coś jednak drgnęło. Zadzwoń telefon ze Zgierza i w słuchawce zabulgotało!

— Ratunku! Wulkan w Wypychowie!

— Pewnie po półlitrze na łeb, co?

— Słowo daję, że na trzeźwo! Koniec świata! Chłopom zalewa pola!

Pani Janina mruży w uśmiechu oczy.

— Wzięłam samochód i pojechałam. A tam coś wspaniałego! Słup wody bije na wysokość czterdziestu metrów, promienie słońca załamują się w kryształkach, tworząc przepyszną tęczę, a wokół tej ogromnej fontanny snują się opary, bo woda ciepła. Tyle że nie można było do tego podejść. Wysokie ciśnienie zerwało głowicę i na pomoc trzeba było wzywać brygadę z Urzędu Górniczego.

Po tym zasileniu gleby wodami mineralnymi chłopcy zebrali pewnie wysokie plony, ale żadna to dla nas pociecha. Bo jak się w rejonie Zgierza robi odkrywkę, to przyrodę będziemy oglądać na obrazkach. A tu jeszcze mamy złoża węgla brunatnego w okolicach Rogoźna. Węgiel miłej jakości, ale gdy ktoś wpadnie na pomysł, żeby go po 2-tysięcznym roku zacząć wydobywać, to już naprawdę będzie koniec świata. Chyba jednak pożyteczniejsze byłoby wykorzystanie zasobów wód mineralnych.

Wody coraz mniej, a tymczasem sprawa budowy zbiorników retencyjnych w okolicach Rzgowa i Lutomierska jakby przyćmiewa. Żyli złota pod Łodzią się nie znajduje, za to każda tonę piasku mierzy się w wagę złota. Bez kruszywa budownictwo stoi, a tu z cegłą też nie najlepiej, bo niby są złoża surowców ceramicznych, lecz gliny mocno zamagłone. Margiel puchnie i cegła się rozsypuje. Wyrobiska zaspękuje się pyłami dynamicznymi, których nie ma gdzie wywozić. Mówi się, że to nieszkodliwe, ale pani geolog zażądała od elektrociepłowni ekspertyzy, jak na jakość wód podziemnych wpłyną pyły, które mają być sypane do wyrobiska w Bogini koło Skoszew. Z pyłów można robić płyty, słupki, pustaki, ale jak dotąd mamy tylko jedną „fabrykę domów z dymu”. Jeżeli nie zdobędziemy się na spalarnię, kompostownię i urządzenia do przeróbki chemicznej, to za pół tysiąca lat następcy pani Świerzyńskiej będą nadal szukać wody dla Łodzi, znajdują zaś pokłady śmieci i zasilaczowy pył, a w nich zmumifikowane zwłoki działaczy Ligi Ochrony Przyrody.

W południe na „jaskółce” słychać dzwony z kościoła przy Sienkiewicza. Słychać też melodyjne kuranty. A niekiedy słychać gwizdki, przed kościołem robi się niebiesko, tak pobojniewają organy, a ksiądz wita dobrym słowem i tych, co z potrzeby duchowej, i tych, co przybyli służbowo. A potem dzwoni telefon i pełen histerii głos wywrzaskuje, że na Teofilowie wybuchły gejzery. Na miejscu okazuje się, że wskutek złego zacementowania wywalilo rury wiertnicze i w niebo poszła wielka fontanna z piżmicy.

— Ale tak konserwator przyrody, jak i główny geolog, nie wyjadają na „jaskółce”. Jedzie się w teren z brygadą wiertniczą i nie ma przgryb.

— Mam do dyspozycji samochód służbowy — mówi pani Janina — ale zawsze trzeba go szukać albo czekać na kolejkę. Najlepiej więc jeździć na ryczałcie prezydenckim własnym wozem. Mam taki nowy typ trabancika, który nazywałam trampkiem. Zimą trampek zamara, trzeba skrobać śnieg, więc nie jest wesoło...

Główny geolog szuka wody w rejonie Gałkówek dla wschodniego pasma Łodzi. Poza tym prowadzi kontrole terenowe robót geologicznych. Zajmują się nimi przedsiębiorstwa państwowe i 15 firm prywatnych. Ostatnio głównego geologa widziano na bocznej uliczce Andrespola, gdzie firma polonijna buduje zakład, który potrzebuje wody. Na zapleczu hali przemysłowej stoi wieża, zestaw wiertniczy, a wierci Zakład Robót Wiertniczych Józefa Banasiaka. Z kolei w Dąbrowie Wielkiej, tuż przy szosie, na wzgórkach, firma Inż. Andrzeja Barnata remontuje stację wodociągową.

Deszcz, mróz, zawierucha — geolog wojewódzki w terenie. Są przeciwnicy, idzie więc cynk: „Uwaga! Baba na wiertni”. Mężczyźni nie mogą się z tym pogodzić, ale czują respekt. Bo pani geolog zajrzy w każdy kąt, oceni efekty, sprawdzi, jak pracuje nadzór geologiczny, czy robota zgodna z projektem, czy są odstępstwa. Zbada czy na wiertni właściwa dokumentacja, czy próby są prawidłowo opisywane i przechowywane itp.

Ludzi brak, nikt nie rozumie spraw geologicznych, ale chętnie korzysta się z wiedzy geologów.

Przy czym sukcesy przypisują sobie ci, co biorą pensję o 50 proc. wyższą. A geolog jest do roboty. I na dodatek jest jeszcze złym urzędnikiem, traktującym bez elegancji potentatów, bo przyjmuje ich w lokalu o kubaturze łazienki. Żeby więc całkiem nie zmarnieć, geolog rozkłada w domu deskę projektową lub wyjeżdża w weekendy na prace złeczne. A na co dzień naraża się szefom innych wydziałów w UME, bo przeszkadza im w inwestycjach, nie zgadzając się na to, co zagraża środowisku, oni zaś z kolei nie pozwalają jej postawić garażu i „trampkę” marki trabant zamara.

Pani Janina mówi dużo i szybko, z leciutkim zaśpiewem. Skóra śniada, której opalenizna trzyma się aż do zimy, ramiona szczupłe, dłonie wąskie, o smukłych palcach bez nałotu nikotyny, bo pali rzadko. Ale nie są to dłonie wyłącznie do pedzelka z tuszem. Do mycia okien, gotowania, wkładania śrubki w aucie, do prania i tego wszystkiego, na co kobieta współczesna skazana. Wysłuchuje ze stoickim spokojem nadętych mądrych głów, po czym daje im czas na wyrównanie oddechu i punktuje, wytykając głupoty i odrzucając projekt.

No tak, pomyślałby kto, że Herod Baba, a to przecież tylko kobieta która ma także prawo do swojego małego intymnego świata. Ale ona nie zamyka się w swoim mieszkaniu przy Uniejowskiej, które z dawnego M-4 przemieniło się jakimś cudem w dzisiejsze M-3.

— Działam w Polskim Towarzystwie Geologicznym, uczestniczę w sympozjach krajowych i zagranicznych, czasem z własnym referatem, jestem też koferentem w specjalnej komisji przy ministrze ochrony środowiska. W domu nagrywam po nocach muzykę, ale nie tę wściekłą młodzieżową, poza tym interesuję się najnowszą historią Polski i lubię jeździć samochodem.

— A poza geologią też pani coś odkrywa?

— Łódzki rynek, żeby móc coś kupić. Na cmentarzu za Podgibicami odkryłam grób właściciela majątku ziemskiego, z którego zrobiono spółdzielnię produkcyjną. Nazywał się Rokossowski. Ale to nie z tych, co był nam marszałkiem...

W mieście trwają wiercenia pod metro, wszystko idzie gładko, na kurawkę nie natrafiono. A łodzianie zastanawiają się, ile też stworzenie tego luksusu przyniesie szkód budowlanych, gazowych i wodnych. Myślę, że Janina Świerzyńska chciałaby zapewne dokonać na Gwiazdce jeszcze jednego odkrycia. Znać też dla siebie trochę szczęścia, życzliwości, spokoju.

Konfrontacje

Strategia w gąszczu drobiazgów

Muszę na samym początku zastrzec się, że nie kieruję mną ani zła wola, ani nic podobnego, tyle tylko, że jako wyborca chcę wiedzieć jak pracuje Rada Narodowa Miasta Łodzi i za pośrednictwem druku chcę informować o tym innych wyborców, a Czytelników „Ogłosów” zarazem. Muszę ten wstęp zrobić dlatego, że jeden z radnych poczuł się obrażony, iż napisałam o tym, jak to część radnych po wzięciu diet udała się do domu, co było prawdą. Jeśli więc krytykowałam, to nie tych, którzy pozostali na sali i dotrwali do końca obrad, ale tych, którzy tego nie uczynili. Oni powinni zatem poczuć się ewentualnie urażeni krytyką, a nie ci — jak ów radny — którzy pilnie uczestniczyli w obradach. Trudno, jeśli się pełni publiczną funkcję, trzeba przywyknąć do publicznej krytyki.

Teraz nie wiem, czy znów ktoś się nie obrazi, kiedy napiszę, że nagle na sali zrobiło się ciemno, zepsuła się instalacja elektryczna, przewodniczący nie mógł odczytać tego, co miał do odczytania. Awarie krążą po gmachach, ale nie powinny zdarzać się akurat wówczas, gdy obraduje Wysoka Rada. Od tego są służby specjalne, którzy powinni wszystko przed posiedzeniem przejrzeć i wszelkie usterki usunąć. Dając tym przykład innym. No, bo skoro się na posiedzeniu RN Miasta Łodzi krytykuje różne służby i nie tylko służby miejskie za złą pracę, to służby UME powinny być tu przykładem.

Pisałam poprzednio, że wyobrażałam sobie, iż na posiedzeniu RNML rozważa się sprawy strategiczne. Jeśli się mówi o komunikacji miejskiej, to nie o komunikacji na jednej linii tramwajowej czy autobusowej, ale o całoci, czyli o wszystkich liniach, o koncepcji rozwijania kłopotów komunikacyjnych. Tak sobie to wyobrażałam, ale moje wyobrażenia nie pokrywa się z rzeczywistością. Oto bowiem wstaje radna i powiada, że autobus linii 57 kursują stadami. Dlatego ona proponuje, aby zabrać kilka autobusów z linii pośpieznej, bo jeżdżą pustawie i dać je na linię 57. Tu ledwie powstrzymałam się od pytania: — Czy po to, aby jeździły większymi stadami? W moim przekonaniu — i będę się przy tym upierała — rola radnego nie polega na tym, aby usprawniać komunikację autobusową na linii 57, ani na żadnej innej. Polega natomiast na tym, aby myślał o komunikacji jako całości. I uczył się takiego myślenia. Od usprawniania komunikacji na linii 57 są specjaliści w MPK. Chciałabym natomiast usłyszeć wypowiedzi radnych na temat komunikacji z budującymi się osiedlami — na przykład z Olechowem. Byłby już czas zastanowić się nad tym, czy komunikacja miejska ma wyprzedzać załadunkiem się osiedla, czy też kulawo się porządkować na skutek społecznej krytyki?

Wyobrażam to sobie tak. Gdy zbliża się sesja rady narodowej ludzie zgłaszają się do radnych i opowiadają im o różnych bolączkach. — Powiedz to na trybunie — nakazują mu. Potem sięgają do gazety, czy a? — odpowiadają mu, co ich radny miał do powiedzenia. Radny chce, czy nie — mówi, no, bo jemu w końcu wyborcy kazali. Stąd właśnie biorą się — tak mi się przynajmniej wydaje — różne drobiazgi. Wstaje na przykład radny i domaga się, aby sklep X był otwierany nie o 7 a o 6 rano. Ludzie! Gdzie ja jestem? Przecież takie sprawy trzeba załatwiać na przykład w Wydziale Handlu i Usług Dzielnicy, a nie w Urzędzie. Tam przecież radny też ma wiele do powiedzenia. Nie tylko na sesji rady narodowej.

Inny przykład. Narzeka radny na rozgrzebaną instalację gazową na osiedlu „Czerwony Rynek”. Wszyscy narzekamy na różnego rodzaju „wykopki”. Jakże się ciagle rozpoczyna w mieście i nie kończy. Ale zarzeganie rozgrzebaną instalacji gazowej na osiedlu „Czerwony Rynek” nie leży w gestii RNML, ani UME, a przede wszystkim w gestii Administracji Osiedla „Czerwony Rynek”. Pracują tam ludzie, biorą pieniądze i rada narodowa może ocenić ich pracę, ale nie zajmować się zasypanych dziur.

Mam takie wrażenie — może znów się mylę — że wiele spraw powinno zostać załatwionych w komisjach RNML. Na przykład taka. Na Chojnach — Zatorzu zaplanowano wybudowanie czterech przedszkoli. Dwa już stoją, trzecie jest w budowie, ale o czwartym nie słychać. Wyobrażam sobie, że komisja Rady Narodowej Miasta Łodzi powinna zwrócić się w tej sprawie do Kuratorium Oświaty i Wychowania z pytaniem o powody zatrzymania tej budowy. A może w ogóle zastanowić się nad inwestycjami oświaty?

Niektórzy radni zdają się nie wiedzieć, że istnieje taka książka, do której należy wpisywać różne drobne uwagi, a one są traktowane na równi z interpelacją. I czasu mniej się traci, i nie zwraca się głowy innym radnym drobiazgi. Dlaczego jednak o tym nie wszyscy radni wiedzą — tego znów ja nie wiem.

To dobrze, że radnym towarzyszą troski i sprawy codziennosci, ale byłabym szczęśliwa, gdyby o tych sprawach mówiono jako o problemach, a nie o drobiazgach. Jeśli na przykład o gazie, to o wszystkich zagrożeniach, jakie niesie z sobą przestarzała, nie konserwowana sieć gazowa. Słusznie zaproponował jeden z radnych, aby zamiast nieustannego narzekania na MPO i wysłuchiwanie ich beznadziejnego tłumaczenia, że tego nie ma, a tamtego brakuje i skąd to wziąć, skorzystać z doświadczeń Stuttgartu, gdzie te sprawy rozwiązano ponoc z powodzeniem. Skoro już mamy przyjaźnić się z tym miastem, to niech to też będzie wymiana doświadczeń, a nie tylko delegacji.

Narzekano na stan telekomunikacji w gminie Ozorków i Parzęczew, ale stan ten jest zły nie tylko w tych gminach. Może by w ogóle RNML zajęła się rozwojem telekomunikacji w województwie? Narzekano na zły odbiór telewizji na Zarzewie i podobno nie tylko tam. Nie wiem, czy RNML w ogóle wie, jak wygląda wyposażenie techniczne telewizji w Łodzi? Wiele mnie zmartwił apel radnego do Kuratorium Oświaty i Wychowania o talony na encyklopedie i słowniki dla wiejskich nauczycieli. Jedne talony likwidujemy, inne tworzymy. Wiem, że kupno encyklopedii stanowi dziś problem. Opowiadano mi, jak to w księgarni pojawiły się encyklopedie i jakaś popularna powieść. Natychmiast ustawiały się kolejki i wszyscy brali i powieści i encyklopedie. Czy wszystkim była potrzebna? Mam wątpliwości. A dziś encyklopedia to znakomita lokalna kapitał. Boże! Jaki ten naród romantyków zrobił się kupiecki! Ale swoją drogą warto w ogóle zastanowić się nad sposobami dostarczania wielu wartościowych książek na wieś, aby tamtejszy nauczyciel nie musiał czuć się gorszym.

Radni otrzymują „Informacje o ważniejszych decyzjach, zarządzeniach i innych przedsięwzięciach Prezydenta Miasta Łodzi i podległego aparatu administracyjnego — w okresie...” z czego można dowiedzieć się wiele interesujących rzeczy. Radni czytają i dziwią się. Niekiedy słusznie, niekiedy nie. Jedna z radnych zdziwiła się oceną porządku w mieście. A było tak.

Od 15 do 18 listopada była w Łodzi komisja kontrolna pod kierownictwem gen. Erwina Rozubickiego, która kontrolowała w województwie całokształt życia, ale szczególnie zwracała uwagę na stan porządku, zabezpieczenia przeciwpożarowego i sanitarnego, zaopatrzenie rynku oraz zabezpieczenie mienia obywateli. Podobna komisja była w maju 1988 roku. Teraz stwierdzono, że nastąpiła poprawa. „Ogólny stan województwa uznano jako dobry”. I to właśnie zdziwiła radną. Mnie też. Właśnie spotkałam pewnego starszego koleżkę, który powiedział, że tak złego zaopatrzenia jak w Łodzi nie ma w żadnym mieście.

BOGDA
MADEJ

Przez 10 lat i kilka miesięcy słuchał pan różnych komend funkcjonariuszy SW w więzieniach Warszawy-Mokotowa, Białołęki, Strzelec Opolskich i Wrocławia. Czy zdarzały się próby szczególnego poniżenia, zwykłego obrażenia, wrogości?

— Wrogości do „aktora-złodzieja”, proszę pana. Tak, zdarzały się. Dopóki ja, idiota, żądałem wielkopolsko od służby więziennej mówienia mi zamiast „per ty”, regulaminowo — „per wy”. Co klawisz, o dziwo, uważała za uwłaczającą godności Polaka. Podobnie jak zwrot do nich „per obywatelu”. Woleli, aby więźniowie mówili do nich „per pan”. Pewien stołeczny klawisz, którego ostentacyjnie „nie dostrzegałem”, gdy mi otwierał i zamykał drzwi celi, w końcu nadlał mi kulakiem zębro, wraz ze słowami: „Ty, Na-ski myślisz, że jak skończysz uniwersytety, to możesz mna pogardzać?” W tym momencie zrozumiałem, o co chodzi. Odtąd byłem z nim i z resztą klawiszów w całkiem sympatycznych stosunkach.

— Ile tomów liczyły akta pańskiej sprawy?

— Kilkanaście.

— Jak Wysoki Sąd określił pańskie przestępstwo w uzasadnieniu wyroku?

— Nie wiem. W trakcie całego przewodu sądowego nie tylko nie zeznałem ani słowa, ale i niczego nie słyszałem.

— Jak to?

— Miałem w uszach zatyczki z wosku. Potwornie się wstydziałem. Aż do przejmującego mnie fizycznego bólu. Wywoływały go także wszystkie dźwięki, słowa...

— Ale to jednak pan kierował napadem na emerytowaną pielęgniarke, Annę Wujek, ustalając jej miejsce zamieszkania, przedstawiając do zrealizowania plan przestępstwa m. in. przez użycie chloroformu i zastosowanie przemocy, co doprowadziło ofiarę do śmierci. A nadto zapewnił pan przygotowanie alibi wykonawcom tego przestępstwa.

— Pan, zdaje się, cytując oskarżającą mnie wówczas panią prokurator. Weźmy dla przykładu owe alibi, które miałem zapewnić sprawcom napadu. Przecież czyniąc to, sam włączyłbym się w krag podejrzanych. Drugiego ze sprawców poznałem w rok po napadzie. Byłoby to pierwsze takie alibi w historii kryminalistyki.

— Jerzy Urban napisał w artykule „Esprit de corps” na łamach „Kultury”, że kradł pan już jako student. Pan to potwierdza?

— W tym artykule można też przeczytać: „Kiedy(—) znaleziono trupa Anny Wujek śledztwo zwróciło się ku środowisku przestępczemu. Aresztowano czterech zawodowców. Jeden z nich w pewnej chwili przyznał się do tej zbrodni. Proces ich już się rozpoczął, gdy wykryto, że w sprawę zamieszany jest Jerzy Na-ski (czyli ja) i jego współnicy. Prokurator wycofał oskarżenie wobec tamtej czwórki. Jeden z niej P. Imbiorski, który nieprawdopodobnie, choć jakże szczegółowo przyznał się do zabicia Anny Wujek, popełnił następnie samobójstwo, co zresztą pokrywa tajemnicą motywów owego dziwnego samookarżenia, które mogło doprowadzić do pomyłki sądowej dramatycznie wydłużając listę ofiar Jerzego Na-skiego”. Zachodzi tu drobna nieścisłość. To ja naprawiłem czyjaś „omyłkę” zawiadamiąjąc organa ścigania o rzeczywistych sprawcach tej zbrodni. Dlatego całą tamną czwórkę uniewinniono.

— Kochała Andrzeja Wicza i zdradzić go, oddając w ręce prawa. Bez świadomości, że ta zdrada może kosztować życie kochanka?

— Był winny. Mój adwokat tak kończy pismo do ministra sprawiedliwości o ponowienie mojego procesu: „Wyrok uznający J. Na-skiego za winnego kierowania napadem na Annę Wujek opiera się wyłącznie na pomówieniu go, przez jego przyjaciela Andrzeja Wicza, którego J. Na-ski wydał w ręce sprawiedliwości. Ogromna ilość wątpliwości (przy braku jakichkolwiek dowodów tej winy) została rozstrzygnięta

przez Sąd Wojewódzki na niekorzyść Na-skiego z naruszeniem podstawowych gwarancji prawnych oskarżonego”. Lecz minister nie ponowił mojego procesu. Wystąpił jedynie z urzędu o ulaskawienie mnie...

— Nie będę teraz dochodził, jak było naprawdę. Zatrzymam się przy rozmachu, z jakim pan niegdyś żył.

— Z rozmachem?

— W środowisku aktorskim uchodził pan za konesera i znawcę dzieł sztuki ich kolekcjonera. W relacji na łamach „Prawa i życia” przeczytałem, że przedmioty artystyczne oceniał pan nie według ich piękna ale wedle tego, ile można za nie dostać. Czyli najważniejszy był dla pana pieniądź?

— Co za bzdury! Z wielu posiadanych dzieł sztuki raz sprzedawałem naszej Telewizji dwie osiemnastowieczne komody. I to tania. A więc moich Gierzyńskich, Michałowskich, Malczewskich, Falatów, Wysockich, Kossaków i tak dalej, kupiłem dla przyjemności?...?

— Prasa z tamtego okresu nazwała pana utrzymankiem aktora Mieczysława G., ale przecież pan również zarabiał, grając i to często główne role w teatrze, filmie, telewizji, radiu?

— Ówczesna prasa zrobiła ze mnie także trzeciorzędnego aktorzynek... Aby nie miało wizerunku absolutnego potwora. Jerzy Urban też pisał, że Na-ski „...parał się handelem albo występował w roli utrzymanka”. No więc proszę posłuchać: „Robaczek” (czyli Mieczysław G.) błąkał się z dyskretną melancholią: „Kochałem Na-skiego i dawałem mu dużo pieniędzy...” — to fragment z mojego nie wydanego pierwszego tomu „Zbrodni i...”. Mój akt oskarżenia w swej pierwszej części tak to uściśla: „...Wydatki na prowadzenie wspólnego gospodarstwa pokrywał głównie Mieczysław G., bowiem J. Na-ski zarabiał na ogół niewiele”. Dziwią więc stwierdzenia dalszej części tego samego aktu oskarżenia: „...Do J. Na-skiego i Mieczysława G. przychodziły paczki z Zachodu z żyłkami, paskami do zegarków, końcówkami do długopisów. Tylko w latach 1969-70 pod adresem Mieczysława G. i wskazanych przez niego osób nadeszły paczki o wartości 540 tysięcy zł. Natomiast pod adresem Na-skiego i wskazanych przez niego osób, łącznie z w/w kwotą, o wartości 1 miliona 365 tysięcy zł”. A teraz coś z ówczesnej prasy: „Sąd uniewinnił Mieczysława G. od zarzutu transakcji z cudzoziemcami i otrzymywania paczek z zagranicy. Przewód sądowy wykazał, że wszelkie płynące z tego korzyści czerpał tylko Na-ski”. I jednak utrzymanek?

— „Na-ski należał do górnej warstwy średniej klasy aktorów. A stąd już do gwiazd niedaleko, czasem jest to tylko kwestia tutejszego szczęścia” — pisało o panu w artykule „Cena milczenia”. No właśnie. Czy powiodło się panu w aktorskim zawodzie?

— Chyba tak. Byłem sympatycznym blond chłopakiem o niebieskich oczach, szlachetnej twarzy i ujmującej sylwetce. Coś takiego zawsze jest ogromnie potrzebne w teatrze. Jeszcze w trakcie studiów w PWST, „Teatr Estrady” zaproponował mi rolę Stasia w sztuce „W pustyni i w puszczy”. Ale wynikała jakaś międzynarodowa heca z Kanałem Sueskim, PRL obraziła się na Egipt i cenzura zdjęła sztukę w trakcie prób. Zagrałem jako student w Teatrze Sensacji główną męską rolę adwokata w sztuce „Proces Mary Sagan”. Po dyplomie zadebiutowałem w warszawskim Teatrze Powszechnym Mikołajem Rostowem w „Wojnie i pokoju”. Potem był Teatr Narodowy, Komedia, cały czas TV. Aż przydarzył mi się ten nieszczyśny wypadek samochodowy: trwałe zniekształcenie lewej ręki... W sumie odegrałem dziesiątki czarujących chłopców. Czeka-

jąc na Stawrogina, Kaligulę i Hrabiego z „Niebezpiecznych związków”.

— Kochał pan swój zawód?

— Nie. Przerzątał mnie kontakt z publicznością. Byłem nieśmiały, introwertykiem. Lubie grać w filmie. Ale ówczesne scenariusze rzadko uwzględniały postacie młodzieńców z dobrego domu.

— Za to ponoć uwielbiał pan życie światowe: bale, przyjęcia, suto zakrapiane do białego rana.

— Nigdy w życiu! Unikałem nawet restauracji. A z przyjęć zrywałem się w połowie. To ta moja nadwrażliwość. Tak, tak!... Alkoholem mógł dla mnie nie istnieć. Rzeczywiście lubiłem pieszce wędrowki nocą po Londynie, Paryżu, Rzymie czy Madrycie. Dział drażnił z podobną pasją różne ludzkie wnętrza...

— Na pierwszej stronie swojej książki pisze pan: „Prze-

znaczeniem artysty jest cela więzienna”. Jak to należy rozumieć?

— Urodziłem się dwukrotnie. Najpierw jako „panicz” z kindersztuby, który nie doczytał żadnego z arcydzieł literatury. Człowiekiem chyba utalentowanym, na pewno wytrwałym, pracowitym, niegłupim, całkowicie otwartym wobec ludzi i w efekcie tego wszystkiego bezwstydnie szczęśliwym — stworzyło mnie więzienie. Choć tam się naprawdę cierpi...

— Podobno z pochodzenia jest pan arystokratą?

— Także chłopem i proletariuszem. Otóż mój pradziad, Antoni Trębicki, herbu Słepowron, znany prawnik i poseł na Sejm Czteroletni (i ten ostatni), mający za szwagra Marcina Radziwiłła, ordynata kieleckiego, rozwiódł się ze swoją żoną, damą dworu margrabiny Vouban, aby ożenić się z niepiśmienną córką chłopca pańszczyźnianego! Młodszą od

niego o 21 lat... To był wtedy dopiero skandal! Zaś mój dziadek ze strony matki, Feliks Trębicki, nieślubny syn margrabiego Wielkopolskiego, ożenił się, chyba na złość swemu ojcu, z córką warszawskiego zduna! Po mieczu wszyscy Na-scy to niestety pocziwają mazowiecką szlachtą... No, dziadek Michał, ojciec mego taty, był posem na pierwszy Sejm w wolnej Polsce.

— Swego kochanka i współnika, a zarazem głównego sprawcę tyłu krzywd i nie-szczęść, poznał pan nie w salonie, lecz pod budką z piwem. Był to rok 1969, a on miał 17 lat...

— Nieprawda!... „Szedłem przez Rynek do domu. Chyba świeciło słońce bo, pamiętam, chłopakowi złożyły się wyjątkowo długie rzęsy. Stał w źle uszytych spodniach na zakurzonym chodniku obok Sz., którego znałem” — piszę w moim nie wydanym pierwszym tomie „Zbrodni i...”. Oba panów zaprosiłem do swych „salonów” na staromiejskiej mansardzie, rzeczywście do nieprzyzwoitości usłanych perskimi dywanami, obwieszonych obrazami i natkanych antykami.

— Prasa całego kraju pisała w nagłówkach: „Ostatnia rola nieudanego aktora”, „Przebieg napadu na willę w Piasecznie”, „Sensacyjny zwrot w procesie Na-skiego”, „Gryps, który wiele wyjaśnia”, „Uważam się za genialnego”, „Cena milczenia”, „Esprit de corps”. Komu wierzyć?

— Najstuszniej byłoby sądzić, że każdy ponowienia mojego procesu... Prasa? Nie tylko dziennikarze na ogół uważają, że wobec przestępcy uczciwość ich nie obowiązuje...

— Czy „Zbrodni i...” można nazwać spowiedzią z części pa-nia życia?

— Tak. Mniej więcej. Ale tylko w pierwotnym kształcie książki. Większość wątków osobistych — zresztą nie tylko takich — nie weszła do wersji opublikowanej.

— Uzupełnijmy to, czego czytelnik nie wie. Czy pana miłość do nastolatka z marginesu społecznego była pierwszą takiego wymiaru i natężenia?

— Nie. Moją pierwszą miłością, taką co to niebo staje w płomieniach, była koleżanka ze szkoły aktorskiej. Druga — koleżanka aktor. No i wreszcie on... Miałem też w życiu parę romansów. Trochę z piękną dziewczyną. Często się teraz śmieję, że dla popularności mojej książki nie powinienem się do tych „odstępstw” przyznawać.

— Pana kochanek też był biseksualistą. Miał równoległe dziewczynę. A może donos na niego był formą zemsty z pańskiej strony?

— Nie sądzę. Choć uważam, że każdy człowiek jest zdolny do najpodlejszych zamiarów, które nierzadko realizuje. Choćby przez chwilę. Prawie nie przestając być najsłabszym, jeśli takim zawsze jest lub w ogóle nie przestając. Do śmierci będę się zastanawiał czy słusznie wtedy doniosłem...

— Co dzieje się z sumieniem człowieka, gdy jego hańbę okrył kurz zapomnienia?

— Odpowiadając na te obecne pytania, przypominam ludziom swoją hańbę. Nie bez przykrości i oporów. Lecz nie wierzę, aby sumienie chciało w nas funkcjonować dobrowolnie. Także u tych najsłabszych z szlachetnych. Do wyrzutów moralnych coś nas dopiero zmusza, przywołując z niepamięci nasze grzechy. Może trochę i po to odbywam z panem tę niemiłą dla mnie rozmowę.

— Wolał pan przebywać samotnie w celi-trumnie czy w celi-stodole z kilkudziesięcioma więźniami?

— Z początku siedziałem luksusowo, bo w cztery osoby, przeważnie z aferowiczami gospodarczymi i zawsze z jakimś wytrawnym recydywą „na etacie” konfidenta. Do tzw. ogólnej celi przeniesiono mnie, gdy nie chciałem zeznawać śledczym. Moje pierwsze zdziwienie z taką masą więźniów było równe zjawieniu się na tłumnym raucie w ambasadzie po uprzednim narzęciu ambasadorowej za dekollet. Ale ja-koś dalem sobie radę. I zająłem się obserwacjami socjolo-

gicznymi tego ludzkiego stada. Zaś przez ostatnie 6 lat z konieczności przebywałem w ściśle izolowanej pojedynce. Bez żadnego powodu zrobiono ze mnie urzędowo „niebezpiecznego”.

— W którym okresie odbywania kary ogarnęła pana żądza opisania człowieka „nieopisanego”?

— Po kilkunastu miesiącach od aresztowania. Potoczny obraz przestępcy jest u nas nie-ludsko uproszczony. Oni są w jakiś sposób bogaci wewnętrznie. Ale coś z tego, że np. „prymitywni”. Eskimosi znają sto słów na określenie śniegu skoro „cywilizowanym” Europejczykom wystarczą dwa słowa...

— Sądzi pan, że czytelnik doznaje przyjemności czytając o zdemoralizowanych wyrzutkach bez żadnych szans na resocjalizację?

— Obawiam się, że tak. Tak samo, kiedy ogląda horror o Frankensteinie, który budzi grozę, ale i miłą świadomość, że te okropności są na niby. A nieprawda. Każdy może utracić wolność. Codziennie w Polsce dziesiątki tysięcy „uczciwych” obywateli nie dostaje się do pudła tylko dzięki wyjątkowo korzystnym dla nich zbiegom okoliczności. Więc warto bać się i na serio czytając moją książeczkę.

— Co pan sądzi o resocjalizacji skazanych w polskich więzieniach?

— Przypuszczam, że nigdzie na świecie nie test z tym wiele lepiej. Ale ja się chyba zre-socjalizowałem...

— Czy zaprzyjaźnił się pan z kimś w więzieniu?

— Tak. Z moim wychowawcą. A potem z jego żoną.

— Odwiedza ich pan?

— Oczywiście. Ale w Małym Cichym koło Poronina, gdzie obecnie mieszkają.

— Ciekawy jestem, jak ta para odebrała fragmenty „Zbrodni i...” o gwałceniu owcy, kur, maciory przez pańskich kolegów z celi?

— To mógł być knur... No, wie pan, wobec zmian politycznych w naszym kraju są to banalne incydenty. Zresztą dla kogoś pracującego w więzieniactwie, nawet gwałcenie ludzi staje się czymś normalnym. Dlatego mój przyjaciel wychowawca wkrótce odszedł z zakładu karnego. Był idealistą.

— Wyolbrzymiony i wynaturzony seks odgrywa w pana książce ogromną rolę, twierdziłbym, że przytłacza wszystkie inne. Czy rzeczywiście tylko o seksie wolnościowym rozmawia się wieczorami w celach?

— Także o seksie więziennym. W nie drukowanym oryginalnie książce jest to zrównoważone ilością liryczną i wątkami „cywilnymi”. Z tym, że na obozach harcerskich, w hufcach pracy, w hotelach robotniczych i w wojsku młodzi mężczyźni mówią o tym samym. A w naszych kryminalach siedzieli wtedy prawie sami gówniarze. Podobny zarzut postawiła mi w wywiadzie dla „Polityki” red. Barbara Płetkiewicz. Otóż powtarzam: większość skazanych i w ogóle Polaków pochodzi ze wsi, gdzie żarty i dowcipy mają zwykle erotyczne podteksty.

— Pan również był nagabywany o swoje opowieści miłosne?

— Moich współwięźniów bardzo ciekawiło, jak mogłem grać na planie filmowym leżąc z piękną aktorką w łóżku... Ale na ogół to ja prowokowałem ich miłosne zwierzenia. Choćby te o trzodzie chlewnej.

Rozmawiał:
**BOHDAN
GADOMSKI**

Część druga rozmowy w następnym numerze.

Potwornie się wstydziałem, aż do fizycznego bólu.

Każdy może utracić wolność

Rozmowa z JERZYM TRĘBICKIM — pisarzem, byłym aktorem.

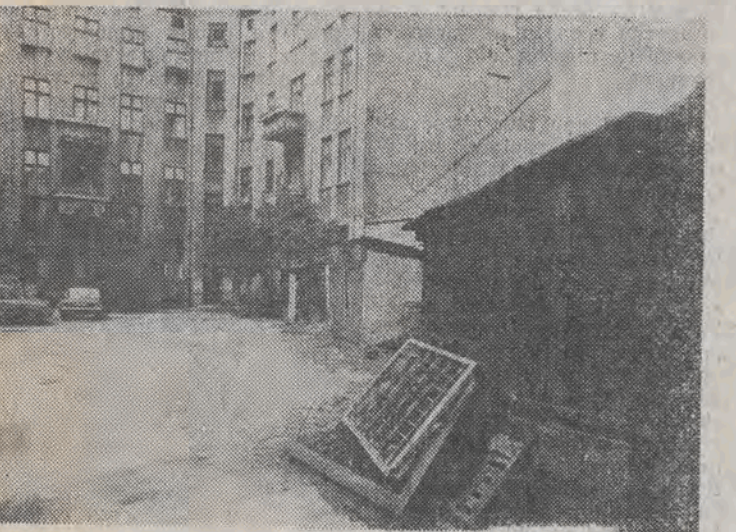


Foto: Zofia Nasterowska



Śródmieście

GRZEGORZ GALASIŃSKI



Na peryferiach

Pierwszy raz w życiu mieszkał w normalnym domu. Do tej pory wynajmował różne nory, elegancko nazywane pokojami, z małymi wygodami za niemałe pieniądze. Jako dziecko mieszkał (właściwie tylko sypiał, bo w dzień nie wolno mu było przychodzić) w kuchni u jakiejś dalszej rodziny. Niechętnie go przyjmowali, ale taka była ostatnia wola zmarłej matki. Raczej ostatni jej złośliwy psikus, gdyż bardzo tych swoich krewnych nie lubił, a i jego chyba też nie. Dawno już przestał o tym wspominać. Minęło, nie liczy się.

Teraz poznał na jakimś bankiecie panią, młodą, nawet sympatyczną, ale tak naprawdę nie specjalnego. Widać spodobał się jej, bo ośmielona kilkoma kieliszkami wódki zaproponowała mu, by z nią zamieszkał. Udawał, że się zastanawia, rozważa, wreszcie wspaniałomyślnie i niedbale przystał na jej propozycję. Postawił jednak warunek: musi mieć spokój, ponieważ pisze książkę. Jest to jego pierwsza praca w życiu, musi być więc skupiony i opanowany. Zgodziła się bez namysłu.

Miała dość duży pokój i niewielką kuchnię, ale czysto, ciepło, dbała o niego, kolorowy telewizor, dobre „gazy” jak to nazywał, mógł sobie tu siedzieć, ile zechce — tak go zapewniała.

Pisał więc tę swoją książkę o życiu (napisał chyba siedem lub osiem stron, ale legenda, jaką on sam rozciągał wśród znajomych, kazała spodziewać się arcydzieła) i rzeczywiście miał spokój. Ona pracowała, przychodziła do domu po południu, przynosiła zakupy, gotowała obiad, później on czytał głośno to, co w ciągu dnia napisał. Nie był ciekawy jej opinii o swoich tekstach, czytał bardziej dla siebie niż dla niej. Cieszył się jak mu szło pisanie, nie martwił się, jak nie szło, ot, tak, zwyczajnie. Nie zamierzał zostać pisarzem, ale odpowiadało mu, że wielu go nim widziało.

Jakiś czas było mu z tą dziewczyną nawet dobrze. Rano wychodził po mleko i świeże bułki, robił śniadanie, a po jej wyjściu czasami sprzątał, mył, kłaniał, coś dłużył i naprawiał; robił to z pewną przyjemnością i satysfakcją. Bawiło go to. Był zadowolony, że coś takiego potrafi. Bywało, że wybierali się razem wieczorami do kina, do teatru lub do jej znajomych na małą, naprawdę małą wódkę, lecz bardzo uważał, by koledzy nie wytopili tego adresu, by nie złożyli niespodziewanej wizyty w środku nocy pijani i hałaśliwi.

Po kilku miesiącach to jednostajne ciepło, którego przecież nigdy przedtem nie miał, zaczęło go parzyć. Pisanie mu nie szło, nie miał nowych pomysłów, czuł się źle, jakby nie w swojej skórze. Nie pojmował, jak ludzie mogą żyć tak całymi latami. Przecież to wbrew naturze, wbrew instynktowi, człowiek traci czujność, gnuszenie, leniwość, idiojęcie. Jest to tryb życia zegarowego wahadła: ani bardziej w prawo, ani w lewo, odtąd dotąd, odtąd dotąd...

Któregoś dnia, świadomie, ze złośliwą uciechą wyłamał się z tego ciasno uporządkowanego ogrodzenia. Wrócił nad ranem na czeluście pijanej hałasy. Przebaczyła, ale pod warunkiem, że nigdy więcej, że pierwszy i ostatni raz, że, że, że... Kilka razy przebaczała. Aż wreszcie wczoraj, a właściwie dzisiaj w nocy przebrał jednak miarę. Przyprowadził kilka osób, w tym dziewczynę, do której ostro zaczął się dobierać nie skrepowany obecnością pani domu. W zgodzie z zasadą, że kochanka męża to najbliższa rodzina żony.

Rano kazała mu się wynosić. Akurat w Wigilię. Zupełnie bez przekonania, dla zasady, chciał wytargować, żeby chociaż po świętach, ale powiedziała, że musi nagle jechać do rodziny, że ktoś chore (wiedział, że kłamie), a jego samego nie zostawi, bo straciła zaufanie, i w ogóle nie ma o czym gadać, niech sobie robi, co chce, ale już nie z nią. Ma przecież tę dzisiejszą dziwkę, jest taka chętna, może go przegarnie. Całkiem dobry pomysł — pomyślał ze złością. Nie, to nie! Spakował swoje rzeczy (mało tego, jedna niewielka torba), mruknął coś obraźliwego i wyszedł na ulicę.

Zły mocnego człowieka

MAREK KOPROWSKI



Foto: Konrad Turowski

Idzie powoli, niemal leniwie. Jego spokój mocno kontrastuje z nerwowo rozbieganymi, zziębniętymi ludźmi, którzy obławiani paczkami załatwiają jeszcze ostatnie sprawunki, bez nich, ich zdaniem, dzisiejszy wieczór wigilijny nie może się obejść. Zyczą sobie w biegu, w przelocie, wesołych lub spokojnych świąt i pędzą dalej.

Kłania się pewnemu bardzo bogatemu przywilejowi wsia- dającemu właśnie w pośpiechu do swego amerykańskiego auta. Nieco dalej znanemu powszechnie aktorowi, który od- kłania się uprzejmie z zawo- dym uśmiechem, lecz widząc, że nie bardzo wie komu, a także popularnemu kelnerowi z ekskluzywnej restauracji klubowej dla filmowców i ar- tystów teatralnych, tam bowiem bywa regularnie. Takich ludzi niby poważa, korzysta z nich w różny sposób, ale tak na- prawdę ma ich za ciężkich frajerów i dymków.

Jego samego pozdrawia wie- lu innych, gdyż jak mawia: „Ja znam połowę miasta, a druga połowa zna mnie”. Jedni kłaniają się bardzo uprzej- mie, nawet uniżenie, z przy- milnym uśmiechem i podziwem w oczach, drudzy z szacunkiem, może lekkiem, inni wreszcie, zwyczajnie, obojętnie. Wiedzą o nim, że jest bezwzględny, bezkompromisowy, nie uznaje litości, bo nikt się nad nim do tej pory nie litował, więc i on nie musi, może zniszczyć każ- dego, kto mu w czymś przeska- dza. Zrobił to już nieraz. Nie warto więc wchodzić mu w drogę. Odpowiada na poz- drewienia niedbałym skinie- niem głowy lub tylko lekko widocznym skrzywieniem ust, co ma oznaczać uśmiech.

Obojętnie jak traktuje tych ludzi, są oni częścią jego mia- sta. Tu się urodził, tu wycho- wał, tu przeżywał wczesną i późną młodość. I jest tutaj te- raz, gdy starość coraz śmielej wdrapuje mu się na plecy. Czuje te ulice, skwerki, knaj- py i pasaż. Nie wiadomo: lubi to miasto czy nie, lecz z pewnością jest mu tu lepiej niż gdziekolwiek indziej. Raz tylko opuścił je na dłużej, 6 lat kryminału, lecz bynajmniej nie z własnej woli. A gdy tyl- ko przyszedł do domu — natychmiast wrócił. O tym nie opowiada nikomu, nawet jak tego popije, co zdarza mu się przecież nieraz. Widać nie lubi tego tematu. A może już zapomniał?

Z przyzwyczajenia wchodzi do knajpy. W śródmieściu ta- kich wiele, ale ta wyróżnia się spośród innych. Upodobał ją sobie młodzi weseli ludzie z polotem i fantazją. Znał się wszyscy i choć wiele ich róż- ni, to podobni są właśnie z powodu tego innego niż wszę- dzie, wesołego, żeby nie po- wiedzieć radosnego popijania.

Wczesna pora powoduje, że przy stolikach siedzi niewielu gości. W rogu pod ścianą roz- siadł się sam na sam z bu- telką piwa lisy brodac. Tego lubi, a nawet podziwia: zawsze beztrojski, uśmiechnięty, dow- cipny prześmiewca i kpiarz, a przy tym twardziel jakich ma- ło. Ludzie boją się jednakowo jego pięści i języka. Jakby na

przywitaniu wchodzącego bro- dacz wypiewkuje do kelnera, który przechodzi obok jego sto- lika:

Mój Abramie, mój złociutki, Cztery piwa i dwie wódki.

I kiwa zapraszająco ręką.

— Sze robi, sze robi, jeden moment — zaciąga zabawnie kelner i gna w stronę bufetu.

Wita się z brodacem i sia- da przy stoliku zadowolony ze spotkania, mimo iż na twarzy zastąpiła go maskowana złość.

— Coś taki markotny, jakby ci kochanka wprowadziła dzie- lnicy do rodziny? — inte- resuje się brodac, gładząc ży- łastą ręką tył głowy.

Cheć odpowiedzieć, ale wła- śnie podbiega do nich kelner przynosząc zamówione trunki. Wystawia kieliszki i butelki, prosząc i dziękując wielokrot- nie, na koniec kłania się nisko i pędzi na zaplecze.

— Rzuciła mnie, cisnęła na bruk jak jakąś szmatę — pró- buje żartować, lecz uśmiecha- ją się same usta. Oczy pozos- tają zimne i złe. — A przy- tym wydziedziczyła mnie. Je- stem bez szmalu.

Brodacz spogląda bystro na niego:

— Przecież nie pierwszy i pewnie nie ostatni raz. Dasz sobie radę. Gdybyś ty sobie nie poradził, zwątpiłbym w ludzkość.

— Zły jestem, że to ona mnie. Za parę dni ja bym to zrobił. Z nudów już miałem nudności. Od nowego roku mam inne lokum. A jaka wła- ściwie — cmoka — ale to do- piero od nowego roku. A dzi- siaj przecież ta cholerna Wi- gilia.

— Dzień taki jak inne, tyle że bydo ludzkim głosem prze- mawia — wskazuje ruchem zmierzwionej brody na be- koczających przy bufecie pija- ków.

Śmieją się obaj i wypijają. Poprawiają piwem.

Gości przybywa. Schodzą się ci weseli bywalcy, łączą stoły, zamawiają wódkę, zakaski, dowcipkują, wreszcie zaprasza- ją Brodacza i jego gościa do siebie. Przenoszą się chętnie. Co jakiś czas przybywają na- stępni, pozdrawiają się hałaśli- wie, przystawiają nowe stoły, niedługo prawie cała sala na- leży do nich. Kelnerzy donoszą bez przerwy alkohol, jest co- raz weselej i głośniejsze. Brodac porządnie już podpiły podśpie- wuje w kacie:

Mój Abramie, mój ty złoty, Cztery piwa, dwa kompoty.

I za chwilę na widok kie- rowniczek:

Kierowniczek ma kochana Cye ci wisi po kolana.

A to nieprawda, bo kierow- niczka młoda, zdrowa i wprost przeciwnie. Śmieje się więc, grozi palcem, ale dobroliwie, bez złości.

Nie byłabyś taka miła, gdy- byś nie wiedziała, że ci ludzie mają dużo pieniędzy — myśli nasz wygnaniec i spogląda nienawistnie na uśmiechniętą szefową.

Zaczyna się śpiewanie kołed, ktoś wyjmuje opiatek, kelne- rzy i kierowniczkę wypijają po jednym, więcej nie, bo przecież jeszcze praca, do wie- czora, a później do domu, po- za tym Wigilia, to się dużo nie pije. Kto nie pije, ten nie pije, ale my pijemy, na zdrów-

ko, za pomyślność, buzi, i pod śledzika i jeszcze po jednym. Szumi, rajwach, ale na wesoło, nie po chamsku. Bliższą oczy, czerwienieją twarze, dowcip za dowcip, zapomina się o nie- powodzeniach i zmartwieniach, uściski, ucałowania, toasty, błyska na całego. Bóg się rodzi, moc truchleje.

— Chleje, chleje — podśpie- wuje Brodac basem i wychyla ostatni kieliszek. — Muszę iść do mojej suki — mówi i nikt nie wie kogo ma na myśli: żonę czy kundlicę, którą przy- garnął z przytułku dla psów. Ale przecież wstaje i idzie do domu.

No, bo wreszcie czas: do ro- dzin, dzieci, matek, żon, ojców więc strzemiennego, ostatnie życzenia. Powoli się wszyscy rozchodzą, cichnie, pustoszeje knajpa. Jeszcze ktoś późnio- ny wpada, ale nie siada, idzie do baru, wypija w pośpiechu, zapija wodą i zmyka.

„Bezdomny” podchodzi do bufetu, pije dwie szybkie wódki i nie placąc znika za drzwia- mi. Na ulicy ludzi mało, a ci którzy jeszcze są, spieszą się bardzo. Mróz trzeszczy pod bu- tam, sypie drobny śnieżek, czuje się świąteczny nastrój.

Idzie przed siebie, mróz działa, zimno wypycha z niego dobry nastrój i lekkiego rausza, za- mieniając ich miejsce. Brr — wstrząsa się — cholera, nie- dobrze. Teraz ulica jest zupeł- nie pusta, tylko okna rozświe- tione, widać kolorowe lampki na choinkach, słychać koledy, gwar rozmów, pisk dzieci, szczekanie naczyn, skądś dola- tuje nieczyste zapach smażonej ryby. Czuje głód. Nigdy nie je w czasie picia i później często tego żałuje. Zimno atakuje co- raz mocniej. Przewiesza torbę przez ramię i wiska ręce do kieszeni. Z przyzwyczajenia dochodzi do domu, z którego musiał wyjść dzisiaj rano. Na zawsze? W oknach ciemno.

Wchodzi na schody i podślu- chuje pod drzwiami. Cisza. Dzwoni tak tylko, wie, że ni- kogo nie ma. A więc na za- wsze. Zapala papierosa, na scho- dach ciepłej niż na ulicy, ale drzwi jakieś się uchylają i ktoś popatrzy uważnie.

Wychodzi. Wszystko jedno te- raz dokąd, bo nie ma do ko- go pójść. Przed siebie, ulicami, tylko to zimno cholerne i jak- by czegoś żał. Czy tej ostatniej dziewczyny, a raczej mieszka- nia, czy też całego życia, które w sumie, mimo pozorów jest nieudane, przegrane. Czuje wielką żalność, której nigdy przedtem nie zaznał, nawet ja- ko dziecko niechętnie przy- garnięty przez daleką rodzinę. Jest to żal nie adresowany do nikogo, taka zadra w sercu, powodująca gorycz. Czuje się bardzo źle: w sobie, z lewej strony klatki piersiowej coś go pali. Tam mróz nie sięga. Z oczu spływają dwie łzy. Myśli, że to wiatr zimny, nieprzyjem- ny je wycisnął. Idzie powoli wzdłuż długiego drewnianego parkanu oblepionego kolorowy- mi plakatami. Przystaje nagle. Ogarnia go uczucie bezradno- ści. Siada pod płotem i po raz pierwszy w swoim życiu pla- cze.

Nikt dwa razy nie umiera

JAKUB I JAROSŁAW ŁASCY

Miało opustoszało, w nocnej perspektywie ulice wydłużały się niepomiarowo i oświetlone żółtym światłem lamp stawały się widmowo nierealne. W tysiącach okien płonęły kolorowe ognie na choinkach, co jeszcze bardziej uzmysławiało dotkliwą pustkę tego późnego, grudniowego wieczora. Śnieg już nie padał, natomiast wzrastał się mróz wymiatając resztki przechodniów z przystanków tramwajowych i postojów taksówek.

Patrol milicyjny ścisnięty wewnątrz granatowej „Nysy” powoli przemierzał Zarzeczcie bardziej z obowiązku niż dla rzeczywistej penetracji zakamarków tej niespokojnej dzielnicy miasta. W taką noc złodziejom i włamywaczom ręce przymarzają do kłódek i zamków, metalowe pręty w oknach nie poddają się pilnikom i piłom. Zresztą w taką noc meliny, nory, strychy i piwnice stają się błogosławieństwem i ratunkiem.

— Coś leży — stwierdził nagle starszy kapral Marczał.
— Pewnie zabity pies.
— Wygląda mi to na przewrócony pojemnik na śmieci.
— Zawróć — polecił siedzący obok kierowcy starszy chorąży. Na śniegu, twarzą ku niebu, leżał człowiek.
Milicjanci zaczęli go tarmosić, ruszać, ale leżący nie reagował, choć dawał oznaki życia.
— Pijany — stwierdził któryś.
— Cuchnie denaturatem.
— Cud, że taki nie zamarnie.
— Dziwisz się?

— Do Izby Wytrzeźwień — rozkazał starszy chorąży. — Tam go dogrzeją.

Lekarz w Izbie Wytrzeźwień, po zbadaniu nieprzytomnego, polecił wezwać karetkę pogotowia.

— Zie z nim — powiedział do starszego chorążego. — Gdzie są jego dokumenty?

— Nie miał.
— Zie z nim — powtórzył. — Nie daję mu żadnych szans.

— To po co karetka? Niech zostanie.
— Statystyka, proszę pana, statystyka. Pan wie, co to jest, jeśli któryś z nich umiera w Izbie Wytrzeźwień? Nie dość, że zamienia mi statystykę, to jeszcze prasa zaczyna trąbić, że mordujemy tu ludzi Niewinnych ludzi, rozumie pan? W tym kraju pijak, to święty człowiek, a my jesteśmy narodem wierzącym...

Karetka pogotowia na sygnale podjechała pod budynek Izby Wytrzeźwień i na sygnale pomknęła w wyskrozoną mroźną noc. Mężczyzna odbywał swoją, być może ostatnią, ziemską podróż.

Lekarz, który usiłował coś tam mu wstrzyknąć, kłął na czym świat stoi, bo wyglądało na to, że facet zwyczajnie mu zmarł i cała ta pospieszna jazda straciła wszelki sens.

W szpitalu, kiedy wniesiono nosze z mężczyzną do izby przyjęć, okazało się, że lekarz z pogotowia miał rację.

— Po co mi go pan przywoził? — zirytował się lekarz dyżurny. — Tu jest szpital, a nie trupiarnia.

Zmarł w drodze. — Ten z pogotowia był spokojny. — Panie kolego, nie ma co tragiczować. Wypełnimy papierki, a jego do kostnicy. Przed nami długa świąteczna noc i kto wie, ile razy jeszcze do pana przyjadę.

— Niech siostra spisz personalia — polecił lekarz dyżurny grubej pielęgniarki. — A tego niech zabierze Łuczak do swojego królestwa.

— On nie ma dokumentów — powiedział ten z pogotowia. — Milicjanci znaleźli go na drodze.

— Coraz lepiej.
— To jakiś lump, wystarczy na niego popatrzeć. Czuje pan smród denaturatu?

Lekarz dyżurny skrzywił się. Podpisał papier podsunęty przez tego z pogotowia, schował długopis do kieszonki fartucha.

— Niech siostra dopilnuje wszystkiego, ja zawiadomę prokuratora.

Kiedy karetka odjechała, gruba pielęgniarka uniosła słuchawkę telefonu, wykręciła jakiś numer, chwilę nasłuchiwała, potem powiedziała obojętnym głosem:

— Panie Łuczak, ma pan świąteczny prezent.

Człowiek nazwany Łuczakiem zjawił się po paru minutach. Był to mały mężczyzna, niemal gnom, o długich rękach, króciutkich nogach i potężnej głowie.

— Ten?

— Ano. Zabieraj go pan, bo zasmrodził mi cały gabinet.

— Nasz?

— Z pogotowia.

— Pechowiec, nie doczekał noworocznego toastu.

— Nie gadaj tyle, ino go bierz.

— Biorę, biorę, po co tyle krzyku. Każdy musi przejść przez moje ręce.

Mały człowieczek zrecznie przesunął ciało na metalowy wózek, wziął od pielęgniarki kartkę, umocował ją na wyjętym z kieszeni kawałku sznurka, po czym sznurkiem umocował na nadgarstku mężczyzny. Na kartoniku pielęgniarka wyrysowała litery NN.

— Ciebie już nie obchodzi kryzys, zmiany rządu, podwyżki cen. Szczęściarzu z ciebie, nie ma co.

— Panie Łuczak, przestań pan filozofować i jedź już z nim. Muszę tu wywietrzyć.

Łuczak coś tam jeszcze mruknął i popychając przed sobą wózek wyjechał na korytarz.

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

majaczył rząd ni to budek, ni to garaży, na prawo wznosił się wielki kompleks budynków upstrzony tu i ówdzie oświetlonymi oknami. Poszedł w tamtym kierunku.

Na portierni dwóch mężczyzn grało w karty. Kiedy wszedł nawet nie zwrócili na niego uwagi, jedynie starszy, bez lewej ręki, nie odwracając się, wskazał gdzieś za siebie i powiedział:

— Należ sobie i nie przeszkadzać.

Człowiek obejrzał się i zobaczył szafę z nie domkniętymi drzwiami. Na jednej z półek stała metalowa bańka, kubek, a obok leżał chleb i kawałki pasztetówki.

Człowiek drżącymi rękami nalał pełny kubek i wypił jego zawartość łapczywie i szybko. Dobra — stwierdził, nalewając ponownie. Ale teraz już się nie spieszył, teraz wziął kawał pasztetówki, odgryzł, zaczął żuć. Tajal od środka. Czuł ciepło wlewające się w tętnice i płynące ku stopom, do koniuszków palców, do cebulek włosów na głowie. Wszystko zaczęło wracać na swoje miejsce, stabilizować się, nabierać konkretnego znaczenia. Świat stał się wesoły, przyjazny, obiecując mu tysiące doznań i przeżyć. Aby umocnić swoją z nim więź, wypił ponownie. Tak, teraz we wszystkim jest sens, jest potrzeba życia i potrzeba wędrówki przez życie.

— Nie wypij wszystkiego — odezwał się z wyrzutem ten młodszy i podszedłszy do szafy zabrał bańkę z wódką. — Widzisz go, przyszedł się, a doli nie dał.

— Jesteś nowy? — zapytał bezręki.

— Yhy.

— Dawno u nas?

— Niedawno.

— No, właśnie. A gdzie Łuczak?

Człowiek żuł pasztetówkę, smakował.

— Gdzieś poszedł.

— U Łuczaka będzie ci dobrze. Ten zimny chirurg, chociaż to mikrus, ale swój chłop. Zobacysz. Grasz?

Człowiek zaprzeczył.

— Do rana sporo zostało, a bańka prawie pusta. Dorzucisz? Chłopaki z pogotowia dowiozą.

Człowiek pogrzebał w kieszeniach, ale były puste. W fartuchu znalazł zmiepte pięćdziesiąt złotych.

— Dobra, oddasz przy wypiciu. Oto, znowu kogoś wiozą, Łutek unieś szlaban. Powściekali się, czy co? To już siódmy raz tej nocy. Słyszałem, że jeden trafił do was? Zimny chirurg zajmie się nim dopiero po świętach, on nigdy nie kroi w dniach wolnych od pracy. Mówi, że to mu gwarantuje konstytucja. Karmputek, ale umie postawić na swoim. Co to za jeden?

— Kto? — nie zrozumiał człowiek.

— Ten, co go do was przywieźli wieczorem.

— Nie znam go.

— Wszystkich znać nie sposób. Z wypadku?

— Nie wiem... Nie mówili mi. To ja już pójdę, dziękuję za poczęstunek.

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmieścia nie zwracając uwagi na mężczyznę na portierni, który pukali w szybę, jakby chcieli mu zwrócić uwagę, że poszedł w niewłaściwym kierunku, że należy zawrócić...

Człowiek wyszedł przed portiernię, chwilę postój, popatrzył na karetkę stojącą na podjeździe, na ośnieżone chodniki, na czarne drzewa sterzące nieruchomo na tle czarnego nieba, na światła zawieszane wzdłuż ulicy. Wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył szybko w stronę śródmie

Jerzy Jesionowski urodził się w 1919 roku. Pracę literacką rozpoczął w 1955 roku. Pisał powieści oraz sztuki teatralne i telewizyjne. Opublikował m. in. następujące utwory: „Niewygodny człowiek” (1965),

„Z drugiej strony nieba” (1969), „Przed drugim brzegiem” (1974), „Surmak” (1977), „Przystanek w biegu” (1981), „Dobrze urodzony” (1982), „Poszukiwany Albert Peryt” (1983). Najnowszą powieść, której

fragment prezentujemy w świątecznym numerze, będziemy drukować w „Odgłosach”. Jerzy Jesionowski jest wiceprezesem Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich.

Roman Widlak mieszkał na obrzeżu Olsztyna, w graniczącej z lasem willi, nadgrzyzionej już przez czas. Przed wejściem bawiła się z kotem mała dziewczynka, co przemawiało do tym, że ktoś dorosły w domu jest. Dziewczynka wnet to potwierdziła. — Mam! — zawołała, gdy Jola i Tambor wyszli z samochodu. — Ktoś do nas przyjechał. — W drzwiach willi pojawiła się trzydziestoletnia mniej więcej kobieta w okularach. Widok nieznanego pary wyraźnie ją zaskoczył. — Państwo do kogo? — spytała. — Do Romana Widlaka — odpowiedział Tambor. — To mój mąż. Ale go nie ma. — Pracuje? — Tak. Dziś wróci późno. Mam mu coś przekazać? — Przyjechał z Warszawy, chcemy porozmawiać z nim osobiście w ważnej sprawie. Ale może najpierw z panią, jeśli wolno. — Bardzo proszę. Wejdźcie państwo do środka. W mieszkaniu Widlakowa, ciagle zdziwiona, usadowiła gości w pokoju i przyjęła podstawę wyekscytacji. Należało przedstawić się i wyjawic powód wizyty. Tambor dokonał tego według dotychczasowego schematu, nie zdradzając wszakże, iż chodzi o konkretny wynalazek: perpetuum mobile. — Mąż opatentował dwa wynalazki — powiedziała gospodyni. Jej zdziwienie przemieniło się w radość. — Myślę, że oba pana zainteresują. Tambor ucieszył się również: nareszcie dotarł do prawdziwego wynalazcy, z patentami. — Jak to wynalazki? — spytał, chociaż było oczywiste, że PM nie jest żadnym z nich. Takie zgłoszenia urząd odsyła bez rozpatrywania, patent jest więc niemożliwy. — Lepiej będzie, jeśli wytłumaczy to sam mąż. Ja jestem humanistką, na pewno bym coś pokreśliła. — A mąż jest inżynierem? — Tak. Inżynierem mechanikiem. Pracuje jako konstruktor skomplikowanych narzędzi i przyrządów. Ma duże osiągnięcia. — Nadzieja Tambora na owocność tego trzyczajdu wzrosła jeszcze bardziej. Zadowolony teraz że nie rozpoczął odwiedzania wynalazców PM od końca listy. Byłby już może z powrotem w Ameryce, zamiast pięciokrotnie pudłować. — Na niedobry dzień państwo trafił — informowała dalej Widlakowa — Dziś mąż będzie do późna w fabryce, bo kończy terminowy projekt. — Wywołaj go stamtąd nie można? — spytała Jola. — Widlakowa zastanawiała się

przez chwilę, potem zaś płacone w dłoń jak po przypomnieniu sobie czegoś ważnego. — Jest sposób! — powiedziała i spojrzała na zegarek. — Za godzinę będzie pogrzeb jego szefa. Mąż ma przemówić nad grobem, więc musi tam być. Cmentarz państwa nie deprymuje? — Nie, pojedziemy — odrzekł Tambor. — Daleko to stąd? — Samochodem najwyżej pół godziny. Macie państwo jeszcze czas. Poczestujcie was kawą. Gospodyni poszła do kuchni. Tambor tymczasem nadal wyrzucał sobie, że kierował się kolejnością nazwisk na otrzymanej w urzędzie patentowym

urlopie wychowawczym. Ze względu materialnych chęć ten urlop przedłużyć, ale nie wiem, czy dyrektor się zgodzi. Nauczycieli brak. — Nie rozumiem... Chce pani przedłużyć urlop ze względu materialnych? — Widlakowa uśmiechnęła się wyrozumiale. — Widać że pan cudzoziemiec. Ja na tym urlopie wychowawczym znacznie więcej zarabiam. Trzepię dużo korepetycji. Kiedy wrócę do szkoły, nie będą tyle mogły. — Korepetycje takie opłacalne? — Bardzo. Stawki są wysokie, bo popyt ogromny. Bez potrzeby zresztą. Młodzież ma na ogół zdolną, a egzami-

Wśród uczestników ceremonii przeważali mężczyźni — prawdopodobnie podwładni nieboszczyka. Tambor próbował odgadnąć, który z nich to Widlak. Dał jednak temu spokój, gdyż był to wysiłek zbędny. Wystarczyło zacheć na przemówienie przy grobie. Widlak wystąpił nad grzebalnym dołem jako mówca jedyny. Był nieco starszy od żony, przystojny, z twardą białą inteligencją. Przemówienie zaczął od zobrazowania ogromnej straty, jaką poniosła fabryka z powodu śmierci pracownika, którego zastąpić wprost nie sposób. Potem słał wysokie kwalifikacje zmarłego, jego talenty, szlachetność charakteru i bezgraniczną troskę o pod-

rzę. Proszę się ode mnie odciąć. — Widlak zawrócił energicznie ku alejce, którą oddalała się w stronę bramy reszta uczestników pogrzebu. Zdezorientowany Tambor pozostał na miejscu i starał się coś z tego zrozumieć. Wcześniej doszła do konkluzji Jola. — To chyba pomyłka. Pewnie rejestratorka z urzędu patentowego źle odpisała nazwisko. Może z sąsiedniej linii. — Domysł Joli wydał się Tamborowi logiczny. Widlak był klientem urzędu patentowego i jego nazwisko mogło figurować w rejestrze pod lub nad odkrywcą PM. Jeśli jednak tak, to należało wrócić do

się za sprawą samego milicjanta. Na widok bójki w mijanej właśnie miejscowości poprosił on Marka o zatrzymanie samochodu i poszedł interweniować. Na jego polecenie wojownicza grupka szybko się rozeszła. Po niezbornych ruchach oddalających się mężczyzn Tambor poznał, że mieli dobrze w czubach. — Co to było? — spytał Marek, kiedy milicjant wrócił do samochodu. — Pijacy bili pasażerów. — Pijacy bili pasażerów? — Zainteresował się Tambor. — Nie potrafili wyjaśnić. Pewnie tak sobie, z rozpędu. Pijacy nie lubią pracujących za gorliwość i abstynencję, a pasażerów za to, że nie pracują, choć są trzeźwi. Kto się odbija, tego w ryja.

Fragment powieści, która już niedługo będzie do czytania na ostatniej stronie „Odgłosów”.

Marek Tambor — superagent w akcji

JERZY JESIONOWSKI

liście. Gdyby odwrócił porządek, miałby już w ręku ten interesujący Stany Zjednoczone wynalazek. — Chcesz pertraktować z Widlakiem na cmentarzu? — spytała Jola. — Chcę go namówić, żeby wcześniej wrócił do domu. To dla niego ważniejsze od jakiegokolwiek terminowego projektu. Kiedy Widlakowa przyniosła kawę, Tambor poczuł się obowiązany do bawienia jej rozmową, póki nie nadejdzie pora odjazdu na pogrzeb. — Mężowi pewnie przykro, że szef umarł — zaczął. — A skądże! To był nieuk i drań. Gnoić męża wspólnie z innymi. — Jak to: gnoić? Za co? — Za to, że lepszy. Mąż jest najzdolniejszy w całym biurze narzędziowym, więc wszyscy go podgrzyżają. A nieboszczyk po prostu bał się, że awansują męża na jego miejsce. No to gnoić, jak mógł. Mówię panu: drań pełnej krwi. Nikt go nie lubił. — To będą pewnie puchy na pogrzebie. — E, nie. Wszyscy pójdą popatrzeć, jak grabarze będą go spuszczać do dołu. A męża dalej gnębia: wyznaczyli go do przemówienia nad grobem. — Pewnie zostanie teraz szefem, skoro najzdolniejszy. — To wykluczone. Koledzy nie dopuszczają. Mąż by wymagał dużo lepszej pracy, bo się na niej zna. — Pani chyba rada, że nie pracuje zarobkowo, skoro takie parszywe tutaj stosunki. — Ja pracuję. Jestem nauczycielką w liceum. Teraz na

nujemy wyrozumiale, żeby uzyskiwać dobre wskaźniki ocen. Ale każde z rodziców spaliłoby się ze wstydu, gdyby nie zafundowało dzieciom korepetytorów. Prestiż wymaga dwóch, od przedmiotów ścisłych i humanistycznych. Ambitniejsi jednak rzucają się na trzech, i to jak najdroższych. Są w naszym mieście dwaj korepetytorzy od gimnastyki i świetnie prosperują. Dziecko bez korepetycji czułoby się w szkole jak niekochany bachor nie umiejących zarobić rodziców. — To czemu nie zrezygnuje pani w ogóle z posady, żeby trzepać te korepetycje? — Z dwóch powodów. Po pierwsze: straciłabym prawo do emerytury i świadczeń socjalnych. Po drugie: spadłabym w cenie. Najdroższy jest korepetytor, uczący w tej samej szkole, bo rodzice są przekonani, że to pomaga. — I pomaga? — Nie. Ale rodzice wierzą, że tak, i przecenie na nie się nie da. — Widlakowa spojrzała na zegarek. — Bardzo mi z państwem miło, ale na wszelki wypadek radzę już wyruszyć. Nieboszczyk nazywa się Samocki. Służba cmentarna wskaże, gdzie będą tego drania chować. — Czy mogłaby pani napiść kartkę do męża, żeby nas nie zbył? — Bardzo proszę. Zaraz napiszę. Nazwisko państwa? — Swojakowie. — Na cmentarz przyjechali w sam czas. Trumnę zabierano już z domu przedpogrzebowego, ozdobionego mobilizującym hasłem „Walczymy o rentowność”.

władnych — zwłaszcza młodych, pnących się w górę. Wdowa tak się tym przemówieniem wzruszyła, że po raz kolejny zachlipała i sięgnęła po chusteczkę, by otrzeć łzy. Stojący za Tamborem mężczyzna powiedział półgłosem do sąsiada: — Załgał się Romcio ponad miarę. Aż tak nie było trzeba. — On we wszystkim chce być perfekcjonistą — odrzekł kaśliwie ów sąsiad. Kiedy obrzęd się skończył, Tambor podążył alejką za Widlakiem. W przywołanej odległości od grobu podszedł do niego, pozdrowił i wręczył kartkę od żony. Widlak przeczytał ją i spytał: — O który z moich wynalazków chodzi? — O perpetuum mobile. — Widlak spojrzał na Tambora ze zdumieniem, a niebawem skreślił w alejkę poprzeczną. Tambor odebrał to jako niechęć do rozmawiania przy ludziach i skreślił także Jola poszła za nim. Po kilkunastu krokach Widlak zatrzymał się. — Pan kpi ze mnie czy gra wariata? — spytał surowym tonem. — Teraz zdziwił się z kolei Tambor. — Nie rozumiem... — Proszę pana, ja jestem inżynierem, a nie maniakiem. Co pan mi tu bzdurzy o jakimś perpetuum mobile, które jest niemożliwe? — Przecież pan zgłosił w urzędzie patentowym... Zdumienie Widlaka spotęgowało się. — Ja?... Perpetuum mobile?... Wie pan co, szkoda naszego czasu. Takie żarty na cmenta-

Warszawy, sprawdzić ten domysł w urzędzie i uzyskać właściwe personalia szóstego wynalazcy PM. — Zjemy obiad i wracamy do Warszawy, żeby to zbadać — powiedział. — Takie to w Polsce Ludowej urzędniczeki — skomentowała rzecz Jola. — Zdeprymowani daremnością tej podróży, zjedli obiad prawie w milczeniu. Zaraz potem wyruszyli w drogę, by przemierzyć ją po raz drugi tego samego dnia. A tak pięknie się zapowiadało — pomyślał Tambor w samochodzie. Inżynier konstruktor, dwa opatentowane wynalazki. Nie to, co maniacy od falistej kolei, samozasilającej się elekrowni i statków napędzanych wodą. Widlak był najbardziej z dotychczasowych prawdopodobnym odkrywcą PM. W pobliżu przystanku PKS, z którego umknął właśnie autobus, zamachał przed nim ręką spóźniony pasażer: milicjant. — Chcę się podwieźć — powiedział Marek. — Musowo trzeba zabrać. — Trzeba — potwierdziła niechętnie Jola, nie lubiąca zetknąć z milicją. Tambor pierwszy raz miał do czynienia z polskim milicjantem (był to podoficer) w sytuacji niesłużbowej. Chętnie pociągnąłby jawnego funkcjonariusza za język, ale ze względu na swój obcy akcent bał się posądzenia, że szpieguje dla imperialistów. Postanowił ograniczyć się do pytań, narzucających niejako przez podróżne okoliczności. Pierwsza okazja nadarzyła

W następnej miejscowości — a właściwie sporym mieście — na ustawionej w rynku estradzie śpiewali i fikalili przy akompaniamencie kapeli jacyś kolorowi przebierańcy. Lecz niewiele osób przyglądało się temu. Tym razem z pytaniem do milicjanta zwrócił się Tambor. — Co to za cudo? — Zespół folklorystyczny. Jest tu teraz ich festiwal. Takich zespołów u nas zatrzęsie nie. — Ale widzów mało. — Bo nie lubią tego. Wolą telewizję. — To chce się tym przebierać tak skakać i śpiewać dla nikogo? — Muszą, żeby załapać się na zagraniczne występy. Każdy taki pohukujący zespół ma zagraniczne wyjazdy jak w banku. Prawie co roku. — Po co? — Mówią, że dla propagandy i po sukcesy. Tak naprawdę to nie wiadomo, czy te sukcesy są. Może takie same puchy, jak u nas. Ale każdy ciekaw świata i chce się przewietrzyć. — Kto za to płaci? — Jak to kto? Państwo. Nacisk jest wielki. Każda gmina ma ambicję, żeby był w niej taki zespół. No i jest, bo ktoś się oprze. Okrzyknęliby go wrogiem kultury ludowej, a to zarzut ciężki. W kolejnej miejscowości milicjant poprosił o zatrzymanie samochodu, podziękował i wysiadł. Tambor znowu wrócił myślami do PM. Tego dnia na wizytę w urzędzie patentowym było już za późno. Skazywało go to na niepokojność aż do rana.



Rys. Janusz Szymański-Głanc

Pierwsze były jeszcze po rosyjsku. Ta z 1912 roku nosiła tytuł:

„Łódzka sieć telefoniczna i listowa”, spisok abonentów”

Zaczynała się od instrukcji:

„Wezwanie stacji uskutecznia się przez jeden — dwa szybkie obroty korbką aparatu, po czym należy przyłożyć słuchawkę do ucha i po otrzymaniu odpowiedzi „stacja”, podać żądany numer abonenta”.

Było ostrzeżenie.

„W czasie burzy stacja nie dokonywa połączeń i nie należy korzystać z telefonów wobec możliwości dla rozmawiających wypadku od pioruna”.

Oraz zakazy:

„Zabrania się komunikowania się pośrednictwem aparatu telefonicznego wiadomości, których treść sprzeciwiałaby się prawu, porządkowi publicznemu, moralności lub zawierała wyrażenia nieprzyzwoite”.

Był także cennik:
Roczny abonament dla abonentów pierwszej kategorii (do 2 wiorst od stacji, czyli — powiedzielibyśmy dziś — centrali) — 100 rubli. Dla drugiej kategorii (ponad 2 wiorsty) — 100 plus 15 rubli za każdą następną wiorstę. Trzymiesięczny abonament z Warszawy (połączenie czynne od 7 rano do 2 w nocy) ze „stacji międzymiastowej” — 75 kopiejek, a ze „stacji gieldowej” — 1 rubel. Rozmowa terminowa — 2 ruble 25 kopiejek. Za połączenie prywatną linią z Łaskiem, Zdunską Wolą i Sieradzem płacono się 30, z Kaliszem — 50, z Dobrą, Turkiem, Koninem, Władysławowem i Stawiszynem — 80 kopiejek. Nadanie depeszy przez telefon — 10 kopiejek.

Przeciętny zarobek łódzkiego robotnika wynosił w 1911 roku około 285 rubli rocznie.

Dalej następował alfabetyczny wykaz abonentów, którzy mieli numery jedno-, dwu-, trzy-, lub czterocyfrowe. Numer 1 należał do prezydenta miasta, numer 2 — do policmajstra, 3 — do policyjnego cyrkulu przy placu Kościelnym. Po każdym nazwisku zaznaczano, czy jest to mieszkanie prywatne, kantor, fabryka, czy... „zubny wracz”.

Wykaz abonentów w pełni odzwierciedlał status i zaawansowanie trzech głównych grup narodowych zamieszkujących ówczesną Łódź: Polaków, Niemców i Żydów. Dominowały nazwiska: Berman, Wagner, Kaufmann, Muller, Szapiro, Fiszler. Było 24 Konów i 7 Le-lich, gdy tylko 4 Kowalskich i 1 Nowak. Ludwik Grohman miał aż 9 telefonów: w domu, biurze, tkalni... Tyleż samo numerów widniało pod nazwiskiem Izraela K. Poznańskiego. Zaledwie o trzy mniej niż miała w Łodzi cała carska policja. Pod literą „Z” można było odnaleźć... Zgierz, na który przypadało 5 numerów.

„Spis abonentów łódzkiej sieci telefonicznej” na lata 1913/14

zawiera już 3000 numerów, dziesięciokrotnie więcej niż było ich w roku 1883, kiedy Międzynarodowe Towarzystwo Telefonów Bell założyło w Łodzi pierwszą, liczącą 15 kilometrów długości sieć telefoniczną ze stacją przy ulicy Cegielińskiej 42 (dziś — Więckowskiego). Jest w nim między innymi: 50 adwokatów, pomocników i obrońców sądowych, 16 felczerów, fryzjerów i akuserek, 137 lekarzy, 13 rejentów i 2 geometrów.

Telefony posiada: 12 banków, 23 apteki, 44 fabryki i fabryczki bawełniane, ponad 200 — wełnianych, „sukna i kortów”, 29 — pluszu, a także: 25 szkół, 35 lecznic i szpitali, 37 agencur i towarzystw ubezpieczeniowych, 7 księgarni (wszystkie na Piotrkowskiej), 3 lombardy, 26 restauracji i barów, 59 sklepów kolonialnych, 36 — z materiałami piśmiennymi, 28 — żelaznych, 6 perfumierii, 5 piekarni, 4 pralnie, 2 rzeźnie i 1 skład nawozów sztucznych.

Nie daje to oczywiście pełnego obrazu ówczesnego handlu i usług, gdyż skądinąd wiadomo, że w 1913 roku było

w Łodzi: 188 sklepów spożywczo-kolonialnych, 116 aptek i składów aptecznych, 347 sklepów z wyrobami tekstylnymi, 58 — z obuwiem, 64 piekarnie i aż 20 hoteli. Telefonami dysponowały „Bellevue”, „Bristol”, „Centralny”, „Europejski”, „Grand”, „Guhl”, „Imperial”, „Klukas”, „Kupiecki”, „Mantuffel”, „Metropol”, „Nowo Europejski”, „Palast”, „Polski”, „Savoy” i „Victoria”.

W latach dwudziestych i trzydziestych telekomunikacja zawiąduje PAST, czyli Polska Akcyjna Spółka Telefoniczna. W 1929 roku Łódź otrzymuje pierwszą automatyczną centralę o pojemności 12 500 numerów z możliwością rozszerzenia do 30 tysięcy. Rosnie liczba połączeń międzymiastowych. Już w

„Spisie abonentów łódzkiej sieci telefonów” na lata 1924/25

nie wyszczególnia się ich, a jedynie podaje stawki uzależnione od odległości. Rozmowa z abonentem do 25 km kosztuje 40 groszy, do 50 km — 80 groszy, do 200 — dwa złote. Za 3 złote można połączyć się z Gdańskiem, a za 4,90 — z Wiedniem. Za abonament prywatny kwartalnie płać się 36 złotych, za zbiorowy (np. fabryki, instytucje) — 45 złotych, a za publiczny (telefon dostępny dla wszystkich) — 63 złote. Podłączenie telefonu do sieci — 140 złotych. Tyle, ile miesięczna niezła pensja robotnika. Był jednak i taki okres, kiedy PAST instalowała telefony bezpłatnie, chcąc mieć jak najwięcej abonentów.

W „Spisie” są już 34 banki, 10 szpitali i 11 redakcji gazet, jakie się w tym czasie ukazywały. Ich tytuły to: „Głos Polski i Kurjer Wieczorny”, „Kurjer Łódzki”, „Łódzki Freie Presse”, „Łódzki Tageblatt”, „Łódzianin”, „Nene Łódzki Zeitung”, „Nowiny”, „Praca”, „Republika” i „Express Wieczorny”, „Rozwój” i „Volszeitung”.

39 numerami dysponuje Magistrat m. Łodzi, 28 — policja, 10 — straż ogniowa. Pod numerem 66 przy placu Wolności 14 urzęduje prezydent miasta — M. Cynarski, a pod 1650 — komendant policji, Al. Roszkowski, który mieszka przy ul. Karła 26 (obecnie: Zwirki). Numer 62 należy do dr S. Sterlinga (Piotrkowska 111).

Wynalazek Bella pozwolił rozpowszechniać się też w mniejszych ośrodkach. W Pabianicach jest już 82 abonentów, w Zgierzu — 30, w Aleksandrowie — 9, Strykowie — 8, Konstancinowie — 5, Tuszyńcu i Rzgowie — 4, w Lutomiersku zaś — 2.

U progu lat trzydziestych Łódź przechodzi na numery pięciocyfrowe, które utrzymują się przez ponad pół wieku. Tanieją opłaty. Kwartalny abonament prywatny (600 rozmów) kosztuje tylko 66 złotych. Równocześnie już ze

„Spisu abonentów państwowych i koncesjonowanych sieci telefonicznych w Polsce (z wyjątkiem m. st. Warszawy)”

na lata 1931/32 wieje wielkim światem. Trzymiesięczna rozmowa z Londynem — 19,10 złotych, z Paryżem — 11,50, Buenos Aires — 160, Nowym Jorkiem — 187,50. A wszystko zaledwie w cztery lata po uruchomieniu pierwszego połączenia międzykontynentalnego Europa — Ameryka.

Odbiciem prowadzonej w międzywojennej Polsce polityki zagranicznej jest zupełny brak połączeń telefonicznych z Litwą, oraz jedno zaledwie połączenie ze Związkiem Radzieckim, z Moskwą, z którego korzystać mogą zresztą tylko mieszkający w Warszawie.

Tymczasem w Łodzi wciąż przybywa telefonów — zarówno prywatnych, jak i państwowych. Dzięki temu można się na przykład dowiedzieć, że na Magistracie są wydziały: Prezydyjny, Podatkowy, Finansowy, Oświaty i Kultury, Opieki Społecznej, Budownictwa, Zdrowotności Publicznej, Gospodarczej, Kanalizacji i Wodociągów, Przedsiębiorstw Miejskich oraz Plantacji Miejskich. Tradycyjnie podaje się nazwiska członków władz miejskich, wyższych urzędników, oficerów policji, a nawet dyrektorów większych fabryk. W wielu przypadkach wraz z adresami domowymi.

W 1934 roku abonentów jest 14 356. Coraz więcej wśród nich — narodowości polskiej, wciąż jednak jeszcze dominują Żydzi i Niemcy. Goldbergów jest 63, Konów — 39, Lelich — 23,

Kowalskich — 14, a Nowaków — 5. Większość fabryk także pozostaje nadal w obcych rękach. Ile ich jest, trudno policzyć, ponieważ nie ma podziału na abonentów indywidualnych i zbiorowych. Mimo to, jak wynika z wydanego w dwa lata później.

„Spisu abonentów sieci telefonicznych dyrekcyj okręgu poczt i telegrafów w Warszawie (z wyjątkiem m. st. Warszawy) i Polskiej Akcyjnej Spółki Telefonicznej w miastach: Białymstoku i Łodzi z okolicą”

w Łodzi jest między innymi: 40 aptek, 33 banki, 8 barów, 6 hoteli, 16 lecznic, 32 gimnazja męskie i żeńskie, 16 szpitali, 22 towarzystwa ubezpieczeniowe oraz aż 16 konsulatów: Angielski, Austriacki, Belgijski, Duński, Fiński, Francuski, Grecki, Holenderski, Lotewski, Niemiecki, Norweski, Portugalski, Rumuński, Szwedzki, Urugwajski i Włoski. Działa też 57 związków — od Związku Harcerstwa Polskiego, przez — Oficerów Rezerwy, Spółdzielni Mleczar-

105 lat temu, 21 grudnia 1883 roku, zainstalowano w Łodzi telefony. Było ich na początku 300.

Łódź przez telefon

PAWEŁ TOMASZEWSKI



Foto: G. Gałasiński

skich i Jajczarskich, po różnej orientacji związki zawodowe, wśród których jest na przykład Związek Zawodowy Kelnerek.

W „Spisie” z 1937 roku wymienia się 30 już działających automatów telefonicznych, 11 urzędów pocztowych oraz dwa kioski pocztowo-telekomunikacyjne, zaś pod nazwą Ubezpieczalnia Społeczna w Łodzi figuruje 61 domowych gabinetów lekarskich. Oczywiście podane są nazwiska lekarzy i ich specjalizacje.

W „Spisie” z 1938 roku przybywa: 1 poczta, 5 aptek, 6 barów oraz 5 związków. Stowarzyszeń jest 39. Istnieje 6 pogotowi ratunkowych, przyjmujących zgłoszenia przez całą dobę, a także inne „pogotowia”, jak: elektryczne, radiowe, krawieckie, pralnicze... Zgierz ma już 166 numerów. Od paru lat po wykreśleniu na tarczy siódemki odzywa się zegarynka.

Pierwsze powojenne książki telefoniczne niewiele jeszcze różnią się od przedwojennych. Tak sam układ, brak podziału abonentów, dużo reklam. Mimo to, od razu widać, że w kraju zaszły wielkie zmiany.

„Spis abonentów sieci telefonicznych dyrekcyj okręgu poczt i telegrafów Państwowego Przedsiębiorstwa Polska Poczta, Telegraf i Telefon”

z czerwca 1946 roku nie wymienia już ani jednego Goldberga, ani jednego Levi i ty-

ko 1 Kona. Zniknęli z kart wraz z Niemcami, którzy zgutowali im tak tragiczny los.

Zniknęli też dawni właściciele fabryk, choć wiele ich nazw pozostało. Obok nazwy Państwowego Zakładu Włókienniczy S.A. w nawiasie wciąż widnieje: I. K. Poznański. Obok Państwowej Fabryki Pudeł i Opakowań — Prusze B-cia. Państwowa Fabryka Wyrobów Gumowych, to dawny „A. Richter”, jak zamieszczono.

Po dawnemu są jeszcze prywatne apteki, prywatne sklepy, kawiarnie i restauracje, kilka prywatnych gimnazjów. Przy Kościuszk 73, jak przed wojną, działa nadal przedstawicielstwo „Polskiego Fiata”, a przy Moniuszki 4a — YMCA, czyli Związek Młodzieży Chrześcijańskiej. Wśród 18 innych związków są: Związek Kupców i Przemysłowców i Związek Przewoźników Konnych. Jest Izba Farmaceutyczna, Łódzka Izba Lekarska, Izba Skarbowa i Izba Przemysłowo-Handlowa. Po dawnemu jeszcze podaje się

„Przedwiośnie”, „Rekord”, „Robotnik”, „Roma”, „Stylowy”, „Tatry”, „Tęcza”, „Wiokniarz”, „Wolność” i „Zachęta”, 4 księgarnie, 15 komisariatów i 10 posterunków Milicji Obywatelskiej, na czele której stoi w Łodzi płk. Borkowski, 6 sądów (Apelacyjny, Grodzki, Najwyższy, Okręgowy, Specjalny Karany, Wojskowy Okręgowy), 37 spółdzielni, 26 gimnazjów i liceów, 59 szkół powszechnych, 6 wieczorowych szkół dokształcających, 15 szpitali, 8 towarzystw oraz 30 związków zawodowych m. in.: Dozorców, Drukarzy, i Pokrewnych Zawodów, Literatów Polskich, Muzyków R.P., Nauczycielstwa Polskiego, Polskich Artystów Plastyków.

Działa już tylko jedna instytucja ubezpieczeniowa — Państwowy Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych, a także dwa pogotowia ratunkowe: Miejskie i Ubezpieczalni Społecznej.

Działają nowe partie polityczne, PPR ma 40 telefonów, PPS — 18, SL — 8, SD — 4, PSL — 1. Proporcje te będą się utrzymywać do końca istnienia systemu wielopartyjnego.

Czynne są dwa połączenia międzynarodowe — z Czechosłowacją i Związkiem Radzieckim. Abonent na telefon w prywatnym mieszkaniu kosztuje 80 złotych. Po wykreśleniu siódemki zamiast zegarynki zgłasza się biuro napraw. Rok 1948 nie przynosi w książce telefonicznej jeszcze większych zmian, chociaż daje się dostrzec narastający stopniowo proces wypierania starożytności przez nowe. I tak obok 41 prywatnych aptek, czynne są już 4 spółdzielcze. 1 miejska oraz apteka Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Przybywa sklepów państwowych, centrali, centralnych zarządów, zjednoczeń, spółdzielni... Maleje liczba przedsiębiorstw działających pod starą nazwą. Niepostrzeżenie znika nazwisko komendanta milicji.

W latach pięćdziesiątych

„Spis telefonów województwa łódzkiego”

definitywnie zrywa z reklamą, odcina się od prywatnej własności, każe zapomnieć wiele tradycyjnych nazwisk i nazw.

W 1953 roku nikt w Łodzi nie mieszka już przy ulicy Józefa Piłsudskiego, nikt nie pracuje w dawnej fabryce I. K. Poznańskiego, nikt nie leży w Szpitalu św. Jana przy Wólczańskiej 185, św. Antoniego przy Przedzalnianej 75, czy też — O.O. Bonifratrów na Chojnach. Po upaństwowieniu w 1951 roku wszystkie apteki otrzymują tylko numery. Władze miasta stają się bezimienne.

W 1955 roku w Łodzi istnieje już tylko jedno państwowe pogotowie ratunkowe, 5 banków, 5 stowarzyszeń, 8 towarzystw i 10 związków, jeśli nie liczyć zawodowych, których jest 22.

W handlu i usługach powstają nowe przedsiębiorstwa. Są więc: Łódzkie Zakłady Przemysłu Piekarniczego, które mają 62 piekarnie i 2 ciastkarnie; Łódzkie Zakłady Gastronomiczne Wschód z 10 restauracjami, 15 barami, 10 kawiarniami, 3 cukierniami i 2 jadalniami; Łódzkie Zakłady Gastronomiczne Zachód, które restauracje mają 10, barów — 12, kawiarni — 4 i 3 jadalnie.

Większością sklepów spożywczych dzielą się PSS, dysponująca 137, oraz MHD — 62. Miejski Handel Detaliczny, to również 23 sklepy obuwnicze, 15 papierniczych, 39 miesno-wędliniarskich, 9 rybnych, 55 wiośniennych, 46 odzieżowych, 13 — ze sprzętem gospodarstwa domowego, 8 elektrycznych, 12 kwiaciarni i 20 komisów.

Pracuje jeszcze 9 miejskich cegielni, 7 łaźni publicznych, 17 składów opałów.

Księgarni jest 29, hotele — 4, przedszkoli — 61, państwowych domów dziecka — 19, zespołów adwokackich — 11, tyleż domów studenckich, kin — 17. Gra 11 teatrów: Opera, Muzyczny, Nowy, Powszechny, im. Jaracza, Ziemi Łódzkiej, Żydowski, Satyryków oraz 3 teatry lalkowe: „Arlekin”, „Faramuska”, „Pinokio”.

Powraca zegarynka, czynna w dni powszednie od 16 do 8, a w niedziele i święta przez całą dobę.

Do końca lat pięćdziesiątych łódzkie książki telefoniczne wydawane są regularnie co roku,

lub jedna na dwa lata. Później ukazują się z coraz większymi przerwami, co trudno chyba usprawiedliwiać rosnącą systematycznie ich objętością — od 58 stron w 1946 roku do 479 w roku 1984. Mogłoby to natomiast świadczyć jak daleko wstecz sięgają korzenie naszych obecnych trudności, choć na przykład z zawartości „Spisu” na lata 1969/70 nie takiego nie wynika. Przeciwnie obraz miasta jest w nim raczej optymistyczny. Wszystkiego bowiem przybywa.

Aptek i punktów aptecznych jest już 71, barów — 39, domów akademickich — 16, zakładów fryzjerskich 48, prywatnych i 50 spółdzielczych, kawiarni — 25, kin — 26, księgarni — 37, urzędów pocztowo-telekomunikacyjnych — 58, państwowych przedszkoli — 117, restauracji — 39.

Sieć sklepów spożywczych MHD rozwinęła się do 155, PSS zaś — do 250. Miesnych jest 136. Grupuje je MHM, nowe przedsiębiorstwo handlowe powstałe po nie pierwszej i nie ostatniej reorganizacji w łódzkim handlu.

Dzięki temu, że wszyscy lekarze znaleźli się pod literą L, wiadomo, że jest ich ponad 1600, dwa i pół raza więcej, niż przed 15 laty.

Założenie telefonu kosztuje 1000 złotych, miesięczny abonament — 40. Oczywiście jak dawniej rozmawiać można teoretycznie z całym światem. Po wybraniu numeru 284 80 dzieci słuchają bajki na dobranoc. Za rok uruchomione zostaną pierwsze automatyczne połączenia międzymiastowe.

Jaka jest „przez telefon” Łódź, anno domini 1988?

Niestety, pytanie to pozostaje bez odpowiedzi, gdyż ostatnia książka telefoniczna ukazała się aż cztery lata temu, a od tego czasu znów przecież obraz miasta uległ zmianie. Czegoś ubyło, czegoś przybyło... Ot, choćby firmy polonijne — w poprzednim „Spisie telefonów województwa łódzkiego” było ich 10, dziś jest dużo więcej. Podobnie ze sklepami, biurami podróży, stowarzyszeniami, spółdzielniami, spółkami... Z konieczności ta i tak bardzo pobieżna, fragmentaryczna historia Łodzi zawarta w książkach telefonicznych, musi kończyć się więc w roku 1984, kiedy to w mieście było:

81 aptek i punktów aptecznych, 7 banków, 61 barów, 15 domów towarowych, 15 domów dziecka (w tym 6 rodzinnych), 25 domów studenckich, 54 spółdzielcze zakłady fryzjerskie, 11 prywatnych gabinetów lekarskich, 6 hoteli, 34 kawiarnie, 24 kina, 6 klasztorów, 53 księgarnie, 12 lecznic, spółdzielczych, 37 parafii, 79 urzędów pocztowo-telekomunikacyjnych, 177 przedszkoli, 40 restauracji, 21 szpitali, 19 stowarzyszeń, 133 szkoły podstawowe, 21 liceów ogólnokształcących i 4 zawodowe, 10 teatrów, 23 towarzystwa, 3 wytwórnie filmowe, 7 wyższych uczelni i 47 państwowych żłobków.

Sklepy spożywcze — 451, mięsne — 178, rybne — 34, papiernicze i zabawkarskie — 33, obuwnicze i skórzane — 58, wiośniennicze — 55, odzieżowe — 43, z artykułami gospodarstwa domowego — 58 elektrotechniczne — 25, pasmanteryjne — 34, „Pewexu” — 16, komisji 14.

Działają 7 pogotowi ratunkowych, w tym 2 prywatne, oraz 3 telefony zaufania.

Wśród ponad 100 tysięcy abonentów 398 nosiło nazwisko Kowalski, a 320 — Nowak.

Pod numerem 32-82-84 kryła się — absolutna nowość w dziejach Łodzi! — informacja o reklamatacji. Numer pozostaje aktualny do dzisiaj.

Jeżeli chcesz się spotkać ze mną i z Jimem, to kontakuj się przez szkołę — powiedziała mi przy jakimś przypadkowym spotkaniu Jennice. — Nie mogę ci podać adresu, bo będę mieszkała w squacie.

— Gdzie?
— W squacie. Na dziko. A może chcesz pojechać z nami i zobaczyć, jak w Londynie szuka się mieszkania.
— Ja już tak mieszkam przed rokiem — mówi Jim. Jest Nowozelandczykiem, półkrewi bułgarskiej, pół szkockiej. Przyjechał do Londynu, żeby studiować w szkole aktorskiej, a na czesne zarobił pracując jako pielęgniarz w szpitalu psychiatrycznym. — Nie miałem zbyt dużo pieniędzy. Potem jako pielęgniarz zarabiałem już całkiem nieźle, ale szkoda mi było płacić innym tylko za to, że mają mieszkanie i mogą je wynająć. Teraz właśnie na to stać, ale skoro Jennice nie może sobie na to pozwolić, to mogę się z nią zakreślić koło tego squattu.

— A ty Jennice nie możesz płacić czynszu?
— Nie. Przez ostatni rok chodziłam do słynnej w Londynie szkoły młodych Desmonda Jonesa. Cztery, pięć godzin dziennie zajęć, potem próby, praca w domu, no a wieczorami, osiem godzin harówki w nocej knajpie jako kelnerka. Złyto się zupełnie dobrze. Popłynęłam z forszą w czasie wakacji. Kurs comedia dell'arte we Włoszech, trochę pojechałam po Europie i zrobiła się ciemniutko. Teraz studiuję w szkole dramatycznej. Razem z Jimem. Aż w harabustwie Essex. Z centrum Londynu, z West Endu, 1,5 godziny metrem. Nie mam teraz czasu na pracę w nocy. Dostaję pieniądze od władz lokalowych na mieszkanie, mam stypendium, więc jakbym mieszkała w squacie to te 70 funtów tygodniowo miałabym na czysto. Da się przeżyć. Do tego jeżdżę na gapę w metrze.

Po drugiej stronie ulicy elegancki jednopiętrowy budynek, rzęsiście oświetlony. W squacie ciemno. Nie ma prądu. Jennice i Jim twierdzą, że to tylko na razie. Przed tamtym kilka niezłej klasy samochodów, przed ich squatem rozlatujący się płot. — Nie przestrasz się tylko, bo tu wszędzie jest gruzowisko — ostrzeżenie mnie terkocząca jak karabin maszynowy Jennice. — Nie ma światła, ale jutro pojedziemy do biura elektryków, to nam załatwią. Nie ma wody, ale to też da się zrobić. Popatrz tutaj — światło latarki omiatało, co pozostało po eleganckim kiedyś salonie. Kominiek Resztki boazerii. — Ładnie tutaj. To będzie twoja pracownia jakbyś chciał coś napisać — żartuje Jennice i pokazuje ręką na biurko jakby żywcem wyjęte z polskich przychodni lekarskich. — Leżało na tyłach szpitala w Hackney, to ja zapakowaliśmy. Może się przydać. Squatters musi być trochę chomikiem.

Moja przewodniczka oprowadza mnie po tych ruinach z dumą właścicielki nowego M-4.

— Tutaj musiało być ogromne mieszkanie na parterze. Patrz na schody. Zupełnie jak z filmów Hitchcocka.
Schodzimy w ząteczną czerń. Poprzewracane graty walają się po kątach.

— Jeszcze trochę, a odkryjemy świeżą plamę cementu pokrywającego ludzkie zwłoki — mruczą do siebie, ale Jennice to usłyszała.

— A żebyś wiedziała, że jest tutaj coś z atmosfery nawiedzonego domu. W pokoju, który ja zagarnęłam dla siebie, wisł na ścianie kartka z planem lekcji z 1978 roku. Ten dom już od dawna stoi pusty.

Jennice i Jim mieszkają w pokoju na II piętrze. „Ich” pokój jest z widokiem na ogród. Nagie badyły dawno nie pielęgnowane kwiatów wystają z nagich krzewów. Jennice porzuciła po całym pokoju ze trzydzieści świec. Robi się coraz zimniej. Jeryczki pary wyskakują z ust przy każdym słowie. Jim wkłada na siebie kolejny sweter i wciąga rękawiczki bez palców, a potem rozlewa whisky do plastikowych kubków.

— Gdzie chodźcie myć zęby, gdzie się kąpiecie, gdzie siusiu?
— Do 24 otwarta jest toaleta na stacji metra. Potem trzeba poczekać do rana. Myjemy się u przyjaciół albo w college'u. A nad rolami pracujemy w pubie. Też przyjemnie, tylko że zamykają o jedenastej wieczorem.

Następnego ranka obudził nas potworny huk.

Posypał się tynk z niezbyt solidnych, angielskich murów. Zerwaliśmy się na równe nogi i wytrząsając gruz z głowy popędziliśmy po rozchybotanych schodach na dół.

— Wy jesteście z ekipy „rozbiórkowej”? — osadziło nas w połowie drogi. Facet stał na dole i ogromnym brzuchem barykadował wyjście.

— Rozbiórkowej?

Zapadło kilkunastosekundowe milczenie, a potem on domyślił się: — Właśnie jesteście squattersi?

— Właśnie tak — odpowiedzieliśmy zgodnie.

— To musicie się zbierać i to szybko, bo tam na dole już zaczęło rozrządzać boczna ściana budynku. Myślałem, że wy porządkujecie górne piętra.

— Daj nam trochę czasu — jęknęła Jennice. — Nie zdążymy porządkować tego całego majdanu.

— Do jutra rana możecie się przechować w jednym pokoju.

Wywrzeliśmy przez rozbitą szybę w oknie łazienki. Pod garażem stał ogromny spychacz. Ludzie z kilofami rozłupywali ściany tuż pod pokojem, w którym spaliliśmy. Dwóch facetów wyniosło najróżniejsze przedmioty i rzuciło na stos płonący w ogrodzie. Płomień dochodził do dachu, a faceti cieszyli się jak dzieci.

I tak się zaczęła nasza kilkudniowa wędrówka po Londynie w poszukiwaniu miejsca dogodnego do squattu — mieszkania na dziko.

Pogoda była obrzydliwa.

Na ulicy żywego ducha. Dla nas to udręcze. Kuląc się pod lodowatymi strumieniami deszczu, szarpani wiatrem podchodzimy pod domek z czerwonej cegły stojący tuż koło opuszczonej szkoły. Domek wyglądał na opuszczony. Szybły w oknach całe Jim delikatnie naciska na klamkę furtki. Potem naciska mocniej.

— Co jest do cholery?

Rozgląda się po oknach jednopiętrowych, typowych londyńskich domków stojących po przeciwnej stronie ulicy. Cicho. Nikt nam się nie przygląda.

— Tam ktoś jest — mówię szentem.

— Eee tam. To kot — Jennice też szepeje.

— Patrzcie, tam się ktoś ukrywa — wydzieram się teraz dla odmiany na całego.

W oknie pokazała się głowa i zaraz zniknęła. Po paru sekundach, ocierając się wysunął się niewielki człowieczek w podniszczonym garniturze.

— Hm — chrząknął jakby pojednawczo.

— Hello — zagadnęła żywcie Jennice. — Pan tu mieszka?

Człowieczek zrobił ruch jakby znów chciał zniknąć w zbawczym ciemności, ale się pohamował. Przepięwał z nogi na nogę. Szybkim ruchem ręki przejechał po głowie i przeciągając sylabę odpowiedział.

— Nieee. Ja tutaj pracuję. Jestem ogrodnikiem. Nie lubię pytań. Wszędzie tyle pytań. — Nagle znieruchomiał i niespodziewanie hardo dotrucił. — Nie mam żadnego oficjalnego upoważnienia do otwarcia tych drzwi i wpuszczenia kogokolwiek do środka.

Uszanowaliśmy pierwsze, święte prawo squatters: nie wprowadzaj się do domu, który już ktoś przed tobą zajął. Nawet jeżeli jest to samotny, słabszy człowiek.

Potem były jeszcze pozabijane dechami domy w Finsbury Park — dzielnicy czarnych handlarzy narkotykami, białej, złotej młodzieży i taniach malajskich knajpek. Jakaś życiwa kobieta, sasiadująca z domem — obiektem naszego zainteresowania, mówiąca z silnym greckim akcentem, ostrzegła nas żębyśmy z tego zrezygnowali, bo dom jest pod obserwacją policji.

Trzecie prawo squattersów głosi: — w miarę możliwości postaraj się porozmawiać z sąsiadami, wyjaśnij swoją sytuację, a ludzie zrozumieją, że nie jesteś włamywaczem tylko squattersem i odhosią się do ciebie z szacunkiem. Drugie prawo dotyczące

zakładania zamków mieliśmy zastosować dopiero w Loughton — dzielnicy położonej na północy Londynu, a właściwie już w hrabstwie Essex. Ale zanim do tego doszło, zainteresowaliśmy się szeregiem domów, w którym w każdym mogłoby spokojnie mieszkać ze dwadzieścia osób.

— Niestety — rozłożył beznadziejnie ręce właściciel — nie mogę wam wynająć mieszkania, bo zarząd transportu, pod który podlega ten obszar zdecydował, że w całości może mieszkać tylko czterdzieści osób. W pierwszym domku mieszka stara, schorowana kobieta i nikt więcej. Nie mogę też wam go oddać pod squat, bo już miałem o to afery z władzami lokalowymi.

Często właściciele domów, gdy nie stać ich na opłaty za dom, wynajmują parę pokoi squattersom. To znaczy wynajmują za darmo. Bo wtedy mogą ubiegać się u miejscowych władz o umorzenie opłat, jako że dają dach nad głową bezdomnym.

— Nie ma rady — powiedział Jim. — musimy włamać się do tego domku w Loughton.

— Włamać się?! — włos zjeżył mi się na głowie.

— Czemu się tak dziwisz? — tym razem zdziwiony był Jim. — Przecież bez tego nie byłoby squattersów. Musimy tylko kupić właściwy zamek i jak otworzymy drzwi, trzeba zamek założyć. Wtedy zgodnie z prawem angielskim nikomu nie wolno cię wyrzucić z domu, poza sądem, a to trwa ze siedem-osiem miesięcy.

— Ale włamanie jest włamaniem.

— Toteż nie wolno dać się złapać, gdy wylamuje się stary zamek. A potem nawet policja nic nie może zrobić, bo ją oskarża się o włamanie.

Podjechaliśmy pod dom. Mały z ciemnego kamienia.

Troszkę na uboczu. Tak się przynajmniej na początku wydawało. Jennice stanęła na rogu ulicy. Jak to się na Bałutach mawiało — na lipku. Jim podpełził do drzwi. Strachliwie skryłem się za potężnym pnem klonu, który rósł tuż przed domem. Po chwili okazało się, że nie będzie żadnego włamania, bo już ktoś był przed nami i stłukł szybę. Poinformowawszy nas o tym Jim pchnął okienko i wszedł do środka. Po chwili wnosiliśmy z Jennice do środka dobytek młodych artystów, a Jim pracowicie majstrował przy zmianie zamków. Furgonetka już stała pusta, nowy zamek lśnił w promieniach coraz bardziej przygrzewającego słońca, gdy wędrowaliśmy z Jennice po domu.

Jak w Londynie szuka się mieszkania?

Squatt — mieszkać na dziko

MAREK BRZEZIŃSKI

ku starając się poznać jego tajemnice. Szukaliśmy zaworów do ciepłej wody, gdy za pomarszczoną, zielonkawą szybą łazienki zamajaczyły kontury ludzkich postaci. Jennice podniosła głowę, żeby dokładnie się temu przyjrzeć, ale jeszcze nie zdążyła otworzyć ust, gdy z zewnątrz dopłynęło energiczne stukanie.

— Czy jest tam ktoś? Proszę uprzejmie otworzyć!

— Głiny — szepnęła Jennice i pobiegliśmy do wejścia.

— Wiem, wiem — uprzedził nas ewentualne okrzyki Jim. Jego stółki spokój był naprawdę czymś dla mnie niebywałym.

— Popatrzcie lepiej tam — wskazał ręką przed dom.

Na chodniku stały cztery policyjne „Rovery”, a na każdym wisiółka niebieskie światło „koguta”. Przed drewnianą bramą stał policyjny jeep, a za rogiem okrętowa furgonetka. Obydwa bez kogutów. Na ścieżce stało trzech policjantów w charakterystycznych jajorządach hełmach.

— Proszę otworzyć drzwi — nakazał jeden z nich.

— Przecież są otwarte — flegmatycznie odparł Jim stojąc w progu.

— A więc możemy wejść i nie stawiacie nam oporu? — pytał dalej policjant.

— Tego nie powiedziałem. Ale po co chcecie wejść do środka?

— Istnieje podejrzenie — wyjaśnił służbiście policjant — że włamaliście się do tego domu.

— Przykro nam cię rozczarować, ale nie włamaliśmy się — odpowiedział Jim. Podziwiałem jego spokój. Spojrzałem kątem oka na Jennice. Obrzyzała nerwowo paznokcie.

— Jeżeli pozwolicie nam wejść, to przekonamy się czy doszło tu do włamania czy nie — ugodowo zaproponował policjant i dodał tonem, w którym czuło się, że pytanie zadano w zgodzie z regulaminem, ale tak naprawdę, w głębi duszy to pan posterunkowy nie bardzo wierzy, że otrzyma odpowiedź negatywną.

— Zamek jest wasz, no nie?

— Tak, nasz. Ale proszę. Jak chcecie wejść, to proszę.

Jim ruszył się nieco i zrobił miejsce policjantom. Jeden po drugim przemykali się koło niego.

Policjanci dokładnie obejrzeli dom. Zwrócili uwagę na leżący koło rozbitej szyby młotek, ale ponieważ zaprzeczaliśmy jakoby on należał do nas, więc tylko jeden z nich, wyraźnie chcąc sobie dodać odwagi powiedział nam z pogrozką w głosie.

— No, Niech no tylko sierżant przyjdzie, to on już wam da?

Sierżant był ogromnego wzrostu, koło czterdziestki, zmęczony wiecznym użeraniem się z rozwydrzoną młodzieżą zakłócającą spokój uczciwym obywatelom. Wokół oczu miał kręgi worków: albo od nadużywania whisky, albo od choroby żołądka.

— Macie dwie rzeczy do wyboru — powiedział tonem człowieka zmęczonego — albo znikniecie stąd w ciągu dwudziestu minut albo upakujcie was do pierdła i kropka. Macie dwie minuty do namysłu.

Wyglądało na to, że Jima ubodło do żywego wyrażenie „do pierdła”.

— Mam wszelkie podstawy przypuszczać — odezwał się wyniosło — że zgodnie z literą prawa brytyjskiego, które także obowiązują w hrabstwie Essex, jesteście po zamontowaniu naszego zamka zupełnie legalnymi mieszkańcami tej nieruchomości.

Sierżant sapnął, podszedł bliżej do Jima, tak, że prawie ich nosy się zetknęły i wycedził: — Dwie minuty.

Wydawało się, że ani jeden, ani drugi nie ustąpią, a ja widziałem się już za kratami „pierdła”.

— Nie wyglądał się Jim — zamiauczałem — jak nam dają szansę to przyskamy.

Jennice bez słowa zaczęła wnosić rzeczy z powozem do furgonetki. Pomagałem jej w milczeniu starając się nie patrzeć na wciągającego w drzwiach, nadąsanego Jima. On tu na wypach był u siebie, i w związku z tym był gotów procesować się do ostatniej kropli krwi. Co to znaczy, żeby policja wyrzuciła go ze squattu, jeżeli on był szybszy i zdążył przed jej przybyciem założyć zamek, do którego klucz miał w kieszeni. Prawo jest prawem i ani myślał od tego odstąpić. W końcu dał się zaciągnąć Jennice do już załadowanej furgonetki.

— Chciałem, ot tak z ciekawości o coś zapytać? — zwrócił się do sierżanta.

— No, wal śmiało.

— Kto was zawiadomił?

— A jakżeby kto? Najbliższa sąsiadka. Zadzwoniła, że dom stoi nie zamieszkanym od pół roku, że kręcą się jacyś tacy podejrzani, bo to nawet nie przyszli się przedstawić, że są nowymi mieszkańcami. Myślała, że jesteście włamywaczami. Bala się, że potem przyjdzie na nią kolej; włamiecie się do niej, albo ją zamordujecie, albo co.

— A w stosunku do nas nie będą wyciągnięte żadne konsekwencje prawne?

— Coś ty? Czy wysadziście bank angielski w powietrze, czy co? Wy jesteście po prostu wrzodem na dupie, ot i co — dobitnie przedstawił to sierżant — tylko mamy z wami kłopot. Jedźcie z Bogiem!

Pojechaliśmy wprost do kwatery głównej squattersów przy ulicy Świętego Pawła.

Biuro było otwarte. Dziewczyna siedziała za biurkiem, przy telefonie, a młody dwudziestocześcioletni chłopak mial się po mikroskopijnym pokoiku jak lew po klatce. Ściany poobwieszane różnego rodzaju plakatami. Wisiał tam też dokładny spis praw, jakie mają squattersi i adresy zarówno osiedli squattersów, jak i prawników, którzy bezpłatnie udzielają nie tylko porad, ale ewentualnie będą bronić prawa squattersa przed sądem.

— Ilu was tutaj pracuje?

— Doświadczonych osób to jest sześćdziesięć, a w sumie jest nas czterdziestoro.

— Doświadczonych?

— Jak chcesz dla nas pracować, to proszę bardzo, ale potrzeba co najmniej sześciu miesięcy, żebyś zaczął się orientować w prawie lokalowym, w przepisach, w sposobach postępowania z policją i kontaktach z posłami do Parlamentu. To jest niejako biuro porad, kwatery główna na północno-wschodni Londyn. Takich biur jest w Londynie pięć.

— Dostajecie za to jakieś pieniądze?

— Nie. Żadnych. To wszystko robimy w ramach pracy społecznej.

— Kim jest ta wasza czternastka?

— Większość to studenci. Jest także kilkoro bezrobotnych, którzy dostają zasiłek od rządu i przychodzą tutaj w wolnym czasie. Jest także paru młodych prawników, którzy pracują tutaj raz w tygodniu, też bezpłatnie.

Od 1381 roku, po stłumieniu zamieszek i powstania chłopięcego, datują się pierwsze wzmianki o squattersach. Początkowo dotyczyły one ludzi zajmujących bezprawnie niewielkie kawałki ziemi i stawiających tam swoje domy. Nazywano ich „granicznikami”, bo najczęściej domy stawiali na mieczach. Niektóre z tych szesnastowiecznych domków stoją po dzień dzisiejszy. Na początku naszego stulecia niektóre z komun squattersów były organizowane przez weteranów powracających z pól bitewnych pierwszej wojny światowej, gdy okazało się, że szumnie ogłoszone przez propagandę rządową „domy dla bohaterów wojny”, nie odpowiadały minimalnym standardom. Także po drugiej wojnie światowej powracający do domów żołnierze często nie mieli domu i pomimo wprowadzenia bardzo surowych przepisów prawnych około 44 tysięcy ludzi mieszkało w squattach. Na dobre zjawisko zaczęło się w Londynie w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Do największej akcji wysiedlania squattersów doszło w 1978 roku na Huntley Street, gdzie zmobilizowano olbrzymie oddziały policji do usunięcia z mieszkań całej ulicy „dzikich mieszkańców”.

Jennice, Jim i ja także trafiliśmy na taką ulicę. W murzynińskiej dzielnicy Hackney, przy Hackney Road, wszystkie domy zajęte są przez squatters. W niektórych palą się lampy naftowe, w innych już jest prąd elektryczny, ale jest też parę takich, straszących oczodolami powybijanych okien, gdzie panują ściśle egipskie ciemności.

Wchodzimy po skrzypiących schodach na piętro jednego z takich domów. Łomot w sąsiednim pokoju Jim potknął się o rulon leżący na podłodze i klnie teraz unosząc się z kłęczek. Rulon poruszył się gwałtownie i ze śpiwora wychyliły się zaspane oczy patrząc na nas z wściekłością.

— Zajęte — warknął człowiek w śpiworze.

— Przepraszam. Nie zauważyliśmy wyciółki na drzwiach — odgryzła się Jennice i dygnawszy blażęsko obróciła się na pięcie i zniknęła w czeluściach klatki schodowej.

Z biuletynu dowiedzieliśmy się, że w sąsiednim domu jest jedno mieszkanie wolne. Pukamy do drzwi. Z okna na piętrze wychyla się głowa dziewczyny. W ręku lampa naftowa.

— Chodźmy najpierw do naszego mieszkania w piwnicy — mówi uśmiechając się życiwiwie.

Mieszkanie w piwnicy składa się z ogromnego pokoju i sąsiadującej z nim kuchni. Jest woda. W pokoju jest ciepło buchające od ognia na kominku. Z ulgą wsuwamy się w ogromne, skórą obite fotele. Gorąca herbata, kruche ciasteczka, jak u ciocie na imieninach. W wazonach kwiaty. Jest bardzo jasno, bo w każdym kącie pokoju zapalona jest wielka lampa naftowa.

— Niedługo będziemy mieli prąd. Już byliśmy w elektrowni i mają nam go podłączyć. Jak tutaj pieruszego dnia przyszliśmy, to nas rozpacz ogarnęła. Piwnica zasypkana była metrową warstwą gruzu, ale wywaliliśmy to wszystko i jak władcze da się mieszkać — obrzuca wzrokiem z dumą swoje mieszkanie.

— Pracujecie? — pyta Jim.

— Nie. Obydwójce mamy stypendia, bo studiujemy. Ja tkactwo artystyczne, a mój mąż dekorację wnętrz. Dostajemy do tego pieniądze na opłacenie czynszu za mieszkanie, a że mieszkamy w squacie to zbiera się wszystko do kupy i jakoś da się przeżyć. Nie zostaliśmy w tym domu, bo okazało się, że przed nami był jakiś Amerykanin z dziewczyną z Australii.

Squattersi to nie tylko ludzie bezdomni.

To także ludzie szukający przygód, albo tacy, którzy nie chcą się zgodzić, aby komuś płacić tylko za to, że jest właścicielem mieszkania. Swoiście pojęty „robinhoodyzm”. W podręczniku dla squattersów omówiono głównie cztery grupy tematyczne:

Prawna — co mówić, a czego nie, policji i sądom, jak się bronić prawnie.

Techniczna — jak rozkręcić zamek typu Yale, włamać się do mieszkania okienkiem łazienki na pierwszym piętrze, jak zorganizować wodę, gaz, światło, jak zbudować półki i przyjemnie urządzić mieszkanie.

Moralna — czy nie jest nieetyczne włamanie się do mieszkań należących do innego człowieka, czy jest w porządku, jeżeli ma się dzieci, nie ma się gdzie mieszkać i organizuje się squat.

Natury ogólnej — do kogo się zgłosić po poradę, jak rozmawiać z sąsiadami, informując ich, że właśnie zorganizowano squat.

Problem Jennice i Jima rozwiązał się jak to zwykle bywa nieoczekiwanie. Na drzwiach tego domu przymocowano ogromną klódkę. Była już późna noc i niewesoła perspektywa spania w furgonetce. Jim oparł się o drzwi jedną ręką, żeby w ten sposób wygodnie stojąc, zastanowić się co robić dalej. Drzwi ustały lekko, gdyż klódką okazała się atrapa. Mieszkanie było fantastyczne. Kręcone schody uwieńczone szklaną kopułą, przez którą gwiazdy zaglądały do środka. Pokoje na różnych poziomach, salon na pierwszym piętrze, a na parterze pomieszczenia czegoś, co było dawniej zakładem fryzjerskim, kosmetycznym i sauną. Dreszcz emocji, gdy na podłodze z surowych desek, w migocącym świetle świecy, rozłożyliśmy się z kolacją. Pierwsze toasty za pomyślność i uroczyste przymocowanie na drzwiach obwieszczenia, które dostaliśmy w kwaterze głównej squattersów.

— Wyciąg z paragrafu szóstego przepisów prawa karnego. Ogłaszamy, iż zajęliśmy ten dom na nasze mieszkanie, wkrócenie na jego teren bez naszej zgody jest przestępstwem kryminalnym, którego popełnienie zagrożone jest karą pozbawienia wolności do sześciu miesięcy lub grzywną do 2000 funtów”.

Archipelag Wysp Komoryjskich otaczają wody Oceanu Indyjskiego pomiędzy Madagaskarem a wschodnim wybrzeżem Afryki.

Są to wyspy, o których Polak na ogół nie słyszał, kiedy zaś wspomnisz o nich Polakowi wykształconemu, zacznie przytakiwać wyrozumiale głową przekonany, że ma do czynienia z kretynem snującym majaki o hiszpańskich Kanarach, które, jako wszyscy wiemy, leżą na Atlantyku.

Na temat Komorów mało jest w encyklopedii, mało w księgach okrętowych i nie pamiętam, abym kiedykolwiek uczył się o nich na lekcjach geografii. Same o sobie wyspy te również wiedzą niedużo, jeśli natomiast chodzi o polskie statki handlowe — zaczęły zjawiać tutaj dopiero od paru lat i nawet wśród byłych marynarzy niewiele jest takich, którzy mogą pochwalić się znajomością Grande Comore, Anjonan, Moheli czy Mayotte.

Cieciałbym napisać kilka reportaży o tych pięknych i malowniczych wyspach z krańca świata, o panujących tam obyczajach, historii, polityce i kulturze. Zaczęć od tego, że kiedy stanęliśmy na redzie w Moroni, stolicy Wielkiej Komory i całej w ogóle Republiki Islamskiej, miejsce na tak zwane półce wśród raf koralowych było zajęte przez jakiś statek z RPA. Nie ma tam żadnego nadbrzeża, żadnej kei, a jedynym w miarę bezpiecznym punktem, gdzie można rzucić kotwicę i przenieść stopniowo fracht z ładowni na prymitywne łodzie tubylców, jest właśnie owa niewielka półka: wypiętrzenie dna, płaski wierzchołek podwodnej góry, za którą głęboko opada do tysiąca pięciuset metrów. Miejsca na półce starca wyłącznie dla jednego statku.

się w Europie ponad sto gatunków światowej sławy perfum i wód kolonnych. W największej cenie jest ekstrakt ylang-ylang. Pachnidła skomponowane z tego ekstraktu i zastosowane umiejętnie przez średnio urodziwą kobietę, zdolne są, wedle legendy, zniewolić każdego cesarza i króla, nie mówiąc już o prezydentach i premierach.

Agent liczy sobie niespełna czterdzieści lat i też jest Francuzem. Ma w sobie dużo utajonej arogancji i sprawuje niepodzielną władzę nad mafią portową. Chyłą przed nim pokornie czoła celnicy, dokerzy, szmuglerzy i policjanci. Polscy marynarze wszelako potraktowali go obojętnie.

Ktoregoś wieczoru, gdy piliśmy herbatę z kapitanem w jego statkowych apartamentach, odwiedził nas agentowy ciura, służący wiernie swojemu szefowi w charakterze intendenta i radiotelegrafisty. Przyszedł z tegim, wysokim Niemcem, którego wiek oscylował pomiędzy pięćdziesiątką a czterdziestką w strefie środkowej, a buźkę ten obywatel miał dziecięcą. Niemczyśka kupił od marynarzy cztery pary skarpetek i był zadowolony. Jego zadowolenie przeszło w ekstazę, kiedy kapitan odkapslował mu wspaniałomyślnie butelkę bawarskiego piwa. Pociągnął, omiotł wargi, spaśnik jęzorem i powiedział, że bardzo lubi Polaków.

— Z czego pan rechoce? — zapytał mnie kapitan.
— Z radości, że on nas tak bardzo lubi — powiedziałem i zwróciłem się do Niemca: — Łyknąłby pan, dajmy na to, whisky?
— Yes — powiedział, w jego ekstaza doszła w tym momencie do zenitu. — Chętnie bym łyknął.
— To zupełnie tak samo jak ja — powiedziałem. — Ale whisky nie ma. Whisky poszła na spacer.

— Jego Ekszelencja Ahmed Abdallah Abderamane okazał w tym wypadku wielką śmiałość i ogromny hart ducha — rzekł surowo radiotelegrafista. — Bez chwili namysłu przybył do Mutsamudu z całym swoim dworem i ruszył czarownikowi naprzeciw.

— Ten zaś uciekł?
— Nie uciekł.
— Bezcelność, doprawdy, niesłychana!
— Fakt — przytaknął ze śmiertelną powagą nasz miły gość.
— Wyobraźcie sobie panowie, że powstrzymał prezydenta i jego orszak straszącą siłą swego wzroku. Nikt nie mógł dosłownie ruszyć nogą.

Z czarownikami spotkałem się w Mutsamudu parokrotnie.

Jeden z owych nawiedzonych osobników wtarał się między mnie a kapitana, kiedyśmy poszli z wizytą do pobliskiej wioski. Ubrany był nad wyraz skromnie: sandały nie od pary, góra od piżamy i dziurawe spodnie. Najbardziej wzruszyły mnie jednak okulary, które miały zapewne przydać czarownikowi solenno u czelka biegłego w mowie, piśmie i pięknej sztuce czytania. Szkła okularów, nierówne i wyszczerbione na brzościach, pochodziły niechybnie z jakiejś butelki bądź słoika, oprawka natomiast skonstruowana była z druku owiniętego taśmą izolacyjną. Dzięki temu, że okulary spoczywały na samym czubku nosa, czarownik mógł obserwować świat własnymi oczami bez żadnych zakłóceń. Przez szkła nie dojrzałby nawet z dwóch metrów krowy, a to z tego powodu, iż były one niebawem zapaskudzone. Czarownik musiał zauważyć, że okularnicy często zdejmują okulary i przecierają szkła chusteczką. Nie mając chusteczki biedak robił to samo za pomocą palców rozmazując i wałkując brud na szkle. Był cichy, pokornego serca; nie odezwał się do nas ani słowem, chętnie natomiast dialogował sam ze sobą kreśląc w powietrzu przeróżne znaki i uśmiechając się słodko. Oddawał nas zapewne pod opiekę dobremu duchom nie oczekując wdzięczności ni zapłaty. Przewędrował ze mną i z kapitanem biedną wioskę tubylców, po czym, widząc, że zbieramy się do powrotu, zawrócił i odprawił nas do bramy portowej.

Inny dobry czarownik uwodził mnie dzień w dzień na pokładzie statku. Nie był całkiem bezinteresowny. W kieszonce koszułki miał długopis nie odznaczający się nadzwyczajną urodą, twierdził jednak, iż jest to egzemplarz unikalny o wartości co najmniej czterdziestu dolarów. Namawiał mnie gorąco, lecz żądnym, abym skorzystał z tej niebawem okazji i dokonał zakupu, w przeciwnym bowiem wypadku los może odwrócić się do mnie plecami. Śpiewał. Przyszykany tęsknie czyi nucił kuszącą wspomagając melodię lekkim, rytmicznym drżeniem ramion. Biegał za mną po wszystkich pokładach, a kiedy zamykałem się w kabinie, śpiewał pod drzwiami. Fakt, że jest czarownikiem o znanym nieco umyśle, sprawiał, iż handlarze i dokerzy omijali go z daleka.

Ludzie na Komorach są tak mali i szczupli, jak wałe i szczuple są ich wyspy, wioszczyny i miasteczka.

Małe są ich potrzeby, małe wymagania i małe zepsucie. Bez lęku w duszy możesz spacerować po wąskich uliczkach Mutsamudu o trzeciej nad ranem, a jeśli spotkasz kobietę, mężczyznę lub dziecko pozdrowią cię uprzejmie po francusku, bez próby wyłudzenia czegokolwiek bądź wszczęcia dłuższej rozmowy. Policja i wojsko chodzi tam bez pałek i bez broni; nie zobaczysz bójki, nie usłyszysz klótni; złodziej może wyłuskać ci ewentualnie w tłoku portfel z kieszonki, wystarczy jednak spojrzeć to w porę i wrzasnąć, a zawróci i odda łup ze stosowną dozą skruchy i ubolewania. W południe znużeni upałem obywatele oboją płci i wszelkiego wieku drzemają pod murami w skrawkach cienia; z minaretów nad licznymi meczetami płyną w niebo monotonne, ponure i groźne jęki muezzinów; pobożni meżowie wałęsają się po posadzkach, żony pracują, oni palą i dyskutują pod drzewami, one tłuką kijami w strumykach bielejnie; oni paradują tam i z powrotem w chłodnych labiryntach starego miasta, one cerują, gotują, nianczą dzieci, wyplatają koszyki i taszczą na głowach ciężary; oni kasują na targach pieniądże za to, co one zrobiły i sprzedały; oni poruszają dla przyjemności biodrami, one rodzą w bólach i mekach potomstwo, i tak toczy się czas na tej wyspie przewianej łagodnym wiatrem nad morza i pokropionej czasami przez Boga litościwym deszczem.

Domy w Mutsamudu zbudowane są z lawy wulkanicznej, a w oknach nie ma szyb — byłby to doprawdy niepotrzebny zbętek. Na dachach większości domów stoją ulepione misternie z liści palmowych chatki, które bronią w upalny dzień przed słońcem, zaś nocą pozwalają mężczyźnie ułożyć się tam do snu z ulubioną żoną. Noce w Mutsamudu są ciche, pachnące, skapanie w niewidoczne księżycu i przesycone aromatem drzew, nad którymi szubują bezszelestnie ogromne czarne nietoperze z psimi pyskami. Nieraz taki latający pies przycupnie na galezi bananowca głową w dół i świdruje cię mądrymi oczkami, jakby chciał zapytać: czego tu szukasz, biala i cudaczna mordo, pośród czarnych ptaków, czarnych kotów i psów, czarnych miniaturowych, szalenie sympatycznych kóz, gotowych zmieścić się w kieszeni drwala; czarnych nietoperzy i czarnych włodarzy tych wysp?

Ktorejs nocy poszedłem z kapitanem na dyskotekę w położonej na rubieżach miasta restauracji La Paillotte. Był to lokal w stylu regionalnym z europejskim, kolistym barem, który wbrew obowiązującej na wyspach prohibicji wywalał sobie licencję na sprzedaż alkoholu. Butelka ze szlachetnych żywieckich browarów kosztowała trzy dolary, odwiódłem więc kapitana od pokusy uraczenia się tym nektarem, który podobnie jak polska wódka i niektóre gatunki polskich papierosów sprostytuował się ostatnimi czasy.

Przy barze siedział na wysokim stołku trzeci i ostatni już biały człowiek, jakiego spotkałszy w Mutsamudu. Skinięliśmy sobie głowami, po czym on zanurzył usta w otlani kłapiącego pianą kufia z naszym eksportowym specjałem, a my wyszliśmy, gdyż wbrew zapowiedziom agenta nie było w La Paillotte żadnej dyskoteki.

Wracałszy na statek, który płonął w ciemnej zatoce jak choinka noworoczna. Jako jedyny, samotny statek w porcie ścigał na siebie uwagę wszystkich mieszkańców, budząc w nich niezdrowe tęsknoty za dalekim i nie istniejącym rajem. Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma. Nie lubię przysłów, ale jeśli ktoś jest prawdziwie i mądrze, to właśnie to. Gdzieś w zaułku zabrzmiła muzyka. Poszliśmy tam z nadzieją, że zobaczymy wreszcie dyskotekę, tymczasem trafiliśmy na próbę komoryjskiej orkiestry rozrywkowej. W niedużej mrocznej salce, oświetlonej jedną tylko żarówką bez klosza, siedzieli przy instrumentach młode i ładne kobiety. Rola mężczyzny ograniczała się do brzdąkania na gitarze basowej, natomiast dziewczęta grały na perkusji, na tam-tamach, na organkach elektrycznych i na flecie prostym. Oprócz tego śpiewały — jedna do mikrofonu, kilkanaście pozostałych w charakterze dobrze zestrojonego chóru wspomagało ją u końca każdej frazy. Była to melodia rajskich wysp na Oceanie Indyjskim pomiędzy Madagaskarem a wschodnim wybrzeżem Afryki. Powtórzyłem ją kilkakrotnie w drodze do portu, lecz nazajutrz uleciała bezpowrotnie z więzienia mojej pamięci zagraczonej przez śląskie koszmarny i góralskie pienia.

Reporter „Odgłosów” na Wyspach Komoryjskich.

Samotny statek w portowej zatoce

ANDRZEJ MAKOWIECKI



Collage: Grzegorz Gałasiński

Przy wiatrach i sztormach kapitanowie kotwiczących tam frachtowców momentalnie przerywają wyładunek i uciekają w morze, aby dryfować z dala od ciągnących się wokół wyspy raf koralowych. Zderzenie z rafą stanowi zwykłe dla statku katastrofę; port i półka w Moroni uwiaczą elementarnym przepisem morskim o bezpieczeństwie i potrafią udreńczyć nawet we snach najb. rdziej doświadczonych kapitanów.

Nasz kapitan, Henryk Walkiewicz, otrzymał wiadomość od agenta, że jest wolne miejsce przy kei w Mutsamudu. Zatem w południe 23 września 1988 roku opuściliśmy Moroni i popłynęliśmy na inną wyspę archipelagu: Anjonan. Mutsamudu to port i stolica tej wyspy, zamieszkałej według aktualnych danych przez sto siedemdziesiąt tysięcy ludzi o czarnej skórze i wiele zróżnicowanych rysach twarzy. Stanowią oni mieszaninę wielu rozmaitych ras: Murzynów z plemienia Bantu, Arabów z Zatoki Perskiej, Malgaszów z Madagaskaru, Malaniezyjczyków i Hinduów. Podobnie zresztą wygląda sytuacja etniczna na pozostałych wyspach. Wedle ustnych, przekazywanych z pokolenia na pokolenie, opowieści Archipelag Komoryjski był zaludniony już w czasach króla Salomona; że duchy miały rzekomo ukryć w głębi krateru Kartala na Wielkiej Komorze tron królowej Saby. Krater ten reklamowany jest w folderach jako największy na świecie. Wierzy on szczyt góry wulkanicznej o wysokości dwóch tysięcy trzystu pięćdziesięciu metrów; ostatnia erupcja wulkanu nastąpiła przed jedenastoma laty i nie pociągnęła za sobą ofiar śmiertelnych.

Białych ludzi spotyka się na Komorach niesłychanie rzadko.

Tak czy owak, do portu w Mutsamudu wprowadził nas pilot francuski, człek niemłody już i nader ciekawy. Spędził on siedemnaście lat w Senegalu, a kiedy kraj ten uzyskał niepodległość, przywędrował na Komory, gdzie poza pilotowaniem statków zajmuje się także duszpasterstwem — jest księdzem i opiekunem niewielkiego katolickiego kościołka położonego na zboczu góry ponad miastem, za starą warownią Francuzów, której armaty wyzierają z fortecznych nisz na zatokę. Ow pilot i ksiądz w jednej osobie troszczy się również o komentarz francuski w innym punkcie miasta: otoczył go białym murem i uzbroił w podwoje o m. s. wnych kłódkach, przy czym od razu należy powiedzieć, iż składająca się wyłącznie z wyznawców Mahometa ludność Mutsamudu jest łagodna i nie żywi wobec chrześcijańskiego ementarza nienawiści.

Drugim białym mężczyzną na tej wyspie okazał się agent portowy, będący jednocześnie zarządcą i współwłaścicielem portu o az posiadaczem dwóch drewnianych statków o niewielkiej wyporności. Kiedyśmy przechodzili obok jednego z tych statków wypełnionych szczerze jakimś śmierzdzącymi workami, szkykował się on wtaśnię w drogę na Madagaskar z ładunkiem suszonych rekina. Mięso rekina jest podobno trzykroć pożywniejsze niż baranina i można je żuć godzinami. Nie zmienia to faktu, iż wpakowane do worków rekiny cuchnęły paskudnie, podczas gdy miasto oraz cała wyspa, jak i w ogóle cały archipelag zdobył sobie opinię wysp perfumowych — zapachów, woni i aromatów, z jakimi obcuje tam na każdym kroku, nie zdołałby opisać żaden poeta.

Gospodarka komoryjska bazuje na uprawie i eksporcie krzewów, kwiatów, drzew i esencji zapachowych, z których produkuje

Ciura francuskiego agenta był Komoryjczykiem o wyraźnej przewadze krwi arabskiej. Jako pobożny Mahometanin nie brał w ogóle alkoholu do ust, ale palił za to jak smok amerykańskie papierosy i zachlewał się pepsi colą. Papierosów i coli nie przytnął oczywiście ze sobą. Papierosy i cola należały do kapitana. Wypiszy coś cztery butelki i wypaliwszy około dziesięciu sztuk, pobożny Mahometanin wszczął z nami dyskusję światopoglądową.

— Najważniejsza jest wiara — powiedział.
— Wiara?
— Wiara.
— Ale wasza wiara służy przede wszystkim mężczyźnie — powiedziałem. — Tylko mężczyzna wali głową w dywan, a kobiety w meczecie nie zobaczysz.
— I słusznie.
— Dlaczego: słusznie? — zdenerwował się kapitan.
— Bo kiedy kobieta byłaby obok mężczyzny w meczecie, to jego myśli biegnęłyby ku niej, nie ku Bogu. Zamiast modlić się do Najwyższego, gapiłby się na nią i snuł jakieś robaczyste projekty.
— Czy kobieta jest w ogóle człowiekiem?
— Kobieta dana jest mężczyźnie ku pociesze i do pracy, a poza tym musi rodzić. — Rozwinął pobożny Mahometanin tę wys: — interesująca tezę dowodząc śmiało i bez osłonek, że kobieta stanowi ognio przejęciowe pomiędzy ludzkością a światem przedmiotów pospolitych, takich na przykład jak łóżko czy zyd. Kobieta nie żyje swoim niezależnym bytem, kobietę po prostu się posiada jak barana czy osła.

Przypomniał mi się dowcip o tym, jak cwałujący na osle Arab ciągnął za sobą na powrozie żonę zataczającą się i krztuszącą w pyłe drogi. Spotkał innego Araba; ten pozdrowił go i zapytał:

— Gdzie idziesz?
— A, kobieta mi zachorowała i odwożę ją do szpitala.
Słyszałem również ten dowcip w wersji rozbudowanej. Zataczając się i krztuszącą w pyłe drogi żona szła przodem z powrotem na grdyce, zaś Arab cwałował na osle z tyłu. Spotkał innego Araba; ten pozdrowił go:
— Saleem alejkum.
— Alejkum saleem.
— Gdzie podążasz, przyjacielu?
— Kobieta mi zachorowała i odwożę ją do szpitala.
— Ale czemu puściłeś ją przodem?
— Bo tu kiedys byli Niemcy i można trafić na minę.
Kapitan poczęstował Araba piątą butelką pepsi coli i jedenaścim papierosem, po czym zwrócił się do niego słodko:
— Ile posiadasz pan żon?
— Na razie tylko dwie, bo to droga impreza — odparł z rozbijającą szczerścią telegrafista i wytrzeszczył z przerażeniem oczyska. Był pobożnym Mahometaninem, ale na modłę naszych rodzimych komunistów wielką wagę przykładał również do guseł i czarów. — Jedna żona jest w porządku — zameldował — z drugą natomiast mam sporo kłopotów, bowiem rzucił na nią urok tutejszy czarownik. Kiedy ona śpi poza moim domem, to wszystko gra, wystarczy jednak, abyśmy spędzili noc w naszej małżeńskiej alkowie i ona od razu zaczyna wariować: drapie mnie, wrzeszczy, ujada i wyje, gdyż poknęła diabła, ten zaś nigdzie nie czuje się lepiej niż w łonie kobiety. Będąc tysym, rure posiada wszelako wlochatą i sprośną, Zionie ogniem.

Zamurowało mnie ze zdziwienia. Kapitan też słuchał ciurowych wynurzeń jak zahipnotyzowany — objechał cały świat na polskich i zagranicznych statkach, nigdy jednak nie spotkał się jeszcze z tak gorącą i niezachwianą wiarą w nadprzyrodzoną moc czarowników.

— Trzeba by z tym paskudnikiem zrobić porządek.
Powiedziałem to żartem, telegrafista wszelako wprowił swoją głowę w ruch jednoznacznie przytakujący dowodząc, że co jak co, ale w tej materii żartów nie ma.

— Nasz prezydent Ahmed Abdallah Abdermane jest człowiekiem niezwykle postępowym. Gdy w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku doszedł do władzy, od razu zakazał surowo wszelkich czarodziejskich praktyk. Oświadczył publicznie, że ludzie powinni się kochać i wzajemnie sobie pomagać, nie zaś rzucać na siebie przekleństwa i uroki, które bardzo szkodzą społeczeństwu. Ale czarodziej z naszej wyspy nie wziął tego do serca i dalej zaczął wszelkiego typu szkaradzieństwa — kobietom wyrastały brody, dzieci rodziły się martwe albo chochliły do tyłu; powszechnie znany jest fakt, iż pewnej niewieście wykielkował prosto z pępka kości trzonek, a mężczyźnie, który pozwalał sobie kpić z czarownika, zaległy się w brzuchu nietoperze wyfruwające codziennie na świat z odchodami.

— I co na to prezydent?
— Zdenerwował się i przysłał do Mutsamudu samolot z policjantami, którym polecił zaarrestować czarodzieja. Pojmali go, zakuli w obreze i wpakowali na pokład ku powszechnej aprobacie obywateli. Samolot wziął kurs na Wielką Komorę, gdzie w więzieniu nie opodał Moroni czekała już na niepoprawnego złoźczyńcę cela dożywniejszej izolacji. Ludność Mutsamudu była brawo i tańczyła ze szczęścia patrząc na odlatujący samolot, aż tu nagle wydarzył się cud — blysk, huk, dwa grzmoty z jasnego nieba i samolot zniknął w powietrzu. Wszyscyśmy myśleli, że dosięgnął go palec Allacha, że oszczędzając pilota i policjantów. Tymczasem nazajutrz przyleciała do Mutsamudu wieść, że czarownik cały i zdrowy lazi sobie ulicami miasta.

— Krótko mówiąc: wystawił waszego postępowego prezydenta rufą do wiatru?

W

nocy 30 stycznia 1931 roku, tuż pod Anzbach, na linii Wiedeń — Passau pociąg osobowy wpadł na przemocowane do szyn dwie żelazne sztangły. Wykoleiła się lokomotywa. Gdyby z toru wyskoczył cały pociąg, zleciałby z wysokiego nasypu, co pociągnęłoby za sobą wiele tragicznych ofiar...

Raport zabrzmiął z tego względu złowieszczo, że przed miesiącem, 1 stycznia 1931 r. omalże nie doszło do katastrofy na zachód od Wiednia, pod Neu Langbach. Zapobiegła temu przytomność umysłu samotnego kolejarza Noc była bezwzględna i dął lodowaty wichur Joseph Kraus, przyświecając sobie latarką, brnął torem przed siebie przemierzając do szpiku kości. Już miał zawrócić na skostniałych nogach z oglądaniem pokładów, gdy jego wzrok padł na kilka luźno leżących śrub. Nieco dalej zauważył porozrzucone nakrętki.

Kraus znieruchomiał. Było jasne, że ktoś szyny podkreczał. Wtem ułowił gwizd szybko nadjeżdżającego pociągu. Co robić? Oddech kolejarza stał się momentalnie przyspieszony. Czuł dudnienie w skroniach. Zdjęty przerażeniem tyle jeszcze znalazł refleksu, że rozkraczył się na środku torowiska. Zaczął rozpaczliwie wymachiwać latarką. Maszynista dostrzegł jasne błyski na torze i chwycił za hamulce. Pociąg przystanął z przeraźliwym zgrzytem kół na ostatnich metrach, tuż przed zerwanym torem.

Wiedeń zatrząsł na alarm. Achtung, Achtung, pojawił się groźny zamachowiec...

W teren rzucono jednostkę do szczególnych poruczeń. Pod Neu Langbach zauważono obite na śniegu ślady czyichś stop. Wiodły do bocznej drogi. Ktoś widział stojący tam wieczorem pociąg. Wygramolił się z niego wysoki mężczyzna z podłużnym tłumokiem na plecach. I zaraz ta niewielka ciężarówka, osłonięta prezentową plandeką, odjechała w kierunku Wiednia. Nieco później znaleziono przy torach żelazne diuto, gruby sznur i masywny śrubokręt. Zmudne dochodzenie ujawniło, że śrubokręt wyszedł z firmy Schuharda w Wiedniu.

Sprzedawca uderzył się w czoło. — „Tak, przypominam sobie rosnącego mężczyznę w kapeluszu na głowie. Zakupił też u nas dwie sztangły, wezwał taksówkę i kazał zawieźć się na „Westbahnhof“.

Cisnęło się pytanie, do kogo należała ta mała ciężarówka? Wypytywano o to niestrudzone wiedeńskie taksówkarzy. Nielezione wywiady przyniosły w końcu skutek pożądany. Właścicielem bagażówki okazał się Paul Kinzer.

— „pamiętam tego pasażera, wpełznął swój ładunek do wozu na postoju przed „Westbahnhof“. Pojechaliśmy w stronę Neu Langbach. Paczkę miał ten facet owiniętą w grubą papier, nie wiem, co zawierała, tyle tylko, że była duża. To mnie uderzyło... — Jak wyglądał ten pan?

— „Wysoki, twarz blada i pociągła, dochodził chyba czterdziestki. Jakiś nerwowy.

Przeleciało parę miesięcy w ciszy i spokoju. Wiedeń alarm odwołał.

Naraz, 10 sierpnia 1931 roku, gruchnęła wieść o groźnej katastrofie pod Berlinem.

Stała ciemna noc, światła już wszędzie pogasły. Samotne, farmerskie zabudowania pod lasem pograżyły się we śnie. Wtem znad torów pod Lueckenwalde podniósł się słup ognia. Ziemia wstrząsnęła silną eksplozją. Kilka wagonów nadlatującego ze świstem pociągu zleciało z toru. Szczęśliwym trafem do śmiertelnych ofiar nie doszło. Kilkunastu pasażerów przewieziono jednak z głębokimi ranami do szpitala w Berlinie.

Na torach odkryto ślady ekrazytu. To kwas pikrynowy. W armii austro-węgierskiej wypełniano nim podczas wojny stalowe granaty. Nieco z boku trzepotała na wietrze lewiczka „Angriff“. Na pierwszej jego kolumnie ktoś wysmarował jaskrawą czerwoną farbą.

„Attentat! Revolution! Sieg!!! — Zamach, rewolucja, zwycięstwo.

W zaroślach, w odległości 100 metrów od toru, wałowały się dwie opróżnione paczki po wypalonych papierosach i kromki chleba obsypane kłminkiem. Natknął się na cienie druty przewodowe i strzępy pakowego papieru. Widniały na nich zamazane do nieczytelności ostrokatne litery skreślone gotykiem. Po wielu skrzętnych zabiegach udało się w berlińskiej pracowni stargane świstki posklejać i zapis odcyfrować.

Był to adres kogoś, komu rodzina przysyłała wypraną bieliznę. Adresata odnaleziono. To Herr Braun w Berlinie, właściciel warsztatu przy Friedrichstrasse.

— Ten klient zamówił dwie żelazne rury. Kupił też 200 metrów elektrycznego przewodu. Wygląd miał zwyczajny, dobrze ubrany, wygolony, ciemny kapelusz na głowie. Tyle że mówił jakimś obcym akcentem, jakby jaki Szwajcar, albo ja wiem kto. Tymczasem, że jest irlandzkim oficerem i walczył z Anglikami. Teraz mieszka w trzypokojowym domku w Poczdamie, tak mówili...

— To wszystko?

— „No nie, to był bardzo miły człowiek, nadzwyczaj uprzejmy. Umówił się nawet z naszą córką Hildą w kawiarni na Belle-Alliance-Platz. Ma tam być pojutrze o 10 przed południem...

W kawiarni zastawiono pułapkę. Nikt się nie pokazał.

Przetrażnięto Poczdam i najbliższe okolice. Owszem, w Poczdamie rezyduje Irlandczyk, nazywa się Ponnell, starowina, jedną nogą już na tamtym świecie. Tak schorowany, że od roku nie opuszcza domu. Tak więc śledztwo utknęło w martwym punkcie. Jakby kto zaklął. Nigdzie światła w mrocznym tunelu. Berlin, targany niepokojem o bezpieczeństwo na kolejach, wyznaczył 100 tysięcy marek nagrody za wskazanie zamachowca. Śledczy sztab ulokował się w opuszczonym klasztorze Zinna pod Lueckenwalde.

Zesłonił się szynkarz z niedalekiego Jueterborgu. Doniósł, że na dwa dni przed zamachem w jego oberży przebywał jakiś cudzoziemiec. Był postawny, ale miał twarz bladą jak u nieboszczyka. Jego rysopis całkiem by się zgadzał z podanym w szatelnach przez policję. Jakiś niespokojny człowiek, ciągle rozglądał się na wszystkie strony, jakby miał coś na sumieniu. Wymowa sławiła, że pochodził z Austrii, albo tych dawnych austriackich terytoriów. Możliwe, że jakiś Czech albo Węgier.

Policja nie podążyła tym tropem, choć był świeży, a później wyszło, że wcale nie mylny.

12 września 1931 roku, tuż przed północą, ruszył z Budapesztu ekspres do Wiednia. Miał przedmieścia, nabrał prędkości i po kilkunastu minutach wtoczył się z hukiem na zawieszony nad przepaścią wiadukt pod Torbą. Z nagłą nocną ciszą rozdarł potworny wybuch. W chmury strzeliły jasne płomienie, 6 wagonów runęło w czeluść. Dwa inne zawisły na stalowych przesłach. Tylko jeden, cudem nie tknięty, pozostał na torze.

Z wyciem syren nadjechały na miejsce strasznej tragedii karetki pogotowia i wozy straży pożarnej. Z poskręcanego żelastwa wydobyto rozszarpane ciała obsługi parowozu i ponad dwudziestu pasażerów. Zewsząd dochodziły krzyki rozpaczliwych błagań o pomoc. Dantjeskie, krew w żyłach mroziła sceny, rozgrywały się niemal do świtu. Przy użyciu palników wydostano jeszcze z rumowiska ponad stu pasażerów z obrażeniami po części śmiertelnymi.

Jeden z kolejarzy zeznał:

— „Patrzę, a tu po wiadukcie kręci się mężczyzna z rozwianym włosiem i jakimś obiektem w oczach. Co rusz zapalał zapalniczkę, jakby czegoś szukał na torach. Pociągnął mnie za ramię, niech pan spojrzę, belkot! niewyraźnie, tam widać druciki od zapalnika, to musiała być bomba domowej roboty.

Jakiś policjant natrafił na ulotkę przytwierdzoną do betonowego słupka.

Czy Silvester Matuschka gonił za nieśmiertelnością?

Nocny terrorysta

JAN BABIŃSKI



Collage: Grzegorz Gałasiński

„Robotnicy, nie dano wam żadnych praw, dlatego musicie je sobie sami wywalczyć. Działajmy wspólnie, a przyjdzie jeszcze dzień, kiedy kapitałowi zapłacą nam za wszystko“.

Heteny, szef budapeszteńskiej policji odczytywał ulotkę wielokrotnie z nie ślącym zajęciem. Kto kryje się za tymi zamachami? Grupa wywrotowców, czy jeden tylko szaleniec terrorysta?

Tragedia pod Torbą wywołała szok na Węgrzech i wzburzenie. Kraj opanowała panika i popłoch. Zatrzęsło się od domowych strach ma przecież wielkie oczy. Wojskiem i żandarmerią obstawiono kolejowe dworce. Zablokowano przejścia graniczne. Wprowadzono sądy doradne. Wreszcie, przy dużym rozgłosie, na granicy z Rumunią, chwycono za koltierz dwóch niemieckich komunistów. Czyżby to oni podłożyli bomby? Ależ nie, to zwykli turyści. Cios zadano z rozmachem, lecz trafił w próżnię.

Komuś zaświtało, że należałoby wytropić Stefana Leipnika. Tylko ten zacieklej anarzysta mógł się dopuścić tak potwornej zbrodni. Trzeba natychmiast rozesłać za nim listy gończe. Leipnik sam zgłosił się na policję. Z usmiechem podał niepodważalne alibi. Włec i tym razem strzelono kulą w plot. Tropcy okazali się mylnie i fałszywie. Wilk z gąszczu nie wyszedł. Jego ślady pozostawały nadal nieuchwytnie.

W godzinę po katastrofie, na wiadukcie pod Torbą, pojawił się wyrwany ze snu, radca policyjny Schweinitzer. Bez zwłoki zaczął przesłuchiwać naczynych świadków dramatu. Te pierwsze impulsowe zeznania mają wagę największą. Są zwykle szczerze i otwarte, żywiołowe i najprawdziwsze. W pewnej chwili dr Schweinitzer zwrócił baczniejszą uwagę na wysokiego mężczyznę, umazanego krwią na czole. Podczas gdy ci inni, co uszli zagłady, składali dziękczynne modły, bądź trwali w milczącym osłupieniu, ten bladą jak śmierć osobnik domagał się kategorycznym tonem, by go niezwłocznie wpisano na listę poszkodowanych.

— Straciłem kufer z cennym dobytkiem — wołał — prócz tego dwa tysiące szylingów w czystej gotówce.

Dr Schweinitzer zbliżył się i zapytał.

— W którym wagonie pan jechał?

— W pierwszym. Świeci pańscy, tylko ja jeden ocalałem z tego wagonu.

— Pana nazwisko i miejsce zamieszkania?

— Proszę bardzo, Matuschka, Silvester Matuschka, Wiedeń, Hofgasse 9, jeśli już o to idzie.

— Zawód?

— Właściciel kamieniołomu.

Wskazał na zawieszony na szyi duży wizerunek świętego Antoniego w srebrnej ramce.

— Uratował mnie mój patron, od lat jestem w jego opiece. Jak tylko wrócę do Wiednia, dam na mszę świętą.

Później, już w swym budapeszteńskim gabinecie, dr Schweinitzer polecił, by mu dostarczono wszystkie dostępne i oficjalne dane o zamachach na kolei w Niemczech i Austrii. Zauważył po ich przestudiowaniu, że zarówno pod Lueckenwalde jak pod Torbą użyto ekrazytu. Chemiczny skład materiału wybuchowego wskazywał na producenta w Austrii. Tu i tam posłużono się żelazną rurą i zapalnikami na prąd. No i ten chleb kłminkowy. Na jego okrucieństwo natrafiono też koło wiaduktu. Wszystkie zamachy miały zatem wspólne cechy. Wiodły, być może do kogoś, kto jak samotny wilk, polował w pojedynkę. Po Europie zaczęło krążyć widmo nocnego terrorysty. Już wiadano, że ten zbrodnicy awanturnik nie cofnie się przed niczym. Dr Schweinitzer polecał myśleć do nerwowego mężczyzny z plamą krwi na czole.

Któż to taki? Zachowywał się podejrzanie. A niejedną już prawdę odczytano z zachowania właśnie. Wstępne śledztwo ustaliło, że Matuschka posiada kamienieć w Wiedniu, jest żonaty, troje dzieci, nigdy nie karany. Odludek, nie ma przyjaźni, do żadnej organizacji nie należy. Praktykujący katolik. Raczej, typowy mieszczuch, popijający herbatę w domowym zaciszu.

Policyjnego radcę opadły wątpliwości. Może i ten trop prowadzi donikąd? Aby wyzbyć się wątpliwości i rozterek wezwał handlarza win Vargę.

Zeznawała posiadaczka kamieniołomu w Knausdorf.

— Od razu mi podpadły te kilogramy ekrazytu, jakie pan Matuschka kupował w Wollersdorfie. Zgłosiłam o tym inspektorowi żandarmerii, ale on wykluczył, żeby fabrykant mógł być zamachowcem.

Kim był Silvester Matuschka?

Urodził się na Węgrzech w rodzinie rzemieślnika. Gimnazjum ukończył z honorami w Kolocsa. Pracował potem nienagannie jako nauczyciel w Esantavar. Podczas pierwszej wojny światowej, wykazując niepospolite męstwo, dołączył się oficerskich szlifierów w 6 pułku Honvedów. Po wyjściu z wojska obrabiał nieruchomości i trudnił się wymianą walut. Po latach, już w Budapeszcie, dorobił się masarni i spożywczego sklepu. W następstwie krachu interesy pozostawił i udał się bez grosza omalże do Wiednia, żeby spróbować od nowa.

Dorobił się na handlu węgierskim winem. Z czasem nabył kamienieć i stał się współwłaścicielem odiewalni. I znów fortuna zmieniała bieg. Przyczyniła dlań wiatry raptem się odwróciły. Dopadła go długa seria niepowodzeń. Narastały straty. Pogłębiały się długi. Wreszcie ostatni już jego okopem i mają jakby forteczka stała się kamienica przy Hofgasse w Wiedniu.

W 1930 r. jego zadłużenie sięgało 80 tysięcy szylingów. Wpisano je na hipotekę wiedeńskiej czynszówki. Płajta to była i bankructwo raczej nieodwołalne.

Nocą 13 października 1931 roku, w czasie długiego przesłuchania, Matuschka wywiesił nieoczekiwane białą flagę. Znalazł się u kresu wytrzymałości. Podał się i zrezygnował z dalszej obrony. Nie będzie dłużej trwał przy kłamstwach. To on odkręcał szyny i podkładał bomby na torach kolejowych w Niemczech, Austrii i na Węgrzech. Wyglądał teraz jak zaszczute zwierzę. Ręce mu opadły, mówił z trudem i niewyraźnie.

Co spowodowało to raptowne załamanie? Otóż Matuschkę właśnie poinformowano, że Bank Kredytowy zlicytował za długi jego kamienieć. Ten cios zwał go z nóg. W oczach zadrżała mu nędza. Z dnia na dzień stał się zerbrakim. Włec po cóż się bronić? Tak czy owak życia dla niego już nie ma. Teraz dopiero pożałował, że z chęci zysku ujawnił się po zamachu na wiadukcie, żeby pobrać odszkodowanie. Tym krokiem założył sobie sam pętlę na szyję.

Usiłował potem przekonać sąd, że padł ofiarą sił wyższych i niezgłębionych.

— „Śniło mi się, że spadam w jakąś straszną otchłań... gdy się przebudziłem, stał nade mną Bergman i opowiadał o Trockim... będziesz wielki jak on, mówił, a po rewolucji zostaniesz ministrem w rządzie ludu pracującego... swoimi zamachami sprawisz, że kapitałisci potracą głowy ze strachu, bo to już zmurszałe mumie, przeżytki historii, silnie się dmuchnie, a rozleć się jak słomiane kukły... potem Bergman zahipnotyzował mnie i rozkazał przygotować ładunki wybuchowe... często też zjawiał się nocą biały duch, był bez włosów na głowie i wymachiwał groźnie pięścią, nawołując do natchnionych akcji...

Pierwszy proces odbył się w Wiedniu 15 czerwca 1932 r. Jako ostatnia zeznawała żona Matuschki. W pewnej chwili podbiegła do męża i całując go w rękę, wykrzyknęła z rozpaczą na całą salę.

— Kochany, dziękuję ci za wszystko, byłeś dla mnie najlepszym z mężów, nigdy, przenigdy cię nie zapomnę.

Matuschkę skazano na 6 lat ciężkiego więzienia.

W lipcu 1932 roku stanął przed sądem w Budapeszcie.

Z życiem rozstała się jego żona, jej serce nie wytrzymało. Pękło z żalu po mężu i łamiącego bólu.

W obronie Matuschki wystąpił profesor Donath z budapeszteńskiego uniwersytetu. Był odmiennego zdania od biegłych oskarżenia. Ci starali się dowiedzieć, że podstępny nie zdradza zaburzeń umysłowych. Jest natomiast przeżarty egoizmem i zbrodniczą amoralnością. Przeciwnie zaś, profesor Donath wywodził ze swadą, że nikt nie postępuje, jakby tego chciał. Okoliczności są od nas silniejsze. Zwłaszcza gdy w grę wchodzi choroba umysłowa. A Matuschka cierpi na paranoję, manię wielkości i prześladowcze urojenia. Dostaje też wzrokowych omamów, hallucinations visuelles. Stąd owa zagadkowa postać Bergmana. Takie halucynacje wywołują zawsze zaburzenia świadomości. Włec ten nieszczeniśnik nie może za siebie odpowiadać, porwał go prąd obłąkania, powinno się go oddać nie w ręce sędziów i katów, ale w ręce lekarzy. Jego miejsce jest w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym.

Na rozprawie Matuschka, nie kryjąc złości, wykrzyknął.

— Gdzie ten policjant, z którym tamtej nocy rozmawiałem na wiadukcie? Dlaczego nie wezwano go na świadka? Mówiłem mu przecież, że to Leon tego chciał, to ten biały duch bez włosów, a widziałem też innych Leonów, jeden z nich był papieżem Leonem XIII.

Kiedy tak przemawiał, głowa mu drżała, gorączkowo gestykulował rękami, oczy jakby stały w słup. I naraz dostał napadu histerii. Zwinął się w kłębek i runął jak długi na podłogę, dygocząc cały jak w gwałtownym ataku padaczki.

Wyrok zapadł 20 listopada 1934 r. Matuschkę skazano na śmierć przez powieszenie.

W archiwum wiedeńskiej policji zachowały się po dziś dzień odręczne szkice Matuschki. W jego mieszkaniu odszukano kilka poza tym dokładnych map różnych rejonów Europy. Na te mapy Matuschka rzucił czerwone krzyże pod Amsterdamem, między Paryżem i Marsylią oraz pod Vitimigla na Riwierze. Każdego miesiąca kontynentem miał wstrząsnąć potężny wybuch, zwiastun zbliżającej się rewolucji.

Czyżby Matuschka istotnie był dotknięty paranoją? Mniema się w profesorów kregach, że tylko jeden przestępca spośród czterech, acz chory umysłowo, jest jako taki przez szlak traktowany. Na ogół przypuszcza się, że ktoś symuluje. Inna sprawa, że wielu ucieka przed odpowiedzialnością przez furtkę uchyloną przez aż nado usługanych psychiatrów.

Może Matuschka jak Herostates gonił za nieśmiertelnością w czynach niezwykłych i wstrząsających?

Lubię czytać powieści i opowiadania Mariana Pankowskiego. Na szczęście nie ma z dostępem do nich żadnego kłopotu, wszystkie wydane były w kraju, choć pisarz od 1945 roku poza ojczyzną swoją przebywał. Ale ponieważ, mimo tych od jakiegoś czasu ukazujących się na polskim rynku książek, ich autor ciągle nie jest znany szerszemu ogółowi czytelników, wypada więc powiedzieć parę słów o jego życiu.

Urodził się w Sanoku w roku 1919. Potem krótko studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim. Studia jednak przerwała wojna. W roku 1942 został aresztowany przez gestapo i wywieziony do obozu koncentracyjnego. Był więziony kolejno w Oświęcimiu, Gross-Rosen i Bergen-Belsen. W roku 1945 osiadł na stałe w Belgii. Na uniwersytecie w Brukseli ukończył slawistykę i otrzymał posadę lektora języka polskiego. Obecnie na tymże uniwersytecie jest profesorem literatury polskiej.

Marian Pankowski zaczynał od poezji, by w końcu w roku 1955 napisać pierwszą prozatorską książkę pt. „Smagła swoboda”. I trzeba powiedzieć, że książka owa to właściwie jeszcze pisana prozą poezja. Autor na jej kartkach wprowadza nas w świat dziecięcych fascynacji przyrodą. A choć temat wydaje się biały, to jednak książka ze strony formalnej wygląda bardzo poważnie, bo na traktaty jest podzielona. Pierwszy z pięciu traktatów mówi o młodzińskich wyprawach na jabłko. I już od pierwszej strony wchodzimy w tę niezwykłą konwencję, tworzoną przez pisarza. Bo „Kto chce wykładać owoce, musi wpiąć posiąg dwie rzeczy: stronę rodzinną i dzieciństwo”.

Podczas lektury człowiekowi przypominają się jego ścieżki, które prowadziły do sadów, gdzie słońcem w ciągu dnia napełnione są owoce albo na stoncznikach, których pochylone ciężkie głowy jakby czekały tylko, by ktoś je szybko zerwał. W jaki sposób robi się to najlepiej, boć to przecież cała sztuka, także u Mariana Pankowskiego w kolejnym traktacie można znaleźć. Ale na tym to dzieło się nie kończy, jest jeszcze traktat o rozpalaniu ognia, sztuce latania i o Cyganach czyli tytułowej smagłej swobodzie.

W „Matuga idzie” bohater tytułowy Władzio Matuga młodziemcem się staje, a potem mężczyzną, a wszystkie te przemiany wśród przygód najdziwniejszych następują: strasznych z jednej strony, jak choćby pobyt Matugi w obozie koncentracyjnym, poprzez zabawne do surrealistycznych, które w swej niezwykłości przypominają fragmenty powieści Alfreda Kubina pt. „Po tamtej stronie”. I w tej książce objawił się po raz pierwszy ten niepowtarzalny styl pisarza, w niej określony został także bohater, w niej wreszcie znalazły się najważniejsze problemy pisarstwa Pankowskiego, wśród których jedno z podstawowych miejsc zajmują sprawy narodowe. Wykpiwane i ośmieszane przez pisarza w sposób jeszcze silniejszy niż to czynił Witold Gombrowicz. Autor „Matugi” postawił sobie jakby za cel walkę z pewnymi mitami i stereotypami. W wypadku akurat tej książki jest to sprawa okupacji, obozów koncentracyjnych czy też losu emigranta. I trzeba powiedzieć, że robi to w sposób na pewno dla wielu zaskakujący. Szczególnie szokujące w owej powieści są na przykład opisy obozu koncentracyjnego, w których autor zdaje sobie sprawę, że wszystkiego nie można przekazać, że istnieją wydarzenia, do których słowem nie można dotrzeć. Stąd często w tych obozowych fragmentach pojawia się zdanie powtarzane przez Matugę: „Tyłko jak ja im to opowiem?”

Przygody Władzia Matugi

Moim zdaniem „Matuga idzie” jest najlepszą i najpełniejszą książką Mariana Pankowskiego, następne są jakby kolejnymi rozdziałami dopisywanymi do niej. A dzięki temu samemu bohaterowi, tylko już coraz starszemu, czytelnikowi wydaje się, że czyta ciągle dalsze przygody Władzia Matugi.

W „Rudolfie” Matuga, który już profesorem się stał, a więc spoważniał i przestał go się trzymać dawne wygłupy z młodości, na swej drodze spotyka bardzo sympatycznego starszego pana, który jest homoseksualistą sławiącym naturę w jej biologicznym, a dokładnie mówiąc erotycznym wymiarze. Między owymi niemłodymi już panami zawiązuje się przyjaźń, której zespoli się jeszcze silniej pomaga spór, jaki obaj panowie toczą z sobą. Homoseksualista Rudolf jest jakby uosobieniem czystej i bezgranicznej natury, profesor zaś kultury. I w tej książce są fragmenty, szczególnie erotyczne, które delikatnie mówiąc mogą zaskoczyć czytelnika. Ale tutaj warto chyba oddać głos autorowi, który w jednym ze swoich artykułów napisał: „O ile w dziedzinie polityki i życia społecznego wiem, że stoję po stronie ładu, po stronie ciągłości wysiłku obywateli budujących cierpliwie teraźniejszość i przyszłość, o tyle w sztuce jestem za swobodą. Wierzę bowiem, że nie ma wielkiej i trwałej literatury bez niepokoju i fermentu”.

W „Pamiętnikach z macierzyzny” obserwujemy z kolei odwrócenie sytuacji w stosunku do tej, która miała miejsce w „Matuga idzie”. O ile bowiem Matuga z wielką trudnością odnajdywał siebie w świecie mu obcym, w innym kraju, o tyle bohater „Pamiętników” — starszy już człowiek — po przyjeździe do kraju odkrywał jakby na nowo swoją dawną ojczyznę. Tak, Matuga powrócił do Kartoflandii, jak nazywał kraj dzieciństwa i wszystko się odwróciło, ten człowiek teraz jest obcy tam, gdzie kiedyś był u siebie.

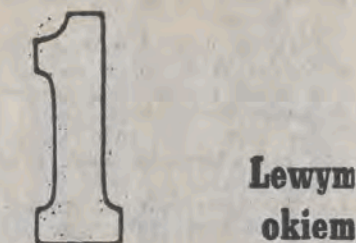
Nie można tutaj także pominąć opowiadania, jakim jest „Kozak”, tej „deklaracji wolności” (określenie Marii Danilewicz-Zielińskiej) złożonej przez Mariana Pankowskiego, który nagłe ze statecznego profesora zmienia się w wojowniczego Kozaka Panko zwanego, boć na pewno jego przodka wie tak się właśnie nazywali stwierdza autor. Oj... podczas czytania tego opowiadania aż człowieka podrywa i w fantazji swej ruszając także odczuwając się do pracy, ulic miasta i dalejże w step. Bo może i moi przodkowie wiele lat temu Włokdo się zwali, tak i ja Włokdo... naprzód więc w przestrzeń przede mną rozpostartą i u pał z otwartego na oścież nieba leci w dół, a ja pędzę i wiatr mnie studzi trochę i potem w jarze przystaje, bo tam strumień się rozlewa, więc chłód od niego bije i odpocząć można chwilę. Fantazja to wielka rzecz.

Sądzę jednak, że największym osiągnięciem pisarstwa Pankowskiego jest język, który stanowi, najogólniej mówiąc, połączenie gwary ludowej z mową kresową, z lwowskim bałakiem. Oto co autor w „Rudolfie” sam napisał na ten temat: „Słowa mają swój dom. Nie ma jaskółek bez dachu, bez brzozy, z którego się odbijają do lotu. Chmura lipcowej pszczoły nawiedzająca omdlałe aleje ma swój dom, dom nocy, praw i ładu. I śpiewka, którą słyszysz w sobie, tu nad kanalem w Brugii, ona rodem z Domaradza, z karczmy rozbuchanej parobczakami krzykiem rodem z jurnego weseliska. Stamtąd — o dynamy! — me plebejskie słowa, ta badunia, ta parija, łapanie ci. Chouam je, karmię i do lotu wzbijam, klaskając sam sobie do szumnego balu, ptasznik obczytny słów, co mi wierne. Biegnę pod nimi z nędzną przędzą w ręku, a one po niebiosach latawcem kołując, spadochronem szumiącym przez lata mnie niosą. Odczuwam siebie i matkującym sieroć z czołem wysokim”.

W tym miejscu jedna uwaga, po przeczytaniu „Pamiętników z macierzyzny” wydaje mi się, że już najwyższy czas skończyć z dopisywaniem li tylko kolejnych rozdziałów do „Matugi”, z podejmowaniem ciągle tych samych tematów, było to dobre do pewnego momentu, ale jeśli będzie rozciągane dalej i dalej, zacznie w końcu nużyć. Dobrze by więc było, żeby ten wspólny język, którym posługuje się pisarz przyczynił się do napisania czegoś zupełnie nowego, jak choćby książki podobnej, albo jeszcze dużo lepszej od „Granatowego goździka”, tego jedynego chyba utworu, który odbiega od „Matuga idzie”.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

NR 52 (1604), 25 GRUDNIA 1988 R.



Obrazek świąteczny

Na trasie między Lipskiem a Weimarem, mniej więcej w połowie drogi, leży w malowniczej dolinie nieduże miasto otoczone pięknym Turynskim Lasem. Nieduże miasto nazywa się Bad Sulza i to właśnie tam spędzałem swoją ostatnią, jeniecką wigilię w roku 1944.

Przywieziono nas tam w grupie około stu młodych, a mocno już steranych jeniecką odyseją podchorążych polskich z cukrowni w Roitzsch, po zakończeniu cukrowniczej kampanii. Jechaliśmy w dwóch towarowych wagonach, zamkniętych naглуcho i odrutowanych, w dodatku były to wagony po wapienie i podczas jazdy wypełniał je gęsto biały, dławiący w gardle, kurz. Z Roitzsch do Bad Sulzy jest kilkadziesiąt kilometrów, aleśmy jechali prawie dwie doby, bo ciągle wagony z zawartością, tak mało znaczącą jak jeńcy wojenni, spychano na jakieś bocznie, staliśmy tam godzinami, zimno było piekielnie. Nie otworzono wagonów ani na chwilę. Jedzenie zastępował nam cukier skradziony z cukrowni. Załatwianie potrzeb naturalnych umożliwiała puszką po konserwie, albo rozłożona na podłodze gazeta, przy czym względy obyczajowe wstydlive nie grały absolutnie żadnej roli. Przyjechaliśmy północy i trzytygodniowe „ferie” w Bad Sulzy bardzo się nam przydały.

Całą naszą setkę wepchnięto do jednej dużej, barakowej izby, zastawionej gęsto trzypiętrowymi przyczem. Ciasno tam było okrutnie i najwygodniej było siedzieć stale na własnej przyczę. Przy środkowej przyczę siedzieli z Józkiem na stojąco wisiłyna kolacje.

Kontakt z domem nie miał już prawie nikt, bo w kraju przesuwały się fronty, a nas od paru miesięcy przetrucano do coraz innego obozu. Pogubiły się kartoteki, dano nam nowe numery jenieckie, trudno było z nami trafić. Było już po Powstaniu Warszawskim. A mieliśmy wśród nas wielu warszawiaków. ci nie tylko nie mieli kontaktu z domem, ale mieli też powody do szczególne trudnych myśli. Bylem właśnie w takim położeniu i, zbliżając się niechcący do końca wojny, jakoś nie mógł się przebić przez minorowy nastrój.

Było w tym obozie wielu Belgów i Francuzów, zaprosili nas na Jasełka, które urządzili w konwencji teatru farmaceutycznego: mały, paroletni Chrystus gubił się gdzieś Matce, szukała go, płacząc, pośród nas. Było też paru Anglików, mieli w baraku francuskim odgrodzoną, specjalną izbę, mieszkali dużo lepiej niż reszta jeńców. Polewali wodą mały placzyk przed barakiem i holendrowali na przysłanych z Anglii łyżwach.

Urządziliśmy, do czego korekto mnie zawsze i wszędzie, występy artystyczne w naszej zatłoczonej izbie. Ktoś śpiewał, ktoś recytował, ktoś nawet tańczył jako odaliska. Przy bardzo prostym śpiewaniu koled rozplakał się profesor Haustat, członek Międzynarodowego Instytutu Koninkliu Gospodarczych w Brukseli. Jego funkcją w Bad Sulzy było sprzątanie śniegu przed niemiecką wartownią. Trzy razy dziennie jedliśmy ryż, okazało się bowiem, że jakaś instytucja charytatywna przysłała większą ilość ryżu dla wzbogacenia kuchni jenieckiej, a komendant obozu handlował nim na miejscowym czarnym rynku; gdy to wykryto staral się pozbyć nielegalnych zapasów i karmił nas ryżem aż nosem wychodziło.

Wielkie ryżowisko pozwoliło nam odzyskać kondycję i znalazło też wyraz w mojej pioseneczce:

„...bo gdy napchasz się mleka i ryżu
śnisz bez przerwy o damach w negliżu,
o ramionach tak białych, jak mleko,
o tych oczach, co zostały daleko —
może tęsknią, — a ty właśnie śpisz —

może głodne — ty właśnie jesz ryż...”

Nasz nieszczęśliwy kraj stał znowu w ogniu i dymie i lepiej było o tym nie myśleć i nie mówić. Leżąc na twardych jak beton przyczach różnymi godzinami w karty albo plawiliśmy się po raz stutysięczny we wspomnieniach sprzed wojny, w których prawda stanowiła niewiele więcej niż parę procent. To była ostatnia gwiazdka jeniecka, ale jeszcze nie ostatnia z dala od kraju. Jeszcze po świętach zdążono nas zatrudnić przy wyrębie nieludzkich twardych buków w lesie turynskim, jeszcze była Wielkanoc w niewoli, druga trudna ewakuacja, parę miesięcy w szpitalu, duża rozterka wracać czy nie wracać, aż wreszcie dokładnie w rok później pierwsza wiadomość od bliskich z kraju.

Święta Bożego Narodzenia nastrojały wspomnieliwo i lirycznie. No i patrzyli: zamiast normalnego, cotygodniowego felietonu napisało mi się wspomnienie sprzed czterdziestu czterech lat.

Jak ten czas leci!

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI



Bogaćmy się!

Zapytałem niedawno kilkorga moich znajomych, osób raczej nie zamożnych, iaka, ich zdaniem, jest różnica między człowiekiem biednym a bogatym. Odpowiedzi były rozmaite. Jedni wskazywali na wygląd zewnętrzny, dostęp do wielu dóbr materialnych, możliwość podróży. Drudzy — na sprawę opieki medycznej, ilość i jakość żywności, używek. Jeszcze inni — na zabezpieczenie na starość, pomoc dzieciom. Wszyscy jednak zgodnie sprowadzali moje pytanie do zagładania ludzkości do portfli i różnicowania ich w zależności od tego, ile mają pieniędzy oraz na co je wydają, lub przynajmniej — mogą wydać. Sprawiało to trochę takie wrażenie, iak gdyby ślizgali się po zamrażalnym jeziorze, zupełnie nie zdając sobie sprawy, iż pod grubą warstwą lodu jest przecież jeszcze woda i to zwykle dosyć głęboka. Nikt nie próbował wygrać przerebli.

Wyniki mojej prywatnej misjonarskiej upewniły mnie, iak bardzo nasza szara, trudna rzeczywistość ogranicza nam pole widzenia, iak jesteśmy na co dzień przyziemni i prozaiczni. Zmęczeni, sfrustrowani, zawiedzeni myślimy przede wszystkim o posiadaniu. Liczą się dla nas głównie przedmioty: mniej lub nawet wcale — pokłady uczucia, kultura osobista, przyzwyczajenia, obyczaje, czyli to wszystko, co wiąże się ze sferą psychiki ludzkiej, ze sprawami ducha.

Lubię powtarzać: lepiej być zdrowym i bogatym niż biednym i chorym. Albo: pieniądze szczęścia nie dają, ale... I mam rację. Coraz trudniej żyć we współczesnym świecie bez pieniędzy. Nie dlatego jednak tylko — iak nam się na ogół wydaje — że nie można mieć. Również dlatego, że nie można być.

Kiedyś, nie tak znowu dawno, przekonywaliśmy się, że nasz ideał to Polak biedny, lecz uczciwy. Bogactwo rozleniwia, wypacza charakter, zniewala. Prawda — tak się zdarza. Ale prawda jest też, że bieda i uczciwość wcale nie muszą iść ze sobą w parze. Przeciwnie. doświadczenie uczy, że najbardziej kryminalne są właśnie ubogie warstwy społeczeństwa. Tam bowiem występuje największy rozdźwięk między: chcieć a móc. Niezaspokojone ambicje są nader często źródłem zła.

Patrzac na to zjawisko, acz nieco z innej perspektywy i wysokości, można też wyprowadzić i taki wniosek, że człowiek ubogi dużo szybciej i łatwiej traci swą tożsamość. Ka-

rykaturalny obraz tego miałem w tych wszystkich starych działachach komunistycznych, którzy buntując się przeciw nędzy, w której wyrosli i kształtowali swe ideowe oblicze, gdy tylko dostali w ręce choć odrobinę pieniędzy, zaraz zaczęli upodabniać się do swych dawnych przeciwników klasowych, przejawiając nie tyle ich zalety, co przede wszystkim wady. Znałem to i smutne przypadki.

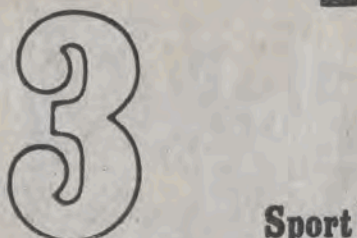
Nie mniej groteskowo wyglądała półnagi, niedożywny Murzyn — analfabeta, który zdłżał w afrykańskiej sawannie pasie stado bydła z japońskim miniaturowym odbiornikiem na szyi. I, wbrew pozorom, nie jest to wcale takie zabawne, gdyż przy zderzeniu dwóch tak różnych światów, dwóch tak różnych się do siebie kultur, wygrywa zwykle ta, za którą stoją większe pieniądze. Słabsza powoli obumiera, degeneruje się, bywa że nawet całkiem ginie. Bolesny to proces, choć często nieunikniony. Tym boleśniej zresztą, im szybciej przebiega.

Rzecz w tym, że my nie musimy dziś odwoływać się aż do tak egzotycznych przykładów. Wystarczy pojechać na naszą, polską wieś, aby tu i ówdzie przy krytej strzechy chociaż zobaczyć mercedesa, albo na przedmieście, gdzie jedząc chleb z pasztetową w ciastnym mieszkanku, rodzina ogląda „Rambo” z taśmą magnetowidu. To znów oczywiście skrajność, pokazująca jednak wyraźnie, iak bardzo biedny chce być bogaty, iak żarliwie pragnie go naśladować. Nierzadko — bez względu na cenę.

Jesteśmy społeczeństwem raczej ubogim. Imponują nam kraje zasobne, których obywatele żyją w dobrobycie i trudno się temu dziwić. Kiedy jednak małymu bogatych, to wraz z techniką, nowinkami cywilizacyjnymi mimowolnie przejmujemy ich obyczaje, tradycje, kulturę. Zachwycamy się więc amerykańskim filmem, angielską muzyką rockową, francuską literaturą... Nasza kultura powoli idzie w kat, choć wcale nie jestem przekonany, czy nasze przysięgi góralskie gorsze są od muzyki country z Nashville. Krótko mówiąc, tracimy swą tożsamość.

Dlatego cieszę się, kiedy władza zaczyna mi mówić: bogaćmy się. Bo im, iako społeczeństwo, będziemy bogatsi, tym większą mamy szansę pozostać sobą.

JÓZEF RETMAN



Zjechali się, aby pogadać

Działacze sportowi też ludzie. Każdy gdzieś pracuje, czegoś się uczy, a co zdobędzie, do sportu przenosi. I dobre doświadczenia, i złe. Tych złych jakby było więcej. Należy do nich między innymi przekonanie, że najsukcesyjniejszym plastrem na wszelkie niedomagania jest narada, konferencja, zjazd. Zwolujemy naradę, konferencję, zjazd (przekreślić niepotrzebne), wygłaszamy referat, przeprowadzamy dyskusję, w której każdy chwali się tym, co zrobił i iak u niego jest dobrze, podejmujemy uchwałę i rozchodzimy się do domu ze spokojnym sumieniem, że odwołaliśmy się „kawał dobrej roboty” i teraz wszystko będzie inaczej. A tu nic się nie zmienia, przeciwnie — robi się jeszcze gorzej.

Ostatnio w wielu związkach sportowych obradowali zjazdy. Były referaty, była dyskusja, były utarczki i spory, jedni wypominali drugim różne brzydkie rzeczy, byli wreszcie uchwały, wybrano prezesów i zarządy, i rozjechano się do domów, prawdopodobnie w poczuciu „dobrze spełnionego obowiązku”, a sportowa rzeczywistość iak skrzeczała tak skrzeczy. Na przykład w koszykówce.

Młodzi, która chciałaby grać w koszykówkę — owszem

— jest. Gra nawet w tę koszykówkę. Tak chłopcy, iak i dziewczęta. Tyle tylko, że straszna to amatorszczyzna i ani w Europie, ani w świecie nasi koszykarze nie liczą się. Tak chłopcy, iak i dziewczęta. Wprawdzie podczas gry wrzuca się piłkę do kosza bez dna, ale koszykówka w Polsce dna nie ma. Mogłoby się zatem wydawać, że na takim zjeździe działacze sportowi, przeprowadzeni troską o tę dyscyplinę, przeprowadzoną wnikliwą, bezlitosną i bezpardonową krytyką istniejącego stanu rzeczy w polskiej koszykówce, dokonają zmian kadrowych, które będą gwarantowały wyjście z kryzysu, nakreślą program ratowania tej dyscypliny sportu. Mogłoby się wydawać...

Czego brakuje polskiej koszykówce? Właściwie wszystkiego! I można w tym miejscu zamknąć dyskusję, śląc, gorzko zapłakać, a następnie zająć się czymś, co jeszcze istnieje i ma szansę rozwijać się. Ale tak zrobić nie wolno, więc powiedzmy sobie, że nie ma dostatecznej liczby trenerów, nie ma butów dla koszykarzy, nie wszystkie kluby stać na wynajęcie halli, nie ma piłek. Tu ciekawostka! Otóż polscy koszykarze, iako biedni, grają piłkami produkowanymi w Bułgarii, którymi nie grają koszykarze bułgarscy, grają natomiast koszykarze... Albanii. Iak to dobrze, że jest ta Albania, która sprawiła, że to nie my zajmujemy ostatnie miejsce w Europie. Ale staramy się ze wszech sił i malutko, a cofniemy się za Albanie.

Zjazd się odbył. Iak się odbywały zjazdy już wspominałem. Wybrano tego samego prezesa, który był do tej pory, ten sam zarząd, tych samych ludzi, którzy doprowadzili do upadku polskiej koszykówki.

Odbył się też zjazd Polskiego Związku Narciarskiego. Właściwie druga jego część, bo pierwsza odbyła się w kwietniu 1988 roku. Otóż na tym zjeździe zdarzył się wielki przeżabywany fakt. Mianowicie na trybunę wszedł przewodniczący komisji wnioskowej i zaczął odczytywać uchwałę, której treść wprawiła delegatów w bezgraniczne zdumienie. Treść tej uchwały w niczym nie odnosiła się do tego, co mówiono w dyskusji na zjeździe. Wstał wtedy pewien człowiek i wyraził wątpliwość.

— Odnoszę wrażenie — powiedział ostrożnie — że członkowie komisji wnioskowej nie byli na sali i nie słuchali tego, o czym tu się mówiło.

— Nie byliśmy — powiedział na to zupełnie szczerze przewodniczący komisji wnioskowej — bo iak mogliśmy być, kiedy siedzieliśmy w innej sali i opracowywali uchwałę.

Wtedy inny delegat zaproponował, aby uchwały tej nie przyjmować, tylko zalecić komisji wnioskowej przesłuchanie taśmy z dyskusji i na tej podstawie sporządzenie uchwały, która odpowiadałaby uwagom i wnioskom delegatów. Pomysł był dobry, ale delegaci, iakby zupełnie zaczerwieni, uchwalili uchwałę, która pierwotnie zamierzali odrzucić, bo nie odpowiadała przebiegowi zjazdu. Tu należy wyjaśnić, że zjazd PZN odbywał się w Zakopanem. Za oknem był piękny śnieg i widać delegatowi soieczyło się do tego śniegu. Delegaci też narciarze...

A co z narciarstwem? Iak leżało, tak leży. Wymyślono wprawdzie podział na grupę A i grupę B. Ta pierwsza to młodzież, na którą się stawia. Ta druga — to „starszaki” już utytułowane sportowymi tytułami, iak na przykład mistrz Polski i temu podobne. Uznano, że przed tą drugą grupą nie ma przyszłości, więc się ją traktuje gorzej, wszystko dając młodzieży, czyli „maluchom”. Ten pomysł poddano krytyce, ale też na tym poprzestano.

Poza tym umyślono, że teraz PZN będzie dawał licencje na sorzet narciarski. Pomysł ten Jerzy Iwaszkiewicz tak ocenił w „Sportowcu”: — „Polski Związek Narciarski chce przejąć monopol i nie samemu nie robiąc o wszystkim decydować”. A podobno walczymy z monopolami i mamy rozwijać przedsiębiorczość. Wszędzie tylko nie w sporcie narciarskim, iak też nie w koszykówce i... (gorzej widać dowolną dyscyplinę wedle własnego uznania).

BOGDA MADEJ

Zapadła noc. Zanim wszedł księżyc, ujrzał Dago swą Gwiazdę Zwierzęcą, świecąca bardzo jasno. Pomyślał z nadzieją, że oto jak gdyby zamknął się wreszcie niewidzialny krag magiczny jego życia, a on go przekroczył i rozpoczął życie od nowa. Czyż bowiem na początku swej wędrówki do ojczyzny nie napotkał tkwiącego w klatce człowieka, a potem sam znalazł się w klatce? Tylko, że tamtego człowieka to on uwolnił z klatki, z innej zaś klatki sam siebie uwolnił, co znaczyło chyba, że jeszcze kiedyś znowu będzie potężnym władcą. Czy bowiem nie obdarzyła go Eponia długowiecznością w tajemnych jaskiniach węzłowych? „Nigdy już nikomu i niczemu nie zaufam” — przysięgał sobie.

W połowie nocy zbliżyli się do rozległej polany parujących podczas mrozu oparzelisk. W lekkiej mgie w blasku księżyca ujrzał Dago wysepke, do której prowadziła droga z okraglaków i most nad bagnami. Zwyczajem ludów skławińskich gród wzniesiono wśród bagien, otoczono go wałem i dwoma rzędami ostrokołu tu i ówdzie zwieńczonymi czaszkami koni. Gdzieś niedaleko stąd musiała być kiedyś granica z krajem Ludzi Skrzydlatych i ich miłość do koni przeniknęła aż tutaj.

Otworzono bramę z grubych dyli i wjechali na ciasne podwórce z szopami na konie i mieszkaniami dla służby, ze starym drewnianym dworzyszczem o spadzistym dachu, teraz pokrytym śniegiem. Do dworu go nie wpuszczono, wskazano na nocleg miejsce w stajni obok sprowadzonych koni. Dostał do zjedzenia miaskę zupy z konopi z kawałkiem rozgotowanej baraniny. Koniojadzy uszyli mu ciepłą odzież, w stajni nie musiał się lekkać mrozu i nawrotu gorączki.

Od razu rzuciło się w oczy, że na powitanie Kłodawy wyszło z szop tylko jeszcze kilku mężczyzn wolnych, bo z długimi włosami i uzbrojonych w kościenie oraz kilkoro niewolnej służby, przeważnie karłów. Pomyślał, że Kłodawa chętnie przyjmie go — cy-cerskiej służby skoro kraj był w ogniu i każdy musiał się sam bronić przed innymi. „Do wiosny tu pozostanę i nabiorę sił. Do wiosny tuż niedaleko” — zdecydował się. Aż wtem...

wszystko, co było w Dagonie świadome, nakazywało powolność w postępowaniu i niezwykłą ostrożność. Cóż z tego bowiem, że najprostsze wydawało się, na przykład ukraść Kłodawie konia i pociągnąć do Gniazda, do Giezza lub do Żni-na. Czy nie uczyła sztuka rzadzenia ludźmi, że co innego jest władać w imieniu syna zmarłego Piastuna, a co innego oddać władzę bezbronnemu Piastunowi i na powrót stać się jego sługą? Czy zechce najstarszy syn Awdanów zdjąć z głowy koronę Komesa na widok bezbronnego Piastuna? Czy uczyni to także i Komes Paluka? Wszak istnieje tylko to, co zostało nazwane, a Piastun został przez Zylkę nazwany umarłym. Kto będzie miał korzyść z Zylki, odwróci się przeciw drugiemu nazwanemu. „Księga Grzmotów i Byskawic” mówiła, że w takich razach zwycięży to nazwanie, które zostanie poparte większą siłą. A on był słaby i bezbronny. „Nikomnie ufaj” — szeptał do siebie.

Rankiem rozebrano do pasa spróbowal znowu hartować swoje ciało myjąc je na mrozie w lodowatej wodzie. Otoczyła go gromadka dziewcząt ciekawych jęńca, którego przyprowadzono od Koniojadów. Podobał się im ten wysoki barczysty mężczyzna o pięknej twarzy i białych włosach. Chichocząc zagadywały do niego, ale on udawał, że nie rozumie mowy skławińskiej. Wreszcie wyszła z dworu pani Kłodawa i trzaśnięciem bicia rozproszyła dziewczyny jak stado ptaków.

Z przyjemnością popatrzyła na nagi tors Normana, na mięśnie drgające mu pod skórą. Od śmierci męża nie pofołgowała swoim kobiecym żądom, ponieważ nikt z jej otoczenia nie wydawał się jej godnym. Norman był tu jednak obcy, może naprawdę posiadał bogactwa większe od Kłodawy i tym samym przewyższał ich wszystkich. Odewały się w niej uśpione pragnienia, poczuła, że ma łono, piersi, uda.

— Wejść do dworu — rzekła rozkazująco.

Poprowadziła go do swojej izby, gdzie na ścianach wisiały miecze z ozdobnymi rękojeściami, szczyty, dwa szyszaki, mocne kolczugi i długie noże zwane langsaksy. Obszerne łóżko pokrywało futro niedźwiedzia.

Wskazała mu ławę przy stole, klasnęła w ręce i dziewczę służebne kazała podać na śniadanie oślekę masła, placek jęczmienny i dzbanek z mlekiem krowim.

— Wydajesz się być silnym mężczyzną. Jesteś jednak bardzo wychudzony — powiedziała szorstko, aby ukryć przed nim, że budzi w niej słodycz i dziwne ciepło.

— Długo błąkałem się samotnie w puszczy, zająłem się i chorowałem. A potem u Koniojadów jadłem tylko wstrętne końskie mięso.

— Odżywię cię, a wiosną zaprzęgnę do pluga — oświadczyła.

ZBIGNIEW NIENACKI

Dagome iudex



Rys. Janusz Szymański-Glanc

— Nie chcesz już moich skarbów?

— Nie wierzę, że je posiadasz. Zresztą, mam dosyć własnego bogactwa. Widzisz, ile tu broni? W innych izbach jest jeszcze więcej. Mam stada krów i trzy wioski Koniojadów.

— Twoi synowie noszą tylko kościenie, a koniouchy proce i oszczepy. Masz dużo mieczy, ale one rdzewieją.

— Nauczysz moich synów walki na miecze — zdecydowała. — Jeśli potrafisz.

Odpowiedział jej cichym pogardliwym śmiechem.

— Z czego się śmiesz?

— Pozwól mi wybrać miecz, kolczugę, szczyt i szyszak, a rozpadnę cały twój dwór.

Rozbawiły ją te przechwałki. — Jesteś jeszcze bardzo słaby...

— To prawda — przyznał. — Miewam zawroty głowy. Dlatego wzięliście mnie do niewoli. Gdybyś, pani, miała piławkę i kazała dla mnie zrobić kąpiel w łaźni, dała wypić naparu z łopucha, szybko bym wyzdrowiał.

— Należysz do „mądrych”, co umiemy leczyć? — zdziwiła się.

— Tak — skinął głową. — Zastanawiała się chwilę, potem zaś rzekła:

— Dostaniesz to, czego potrzebujesz. Potem dam ci dziewczkę i zostaniesz na mojej służbie.

Odsunął jedzenie i podniósł się od stołu, stając naprzeciw niej, wyższy od Kłodawy o głowę.

— Lekki przyjmę, ale dziewczkę daj komu innemu. Sam zwykłem sobie wynajdować kobiety i biorąc je nie pytam o zgodę. Nauczę twoich synów walki na miecze. Co będzie potem, to się zobaczy.

Cofnęła się o krok, gdyż od tego człowieka biła jakaś wielka siła. Nie potrafiła jej nazwać, ale przecież ją odczuła na sobie i jeszcze bardziej zaczęła pożądać tego człowieka.

— Nie jesteś zwykłym normanśkim rabusem — stwierdziła.

— Nie jestem — odparł.

Otrząsnął się z dziwnego uczucia szacunku, jaki ją ogarnął na chwilę wobec Normana.

— Kąże cię przywiązać do słupa i obatożę — zagroziła.

— Spróbuj — niemal warknął.

Doskoczył do ściany, zerwał z niej frankoński miecz i zrobił nim młynka aż powietrze zaświstało, przecięte ostrzem. Zamachnęła się na niego batem, lecz ostrze miecza odcięło biczysko.

— Uspokój się. Kąże ci przywieść piławkę — odezwała się pojednawczo.

Odwiesił miecz na dawne miejsce na ścianie. Usiadł przy stole i zaczął kończyć jedzenie. A ona znowu klasnęła w ręce i wezwwała dziewczę służebną.

Przyniesiono w glinianym dzbanie wodę z piławkami, które trzymano w cieple, aby były przydatne na różne choroby. Dago znowu obnażył tors, przyłożył do piersi kilkanaście piławek, patrząc jak chciwie

Dobro wynagrodzę, zło ukarzę.

— Kiedy?

Zacisnął usta i znowu jak gdyby zamknął się w sobie.

— Masz chyba gorączkę — dotknęła dłoń jego czoła. Ale jego czoło było zimne, ona zaś odczuła w sobie rozkoszny dreszcz.

Przed wieczorem zaprowadziła go do łaźni, zabierając dla niego czyste lniane kalety, lnianą koszulę, obcisłe welniane spodnie i długie aż do kolan welniane skarpety. Dostał też nowe buty ze skóry losia i kozuch barani.

Bez odrobiny wstydu patrzyła jak się rozbiera do naga w kłębach pary, a potem sama zrzuciła z siebie odzież. Ciało miało gładkie, umięśnione, szerokie plecy, głębokie wcięcie w tali i duży zad. Gdy stała odwrócona tyłem, można ją było wziąć za dwudziestolatkę, lecz obwisłe piersi i brzuch poznały ciemnymi rozstępami przypominał o jej latach i urodzeniu trzech synów. W słabym świetle łuczy-

jego białe włosy, aby pozbył się wesz, które go oblażyły, gdy mieszkał u Koniojadów.

Później siedzieli obok siebie na ławie wydychając suche powietrze, bijące od rozgrzanych kamieni i znowu pocili się obficie.

— Kiedy miałeś kobietę? — zapytała.

— Nie pamiętam — odparł po długiej chwili milczenia.

— Już cztery lata nie byłem mężczyzną — niemal jęknęła od bolesnego pożądania.

— Wypelnij cię — obiecał.

— Kto cię chciał otruć? — znowu zapytała, gdyż pragnęła wszystko wiedzieć o tym mężczyźnie.

Jej ciało ostrzegało ją, że jeśli on wypelni je i da rozkosz, posiadzie nad nią wszelką władzę. Bała się tego, a zarazem chciała tej jego władzy.

— Nie chcę twoich skarbów. Wystarczy mi za złoto i srebro — mówiła. — Powiedz kim jesteś. Pragnę wiedzieć o tobie wszystko, aby cię mocniej kochać.

(33)

zamierza tutaj być panem, odtąd nie szukali z nim zaczepki a nawet jak gdyby przyjęli go z radością, ponieważ od kad się pojawił, matka była weselsza, rzadziej śmigał jej bat, a i jedzenie podawano bardziej łuste.

Ktoregoś dnia konioch strażujący przy wrotach oznajmił przybycie obcych. Okazali się nim trzej saurumacy wojownicy i komornik z dwoma lekimi saniami, zaprzęgniętymi w konie. Uzbrojony Dago ukrył się na strychu domu, czym dał Kłodawie do zrozumienia, że nie chce być widziany przez obcych.

Królowa Zylka szykowała obronę przed Karakiem i we wszystkich ziemach, które jej podlegały, wyznaczała daniń: od każdego posiadacza wojownika lub niewolnika — 3 mierzycy owsa, jedną żyta i pół mierzycy pszenicy. Rozkazali Kłodawie, aby wkrótce popędziła swoje konie do Kruśzwic, gdzie otrzyma za każdego zdolnego pod wierzch — równowartość dziesięciu krów w srebrnych grzywnach lub złotych solidach.

Nocowali we dworze. Dago nie chciał zejść na dół do izby Kłodawy.

— Chyba się ich nie lękasz? — pytała go, zdumiona.

— Nie trzeba, aby wiedzieli, że trzymasz w swoim domu Normana. Jesteśmy tu znienawidzeni.

Polecił jej, aby wywiadywała się od komornika o sprawy Zylki, Spicimira i innych możnych. Ale komornik niewiele wiedział. Tylko tyle powiedział, że Zylka zrezygnowała z oblegania Łęczycy, Spicimir dał jej władzę Gniazdem i Poznanią. Awdaniec zaś i Paluka, mimo że ich poprosiła o pomoc przeciw Karakowi, odmówili swego udziału w tej wojnie i nie zgodzili się włożyć dłonie w jej dłonie na znak poddaństwa i gotowości do służby. Jaszczółt w Gedanii ogłosił niezawisłość Witlandii i znowu, podobnie jak ongiś Gedani, płaci połowę należności za przesłane mu rzeką towary.

Komornik gadał, że po lasach zbierają się gromady Lestków, którzy wierzą w powrót Piastuna — tej nocy w łóżu opowiadała Dagonowi. — Rozgiewana królowa na oczach ludu w Kruśzwicu ucieła leb białemu ogierowi Piastuna, aby pokazać, że nie Piastuna nie wskrzesi.

Na wieść, że zabito Vindosa, Dago doznał takiego bólu gdzieś w głębi siebie, jak gdyby w brzuchu, że aż skulił się na łóżu i zajączał.

— Co ci się stało? — zaniepokoiła się Kłodawa.

Chciała zapalić kaganek i zaczęła krzesać iskry. W ich nagłych rozbiysnięciach wydawało się jej, że coś szklę się w otwartych oczach leżącego mężczyzny. Czyżby ten człowiek płakał? Ale kiedy zapaliła kaganek, jego oczy były już suche.

— Daj mi dzban miodu i i kubek — poprosił.

Spełniła jego prośbę. A on jeden za drugim opróżnił trzy kubki z miodem, a potem trawiony jakimś myślimi zaczął krząć po izbie. Poczuła niepokój, a nawet strach przed tym człowiekiem, taki się na jego twarzy malował wyraz gniewu i nienawiści. Bała się nawet zapytać, co było przyczyną jego gniewu.

Wreszcie sam się odezwał.

— Czy masz białego konia?

— Nie. Są siwe, ale nie białe.

— Niechaj jutro twoi synowie ruszą po okolicy i kupią za każdą cenę białego ogiera. — Nikt tutaj nie hoduje białych koni, bo są święte.

— Niechaj szukają. Musi być biały. Może być nawet żreback — powtarzał.

— Po co ci biały koń? Dlaczego ma być właśnie biały? Daruję ci kasztana, wspaniałego ogiera. Mam po mężu piękne siodło i haftowany czaprak. Podkujemy go srebrnymi podkowami — obiecywała.

— W takim razie sam go poszukam — zdecydował.

Zlekła się, że odejdzie już na zawsze i go utraci.

— Dobrze. Wyślę synów na poszukiwanie białego ogiera — oświadczyła.

Zdmuchnął kaganek i jeszcze jakiś czas krzął w ciemnościach po izbie. W końcu położył się obok niej a ona objęła go nagimi ramionami.

C.D.N

SPÓŁDZIELNIA PRACY KONFEKCJA

W ŁODZI, UL. PIOTRKOWSKA 273

O F E R U J E P R A C E

W ZAKRESIE CHAŁUPNICZEGO SZYCIA

konfekcji damskiej i męskiej lekkiej

ORAZ
Z A T R U D N I
SZWACZKI

w zakładach produkcyjnych na terenie Łodzi.

Spółdzielnia zapewnia:

- atrakcyjne zarobki akordowe,
- pracę na 1 zmianę od 7 do 15,
- świadczenia socjalne z zakładowego funduszu oraz pożyczki z zakładowego funduszu mieszkaniowego.

Spółdzielnia nie zatrudnia osób po samowolnym porzuceniu pracy.
Zgłoszenia przyjmuje Dział Kadr Spółdzielni, ul. Piotrkowska 273,
tel. 84-52-21.

7884/K

Spółdzielnia Pracy Urządzeń Mechanicznych i Narzędzi

„METALOWIEC”

w Łodzi, ul. Brzozowa 11/15

ZATRUDNI NATYCHMIAST:

- * TOKARZY
- * FREZERÓW
- * SZLIFIERZY-POLEROWNIKÓW
- * ŚLUSARZY
- * ELEKTRYKA
- * LAKIERNIKA

Wynagrodzenie wg zakładowego systemu wynagradzania. Zgłoszenia przyjmuje i informacji udziela stanowisko do spraw pracowniczych — tel. 84-47-42.

7136/K

Polmatex Majed

ŁÓDZKA FABRYKA MASZYN JEDWABNICZYCH
W ŁODZI

producent maszyn dla przemysłu włókienniczego i chemicznego

O R G A N I Z U J E

PRZESZKOLENIE I PRACĘ

w zakresie obsługi obrabiarek sterowanych numerycznie, obrabiarek skrawających, centrów obróbkowych, galwanotechniki oraz montażu maszyn włókienniczych również dla absolwentów techników

O F E R U J E

atrakcyjną pracę

INŻYNIEROM I TECHNIKOM

szczególnie w specjalnościach:

- technologii budowy maszyn
- konstrukcji maszyn włókienniczych
- konstrukcji form do tworzyw sztucznych
- konstrukcji oprzyrządowania do obróbki skrawaniem i plastycznej
- powlekania galwanicznego i lakierniczego.

Z A T R U D N I

PRACOWNIKÓW WYKWALIFIKOWANYCH

i do przyuczenia w zawodach

- ▲ TOKARZ
- ▲ FREZER
- ▲ WIERTACZ
- ▲ SZLIFIERZ
- ▲ ŚLUSARZ
- ▲ MONTER MASZYN
- ▲ BLACHARZ
- ▲ ELEKTRYK
- ▲ ELEKTRONIK

I N F O R M U J E

MONTERZY MASZYN, ELEKTRYCY I ELEKTRONICY

delegowani są do prac przy montażu do wielu krajów świata.

Chętnym umożliwiamy podjęcie dodatkowego zatrudnienia na terenie przedsiębiorstwa.

Nie przyjmujemy osób po porzuceniu pracy.

Posiadamy ośrodki czasowe nad morzem i rzeką Wartą, prowadzimy wymianę czasów z przedsiębiorstwami w NRD.

Szczegółowych informacji udziela Dział Kadr i Szkolenia Zawodowego, Łódź, ul. Żeromskiego 96, tel. 36-05-26 lub 36-57-00, wew. 115.

7825/K

Polmatex Majed

WESTA NIE ZNA GRANIC!



WEDŁUG STATUTU

SPÓŁDZIELCZEGO ZAKŁADU UBEZPIECZEŃ „WESTA”

„§ 4 Spółdzielnia prowadzi działalność ubezpieczeniową i prewencyjną w zakresie ubezpieczeń osób fizycznych, prawnych, jednostek gospodarki uspołecznionej i nie uspołecznionej oraz organizacji spółdzielczych zgodnie z Ustawą z dnia 20 września 1984 r. o ubezpieczeniach majątkowych i osobowych (Dz. U. nr 45, poz. 242 z 1984 r.), wydanymi na podstawie tej ustawy aktami Rady Ministrów lub Ministra Finansów”.

„§ 5 ust. 6 Spółdzielnia współpracuje z krajowymi i zagranicznymi zakładami ubezpieczeniowymi w zakresie działalności

ubezpieczeniowej oraz ochrony interesów własnych i ubezpieczonych podmiotów”.

Proponujemy ubezpieczenie krajowego i zagranicznego sektora uspołecznionego i nie uspołecznionego jako pierwsi w Polsce z reasekuracją w zakładach ubezpieczeniowych w Austrii, Francji, Kanady, Holandii, RFN, Danii, Szwajcarii, USA.

3566/K

TEATRY ŁÓDZKIE PROPONUJĄ

TELEGRAM

Szczęścia w życiu osobistym
i wielu wzruszeń w teatrze
życzą widzom

DYREKCJA I ZESPÓŁ TEATRU 77

3557/K



TELEGRAM

PAŃSTWOWA FILHARMONIA

w Łodzi, im. A. Rubinsteina

OGŁASZA

K O N K U R S

na wakujące stanowisko jednego z
dwóch równorzędnych koncertmistrzów grupy skrzypiec
oraz na stanowisko
koncertmistrza wiolonczel.

Zgłoszenia kandydatów przyjmujemy w ciągu dwóch miesięcy od daty ukazania
się ogłoszenia. Wszelkich informacji udziela Dział Kadr Filharmonii — tel.
33-33-18 oraz Dział Pracy Artystycznej — tel. 32-99-97.

7859/K

TEATR STUDYJNY

90-509 Łódź,

ul. Kopernika 8

telefony:

36-41-66 (centrala),

36-78-88 (Dział

Współpracy z Widzom)

Nasz program pomostem w XXI wiek

Kochani Widzowie,
nadmierz sroga zima. Człowiek, dzięki postępowi, nauce i technice, jakoś się obroni przed
jej atakiem. Jak jednakże przeciwstawi się mrozom matka natura, nasze naturalne środo-
wisko, bezbronne, gołe, wydane na pastwę lodowatych żywiołów? Nijak. Wzywamy więc
Was — pomóżcie przeżyć łódzkim drzewom i krzewom, całej roślinności, pomóżcie przeżyć
łódzkiemu światu zwierzęcemu, zwłaszcza zaś ptakom, które nadają szczególnego koloru
naszemu miastu. W ramach naszych skromnych możliwości wybudowaliśmy kilka karmni-
ków dla ptaków i ustawiliśmy je w różnych punktach Łodzi. Niestety, Teatr nie jest w
stanie sam wyżywić szerokich rzesz ptactwa. Błagamy, przechodząc koło naszych karmni-
ków wrzucić tam kruszynę chleba, ziarenko zbóż, kawałki słoniny, i co tam jeszcze
przyjdzie Wam do głowy. Jednocześnie wykażcie zainteresowanie resztą przyrody, chroń-
cie ją jak możecie, np. owijając drzewa słomą lub innymi ocieplaczami, które pozwolą im
na wiosnę stanąć znów w pełnym rozkwicie. Łączcie się z nami w tej cennej, i jakże
pięknej ekologicznej akcji. Więcej serca dla ptaków!

TEATR STUDYJNY
3564-K



Teatr NOWY w Łodzi

Sonda w głąb życia genialnego pisarza.

Co się kryje za maską ironisty i cynika?
Seans dramatyczny w opracowaniu
Wojciecha Szulczyńskiego

JA, GOMBROWICZ

na prośbę widzów

znów w Małej Sali Teatru Nowego.

Reżyseria i opracowanie muzyczne:
Wojciech Szulczyński
Scenografia:
Barbara Hanicka
Prapremiera: 25 marca 1988 roku.

Tego reklamować nie trzeba.

Premiera nowej bajki:

BESTIA i PIĘKNA

Stanisława Grochowiaka

od 17 grudnia
na scenie Teatru Nowego.
Wszystkie bilety sprzeda-
ne do marca!

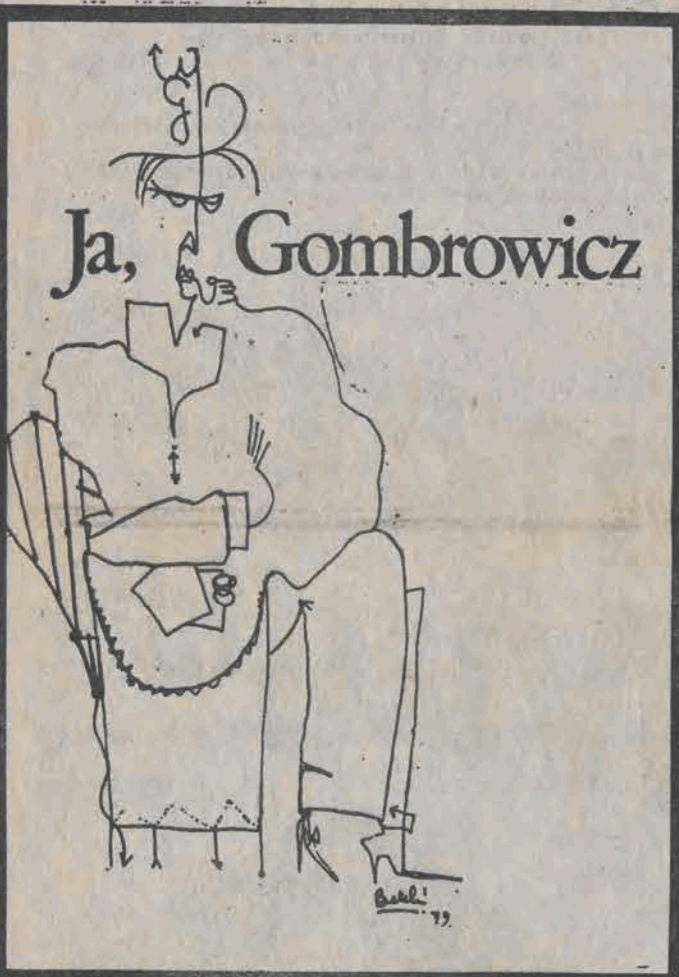
Reżyseria:

Krzysztof Rogoż,
scenografia:

Iwona Zaborowska,
muzyka:

Ewa Kornecka.

3556/K



UWAGA! — UWAGA!

Powstaje album malarski o naszym mieście
„ŁÓDŹ KOLOROWA”,
od pierwszych obrazów po dzieła współczesne.
Ktokolwiek z artystów profesjonalnych malował Łódź,
kto jest w posiadaniu obrazów przedstawiających pejzaż
Łodzi,
kto wie, gdzie takie obrazy się znajdują —
proszony jest o informacje pod adresem:
Centrum Informacji Kulturalnej, ul. Zamenhofska 1/5, tel.
33-92-21.

3182/K

57 - 55 - 55

rok założenia 1958

Prywatne pogotowie lekarzy specjalistów

WIZYTY DOMOWE, KONSULTACJE
i ZABIEGI
w zakresie:

- pediatrii ogólnej oraz: laryngologii, chirurgii, neurologii, kardiologii, okulistyki, dermatologii i ortopedii dziecięcej
- interny oraz: kardiologii, hematologii, pulmonologii, endokrynologii, gastrologii
- chirurgii miękkiej i ortopedii
- urologii
- neurologii i psychiatrii
- dermatologii, reumatologii
- okulistyki
- ginekologii
- EKG u pacjenta

Zlecenia przyjmujemy w dni powszednie 8-22, w dni wolne od pracy 9-22, tel. 57-55-55.
Honoraria stałe bez względu na dzień tygodnia i porę dnia.

Gabinet rentgenowski

33 - 26 - 79

Łódź, ul. Nawrot 2a

O F E R U J E
PEŁNY ZAKRES BADAŃ RTC
czynny w godz. 9-16
oprócz sobót i niedziel

Pracownia ultrasonografii

33 - 26 - 79

Łódź, ul. Nawrot 2a

WYKONUJE BADANIA: wątroby, pęcherzyka i dróg żółciowych, trzustki, nerek, gruczołu krokowego, narządu rodnego, owulacji, ciąży, rozwoju ciąży, trofii płodu, tarczycy, sutków. Wczesna diagnostyka stawów biodrowych u dzieci.
KONSULTACJE GINEKOLOGICZNE.

Informacje i zapisy telefonicznie: tel. 33-26-79 (9-16).

Badania codziennie w godz. od 14, soboty 10-12, wtorki od 9.

Dla zapewnienia PT Pacjentom kompleksowej diagnostyki oraz fachowej opieki w trakcie choroby firma

W S P Ó Ł P R A C U J E

z:

Prywatnym Laboratorium Analiz Lekarskich
Łódź, ul. Snycarska 3, tel. 57-55-65

oraz z

Agencją Usług Pielęgniarskich i Opiekuńczych.

Informacje i zgłoszenia codziennie od godz. 12.00, tel. 86-69-69.

PRZEDSIĘBIORSTWO ZAOPATRZENIA LECZNICTWA

„CEZAL”

w Łodzi, ul. Piotrkowska 107

N A W I A Ż E K O N T A K T Y

z

PRODUCENTAMI SPRZĘTU MEDYCZNEGO.

Prosimy o kontakt z Działem Handlowym, tel. 32-39-24 lub 32-16-82 w godz. 8-15.

3555/K



BANGLAPOL

O F E R U J E

- * Handel hurtowy chemikaliami
- * Pośrednictwo kupna-sprzedaży artykułów chemicznych
- * Doradztwo w branży chemii
- * Usługi kseroaparatem Canon (wielonakładowe ze zniżką)

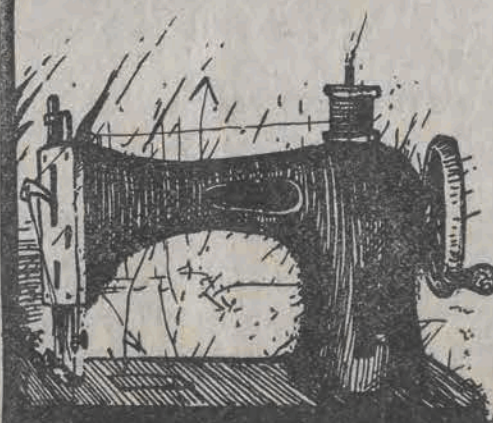
Z A T R U D N I

- * Kierownika biura
- * Księgowego
- * Pełnomocnika ds. turystyki
- * Pracownika do obsługi ksero

P O S Z U K U J E

- * Lokalu produkcyjno-magazynowego.

3349/K



UWAGA! UWAGA!
* O K A Z J A ! *

Powyżej 100.000 zł mogą zarobić miesięcznie u nas

● SZWACZKI ●
oraz przyjmujemy
DZIEWCZĘTA

do przyuczenia zawodu szwaczek.

PZ „ADREMA EX”

— ŁÓDŹ, ul. TRAKTOROWA 141
tel. 52-12-10, 52-80-00, 52-89-37

G.

Wifama

MEZcompu

Natychmiastowe dostawy profesjonalnych komputerów osobistych typu

IBM PC XT/AT TURBO

DRUKARKI — PLOTTERY — DIGITYZERY — DYSKIETKI
— SIECI i WIELODOSTĘP

GWARANCJA DO 24 MIESIĘCY!

Kompleksowa oferta to również:

- * ŁATWE W OBSŁUDZE OPROGRAMOWANIE
- * 130 POZYCJI LITERATURY
- * SZKOLENIA

PI-W „Wifama MEZcompu”

ul. Niciarniana 41/45,

tel. 74-97-30; tlx 886783.

3537/K

Przedsiębiorstwo Innowacyjno-Wdrożeniowe „Wifama MEZcompu”

92-318 Łódź, ul. Niciarniana 41/45 tel. 74-97-30 tlx 886783

ZAKŁADY PRZEMYSŁU DZIEWIARSKIEGO
IM. T. DURACZA

delta

W ŁODZI

Z A T R U D N I A:

* kierownika Magazynu Przędzy

Wszelkich informacji udziela Dział Kadr i Szkolenia Zawodowego, ul. Nowotki 65, tel. 33-57-07, wew. 208, lub 209.
Przedsiębiorstwo nie zatrudnia pracowników w którzy porzucili pracę.

7861/K

- * mistrza mechanika maszyn szwalniczych
- * mistrza przedzalni
- * dyspozytora w Dziale Nadzoru Produkcji
- * referenta ds. zaopatrzenia
- * st. brakarki konfekcji
- * hydraulików
- * elektryków
- * pracowników Wydziału Farbiarni
- * szwaczki maszynowe
- * robotnika gospodarczego

- Oferujemy za złotówki lub waluty wymienialne:
 - mikrokomputery PC/XT, PC/AT, 386, PS/2 i inne wg zamówienia,
 - plottery, drukarki i inne urządzenia peryferyjne,
 - dyskietki, taśmy barwiące i inne akcesoria,
 - sieci komputerowe Novell 286, D-LINK,
 - zestawy do edycji programów dla obrabiarek sterowanych numerycznie.
- Dostarczamy sprzęt wysokiej jakości, zapewniamy stałość i jednolitość dostaw, udzielamy 12-miesięcznej gwarancji, realizujemy zamówienia nietypowe np. napędy dyskietkowe 3,5" — 1,44 MB do PC/XT i PC/AT.
- Oferujemy kompleksową informatyzację przedsiębiorstwa w tym:
 - typowe systemy dziedziczne KADRY, PŁACE, FINANSOWO-KSIĘGOWE itp.
 - opracowujemy informatyczne systemy na indywidualne zamówienia.
- Świadczymy usługi elektroniczne:
 - serwis i naprawy urządzeń elektronicznych,
 - projektowanie obwodów drukowanych.

INTECH

Sp. z o.o. Jednostka Gospodarki Uspołecznionej
90-447 Łódź ul. Piotrkowska 173

**ZAPRASZAMY DO BIURA HANDLOWEGO
W POKOJU 612 szóste piętro
czynne poniedziałek—piątek godz. 9—15
tel. 36 11 56 oraz 36 52 66 w. 232, 132
telex 88 52 41**

3517/K

Markus

USPOŁECZNIONE ZAKŁADY USŁUG MARKETINGOWYCH
ul. Kraszewskiego 22, 93-161 Łódź
tel. 43-39-94, 95 tlx 885210 ksa pl

Z Y C Z A
szanowni klienci
WESÓLYCH ŚWIAT BOŻEGO NARODZENIA
ORAZ
SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU!

Jednocześnie zapraszamy do współpracy tych, którzy nie mieli jeszcze przyjemności korzystania z naszych usług tj. rzemieślników, firmy polonijne, spółki i przedsiębiorstwa państwowe.

O F E R U J E M Y:

- usługi marketingowe, reklamowe i promocyjne
- akwizycję wyrobów na terenie całego kraju
- zaopatrzenie w surowce, materiały i półprodukty
- sprzedaż części motoryzacyjnych, komisową sprzedaż samochodów
- doradztwo prawne, ekonomiczne i organizacyjne
- informacje naukowo-techniczne.

Wszystkich zainteresowanych EXPORTEM i IMPORTEM zapraszamy do naszego Zakładu Handlu Zagranicznego.

G W A R A N T U J E M Y:

- niskie prowizje
- szybkie terminy

Oczekujemy ciekawych propozycji.

3565/K

CERAMET

SPÓŁKA Z O.O.

**PRZYJMUJE ZAMÓWIENIA
NA USŁUGI REKLAMOWE**

**plansze informacyjne
znaki graficzne projektowanie
i wykonanie**

**szyldy i plansze reklamowe
projektowanie wystaw i pomie-
szczeń handlowych**

ZAMÓWIENIA PROSIMY KIEROWAĆ POD ADRESEM:
90-050 Łódź, skr. pocztowa 290 lub telefonicznie 36-60-11 wewn. 293

2959/K

POLONIT

ZAKŁADY USZCZELNIENI I WYROBÓW
AZBESTOWYCH
„P O L O N I T”
ul. Rewolucji 1905 r. nr 52
90-213 Łódź

Telefony: Centrala 32-50-14 do 19
Dział Techniczno-Produkcyjny 33-51-82
Telex: 886773 azbe pl

O F E R U J A
BEZAZBESTOWE
SZNURY TERMOIZOLACYJNE CSA

z ciętych włókien szklanych,
w oplocie z jedwabiu szklanego.

Dane techniczne:
— produkowane średnice ϕ 30 i ϕ 40 mm
— odporność termiczna do 450 st. C.
— współczynnik przewodzenia ciepła: ok. 0,07 W/mK.
3503/K